

**Thomas Duncan**  
**Panna na nieboskłonie**

Tytuł oryginału angielskiego: Virgo Descending  
Tłumaczyła: Ryszarda Grzybowska

*...Niewidoczne słońce*

*Przesuwa się od Lwa ku Wągom, mija Pannę.  
Wschód gwiazd ponad górami, wiosenna noc  
Rozgwieżdżona, linie ogniste na niebie.  
Wiemy, co to niewinność, gdy jej nie ma już.  
Panno na nieboskłonie. Można słońce zważyć?*

Winfield Townley Scott  
(Tłum. Andrzej Nowicki)

## Rozdział 1

Nad samym ranem śniło mi się, że Solveig Skovgaard wróciła do Santa Fe, taka sama jak wtedy, gdy przyjechała tu po raz pierwszy. Miała dwadzieścia dwa lata i cała ta zdumiewająca historia miała się dopiero wydarzyć. Widziałem znów - poprzez dym z papierosów, wśród roześmianych ludzi na przyjęciu w czyimś studio - złocistą i słoneczną dziewczynę o długich opadających na ramiona włosach. Na mój widok uśmiechnęła się, a ja zacząłem się do niej przeciskać poprzez hałaśliwy tłum ze snu.

Ale kiedy szedłem przez pokój, przekonałem się, że wcale się do niej nie zbliżam, należy bowiem do bezpowrotnie minionej przeszłości. Nagle wszystko zmieniło się w pianę morską i małą zatoczkę gdzieś na Morzu Karaibskim, gdzie leży zatopiony galeon. Zanurzałem się coraz głębiej i głębiej w odmęty tropikalnej wody i wtedy ujrzałem ją jeszcze raz, ale jak to bywa w snach, przeistoczona w rzeźbę dziobową na statku Wikingów. Zbudziłem się.

Czwarta rano to diabelna godzina, za późno, żeby łyknąć proszek nasenny, a za wcześnie, żeby napić się bour-bonu. Znalazłem papierosy i wyszedłem na taras. Niebo było czarne, ale roziskrzone gwiazdami, powietrze zimne, jak zwykle przed świtem na pustkowiu. Mieszkam na Camino del Monte Sol, poniżej leży uśpione stare miasteczko, nieświadome warkotu motorów na odległej drodze. Daleko na zachodzie, na tle ciemnego masywu Jemez, migotały w rzadkim powietrzu światła Los Alamos. Czy naukowcom tej pracowni szatana przypominało się kiedy Santa Fe z lat trzydziestych? Niemożliwe. Nie było ich tutaj wtedy.

Ale ja byłem. Poczciwe to było miasto w owych czasach, biedne jak sfiksowany poeta, ale poczciwe. Starzy, krępi Hiszpanie z Cañoncito, o wspaniałych wąsach, przychodzili tu z wiązkami drzewa na grzbietach osłów i sprzedawali je na Plaza, a gdy już wszystko sprzedali do ostatniego patyka, puszczali osły luzem w Ośłą Alejkę - Burro Alley - sami zaś szli się orzeźwić w tej czy innej *cantina*. A teraz Burro Alley jest zakątkiem dla turystów, wiele na niej sklepów z surrealistycznymi obrazami, Hiszpanie mają ciężarówki i wszędzie kręcą się mieszkańcy Teksasu.

Lecz wróćmy do lat trzydziestych. A zwłaszcza do kwietniowego popołudnia roku 1935, kiedy to wyrwał mnie z drzemki telefon.

- Tu Pete McCabe - powiedziałem jeszcze nie całkiem rozbudzony.

- Och, Pete - usłyszałem głos pani Kenwick. - Jaka jestem rada, że się do ciebie dodzwoniłam. Bałam się, że wyłączyłeś telefon i będę musiała wysłać Arsenia z kartką. Pracujesz może?

- Tak.

- Nie będę ci długo przeszkadzać. Mam ważną sprawę, Pete, inaczej nie zawracałabym ci głowy. Pisziesz pewno któreś z tych okropnych opowiadań o koniokradach?

- Piszę powieść.

- Powieść?! Wspaniale. Mam nadzieję, że o czymś przyjemnym. Twoje dzieciństwo to przecież tak bogaty materiał, że gdybyś tylko chciał je szczerze opisać i ładnie... niechby nawet było trochę cynizmu, bo ty jesteś okropnie cyniczny, Pete... albo o swoim małżeństwie...

- Zatytułuję ją: „Jeźdźcy znad Rio Grande“.

- Och, Pete, skończyłbyś wreszcie z tymi szmirami, marnujesz talent...

Westchnąłem tylko. Położyłem nogi na biurku, słuchawkę wcisnąłem między ucho a ramię i zapaliłem papierosa. Pani Kenwick- pani W. Hazelton Kenwick - prawdę mówiąc nie była głupia, ale mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat nie bardzo rozumiała, co to znaczy pisać dla chleba. Nie mogła tego zrozumieć, bo jako wdowa po W. Hazeltonie Kenwicku - przewodniczącym rady nadzorczej Towarzystwa Papierniczego Kenwick, które zaopatrywało miliony łazienek w papier toaletowy i miliony zakatarzonych mieszkańców w papierowe chusteczki do nosa - była wcale bogata. Po śmierci męża w roku 1930 przeniosła się z Wisconsin do Santa Fe i założyła czasopismo poetyckie „Niebiańskie Kamienie“.

- A więc, jeżeli mógłbyś przyjść na obiad, Pete...

- Na obiad? Kiedy?

- Nie słuchasz, Pete. Dzisiaj. Przyjdź wcześniej, żebyśmy mieli czas napić się czegoś.

- Kto jeszcze będzie?

- Tylko nas dwoje. Wcale nie słuchałeś. Wiem, że nie lubisz zblazowanych poetów, więc nie zapraszałam nikogo. A zresztą to tajemnica.

- Jaka tajemnica?

- Nic nie słuchasz, Pete. Chodzi o zwycięzcę konkursu „Niebiańskich Kamieni“. Potrzebna mi twoja pomoc.

Obiecałem, że przyjdę. Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubił pani Kenwick, a już picie i jedzenie u niej było wspaniałe. Obrzydło mi własne pichcenie w charakterze słomianego wdowca.

Położyłem słuchawkę, po chwili jednak zadzwoniłem do Salonu Kosmetycznego Darlena prosząc o telefonistkę, panią Gonzales. Miałem dwadzieścia dziewięć lat, ona trzy lata więcej. Mąż jej dźgnął kogoś nożem, za co wsadzili go do więzienia gdzieś na południe od miasta, więc pani Gonzales bywała u mnie ze dwa razy na tydzień. Oznajmiłem jej, że dziś podjadę po nią późno, pewnie około dziesiątej. Przyjęła to bez zastrzeżeń. Hiszpanie mają jedną przyjemną cechę: parę godzin wcześniej czy później nie robi im różnicy.

Ogoliłem się i wziąłem prysznic, a następnie włożywszy swój najlepszy garnitur, kupiony co prawda parę lat temu, stanąłem przed lustrem w łazience, żeby sprawdzić rezultat tych zabiegów: oczom moim ukazał się młody postawny blondyn o jasnych oczach i cienkich wąsikach nad górną wargą. Spróbowałem się uśmiechnąć, ale jakoś to nie wychodziło.

Mieszkanie moje składało się - oprócz łazienki - z jednego niezbyt dużego pokoju z wnęką na lodówkę i piec. Stała w nim kanapa, podniszczone biurko z trzema rozlatującymi się szufladami, wypełnionymi po brzegi, oraz maszyna przywykła już do mojego pisania dwoma palcami. Drzwi otwierały się na malutkie patio. Mieszkało się tu inaczej niż wszędzie; było to przecież Santa Fe. Zajmowałem cały domek „adobe“ (to znaczy zrobiony z gliny suszonej na

słońcu), który, wraz z kilkoma jeszcze, stał między wijącymi się ścieżkami, wśród drzew owocowych i kwiatów. Wszystko to razem wyglądało dość malowniczo. Nie na malowniczości jednak mi zależało, tylko na cichym odosobnieniu.

Wziąłem z biurka list, który otrzymałem dziś rano z wydawnictwa „Robbins, Lockworth and Company“. Oto jego treść:

*Szanowny Panie!*

*Już od kilku lat czytamy Pańskie opowiesci drukowane w rozmaitych pismach i pragniemy złożyć Panu gratulacje z powodu opowiadania „Honor koniokrada“, drukowanego w kwietniowym numerze „Szafirowych Romansów“. Spośród wszystkich opowiadań o Dalekim Zachodzie to jest na najwyższym poziomie, tak pod względem treści, jak i stylu.*

*Ponieważ w naszym wydawnictwie mamy między innymi zająć się Zachodem, zastanawiamy się, czy nie napisałby Pan powieści o tej tematyce. Jeśli tak, to bylibyśmy skłonni rozważyć Pańskie propozycje.*

*Zależy nam na powieści o wyższym poziomie literackim niż przeciętne westerny; temat jej winien być związany raczej z hodowlą bydła niż kopalnią albo wczesnym osadnictwem. Wydaje nam się, że western bez bydła nie może być w pełni westernem. Mamy ogromne zapotrzebowanie na tego rodzaju powieści i jeżeli może nam Pan zaoferować coś z tego zakresu, znajdzie pan wdzięcznego odbiorcę.*

*Z poważaniem  
Lawrence Lockworth  
Naczelny Redaktor*

Wysłałem taką odpowiedź: *Szanowny Panie!*

*Dziękuję za list z dnia 15 kwietnia i za zainteresowanie moją pracą: Właśnie piszę powieść o hodowcach bydła w Nowym Meksyku pt. „Jeźdźcy znad Rio Grande“ i sądząc z Pańskiego listu książka ta powinna odpowiadać gustom Panów. Po jej zakończeniu nie omieszkać jej Panom przesłać.*

*Z poważaniem  
Pete McCabe*

Wziąłem z kolei list, który napisałem do mojego agenta w Nowym Jorku, Wallace’a Ingersolla:

*Drogi Wally,*

*Załączam Ci list, jaki otrzymałem dzisiaj od „Robbins, Lockworth and Company“, razem z kopiać mojej odpowiedzi. Może będziesz chciał pokazać w „Szafirowych Romansach“?*

*Jak dotąd nie brałem się do powieści, ale ten Lockworth mnie natchnął. Obmyśliłem już sobie treść i tytuł: „Jeźdźcy znad Rio Grande“. Zaczęę pisać od jutra i powinienem skończyć w ciągu dwóch miesięcy, tak żebyś mógł pokazać Lockworthowi. Napakuję mnóstwo tych przeklętych krów, a także miłości. Nie sądzisz, że to będzie dobre i oryginalne zakończenie: bohater i bohaterka odjeżdżają w dal na tle zachodzącego słońca?*

*Myślałem dużo, Wally. Hemingway to mistrz nie byle jaki. Już nieomal wszyscy pisarze na ziemi naśladowali Hemingwaya, a paru zrobiło niaoet interes naśladowując go w kryminałach. Ale nie słyszałem, żeby jakiś autor westernów usiłował wzorować się na Hemingwayu, może dlatego, że prawdopodobnie nigdy o nim nawet nie słyszał. Myślę więc, że ja to zrobię. Jego styl wspaniale pasuje do mojego tematu... I może siane się ślajany? Albo, co ważniejsze, zbiję fortunę?*

*Skoro mówimy o fortunie, to dlaczego nie dopominasz się w „Szafirowych Romansach“, żeby mi przysłali czek za opowiadanie „Tarapaty nad Pecos“? Czy wyobrażają sobie, że żyję samą miłością?*

*Pete*

Polizałem i zakleiliśmy koperty, wyszedłem z domu i mój stary Plymouth ruszył wąskimi uliczkami na pocztę. Stamtąd pojechałem do pani Kenwick. I wcale nie przypuszczałem, że - jak zwykli mówić dawniej autorzy powieści detektywistycznych - stoję na progu wielkiej przygody.

## **Rozdział 2**

W owych dniach zamieszkiwało Santa Fe około 15000 nieśmiertelnych dusz w smagłych i kształtnych ciałach Hi szpano-Amerykanów. Tylko nieświadomi turyści nazywali ich Meksykanami. Nie byli to Meksykanie, ale amerykańscy obywatele hiszpańskiego pochodzenia. Przez kilkaset lat do nich właśnie i do Indian z plemienia Tewa należało Santa Fe. Potem, na przełomie stulecia, zjawili się paru wygłodniałych artystów i założyły swoje pracownie w domkach adobe. Za artystami przybyli pisarze i przez kilka lat Santa Fe było tym samym dla bohemy co Greenwich Village albo Carmel w Kalifornii.

Ale jak to zawsze bywa z koloniami artystów, tak stało się i tu: odkryli ją bogaci, no i zaczęli się zjeżdżać. Zwiedzili się szarlatani i zrobili to samo. Odkryli ją posiada-“cze ziemscy i nie upłynęło wiele czasu, a już zaczął się szum, brukowanie ulic, tablice reklamowe, neony i temu podobne hece. Hiszpanie i Indianie, najbardziej uparci ludzie na świecie, opierali się ile sił wszystkim tym przejawom postępu, a wraz z nimi pisarze i artyści po prostu z przekory, dzięki czemu w roku 1935 Santa Fe było jeszcze całkiem przyjemną miejscowością. I trzeba przyznać pani W. Hazelton Kenwick, że nigdy nie postępowała tak jak przeciętna milionerka i nie trwoniła pieniędzy na prawo i lewo. Robiła wszystko, aby uchodzić za prawdziwego dziwaka z Santa Fe, co nawet udawało jej się znakomicie, może dlatego, że miała wrodzony ku temu talent.

Pani Kenwick mieszkała przy Alameda, małej niepozornej uliczce, która przypominała raczej wiejski trakt. Rosły tu wysokie rozłożyste topole i tuż obok, skalistym korytem, z hukiem płynęła rzeka Santa Fe. Żłocistobrazowy dom adobe mieścił w sobie piętnaście czy dwadzieścia pokoi, ale nie wyglądał pretensjonalnie, ponieważ był parterowy i zbudowany wokół patio. Pod starymi cienistymi drzewami zieleniły się trawniki, od ulicy biegł żywopłot, z bżów. Ale w to kwietniowe popołudnie bzy jeszcze nie kwitły, bo Santa Fe leży wśród wysokich gór, 7000 stóp nad poziomem morza, i o tej porze jest tam raczej zimno.

Na moje pukanie drzwi otworzyła sama pani Kenwick.

- Pete! - zawołała. - Jakiś ty kochany, żeś przyszedł. Pomożesz mi, prawda?

- Oczywiście - odparłem - ale najpierw się czymś pokrzepmy.

- Och, Pete, jesteś niemożliwy.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia pani Kenwick była młodą damą w Bear Rapids, w stanie Wisconsin, gdzie mieści się Towarzystwo Papiernicze Kenwick, musiała mieć sylwetkę super modną - sam biust i biodra - wedle wzoru Lilian Russel i dziewcząt z okładek czasopism. Teraz jej wypukłości znacznie przekroczyły dopuszczalne granice, nosiła jednak dobre gorsety, a ciemne włosy nie zdradzały ani trochę siwizny, chyba tylko fryzjerowi. Nogi miała całkiem dobre, co jest zjawiskiem raczej niezwykłym, bo kobiety biuściaste przeważnie obdarzone są dla przeciwwagi bardzo chudymi nogami. Ale twarz jej była, że tak powiem, dość pulchna. Kiedyś musiała być nawet ładna, teraz jednak znać było na niej, że nie żałuje sobie majonezu i bitej śmietany. Może to niezbyt szarmanckie, co powiem, ale pani Kenwick czasami, w chwilach spoczynku, przypominała mi prosiaka. Za to duch w niej był lekki jak motylek; nie mam na myśli towarzyskiego motyla, ale prawdziwego, który przelatuje z kwiatka na kwiatek w piękne sielskie popołudnia.

Chociaż pani Kenwick była miłośniczką kultury i piękna, nie potrafiła się ubrać gustownie. Jej stroje były przesadne, bez smaku. Dzisiaj miała na sobie mocno wydekoltowaną zieloną suknię, złote pantofle i mnóstwo brzęczących bransolet. W uszach jej lśniły wisiorki, na krągłych palcach złociły się pierścienie. Oczy wypacykowała jakimś mazidłem i tuszem, usta nasmarowała szminką. Gdyby do jej drzwi zapukał teraz ktoś obcy, mógłby odnieść wrażenie, iż stoi przed nim madame z domu schadzek.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy, chociaż czuję się jak niecny lajdak, ponieważ dotyczy to już słabości, na którą nic nie mogła poradzić. Otóż pani Kenwick miała tik w oku. Kilka lat temu nastąpiło u niej w lewej części twarzy porażenie nerwu. Dzięki pieniądzom Kenwicka lekarze jakoś się z tym uporali, ale od czasu do czasu bezwiednie mrugała lewym okiem. Często wprowadzało to ludzi w błąd nadając głębsze znaczenie jakiejś całkiem przypadkowej uwadze. Pamiętam, jak kiedyś opowiadała mi o swoim małżeństwie.

- Kenwick był dobry - mówiła - ale nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o papierze toaletowym. Papier toaletowy był dla niego całym światem, dopóki oczywiście nie wpadł na pomysł z papierowymi chustkami do nosa. No a ja, cóż... ja miałam inne zainteresowania. - I mrugnęła.

Chyba jednak mam kosmate myśli.

Ale wróćmy do owego kwietniowego popołudnia. Wszedłem za nią do salonu, dużego pomieszczenia o belkowanym suficie, pełnego dywanów Navajo oraz czarnej indiańskiej porcelany z San Ildefonso. W rogu na kominku buzował ogień z gałęzi *piñón*. Na jasnych kremowych ścianach wisały liczne obrazy, które pani Kenwick, wspaniałomyślna protektorka sztuki, nabywała, żeby pomóc temu lub owemu artyście. Hiszpańska służąca wniosła tacę z butelką szkockiej i zabraliśmy się do picia.

- Pete - odezwała się pani Kenwick - wypijmy za twoją powieść i opowiedz o niej wszystko.

Kiedy byłem chłopcem w Litchfield (w stanie Iowa, ilość mieszkańców 807), często chadzałem do kina. W owych drogich mi, ale<sup>^</sup>minionych już dniach, spośród wszystkich aktorów najbardziej lubiłem Wallace'a Reida, ponieważ był wysoki i blondyn, całkiem jak ja; tylko że nie przypominał tyki o długich rękach i nogach, był szarmancki i Wytworny, a może tak mi się wtedy zdawało. Uwielbiałem Reida; chciałem go we wszystkim naśladować. Otóż Reid miał swój trik: umiał podnosić jedną brew nie podnosząc drugiej. Przybierał wtedy, jak mówią, kpiący wyraz. Całe tygodnie ćwiczyłem, aż w końcu nauczyłem się tej sztuki. Nieczęsto mi ona bywała potrzebna,- ale teraz właśnie nadarzyła się okazja.

- Pete! Nie bądź taki, powiedz coś niecoś.

- Pod względem stylistycznym - zacząłem - będzie to naśladownictwo Ernesta Hemingwaya, chociaż pod względem treści przypominać będzie Zene Greya, jak większość westernów, no i od czasu do czasu jakaś mała pożyczka z „Wirgińczyka“ a także z nieśmiertelnych utworów Maxa Branda.

- Kto to jest Max Brand, na litość boską?

- Historia zaczyna się tym, że bohater, popada w tarapaty. Ale sam ich szuka, wyruszył bowiem, żeby dokonać zemsty. W Teksasie, skąd pochodzi, narzeczonej jego o mało nie doprowadził do zguby pewien łajdak, więc nasz bohater doznał właśnie jego tropem do Nowego Meksyku, gdzie jest mnóstwo krów.

- Rzadko widuję krowy - rzekła pani Kenwick. - Ale w jaki sposób ten łajdak mógł doprowadzić do zguby ową dziewczynę?

- Miał syfilis.

Parsknęła śmiechem.

- Oczywiście - wyjaśniłem - czytelnikowi nie powie się tego wprost. W książkach tego rodzaju pisze się tak, jakby dziewczyna od pasa w dół w ogóle nie istniała.

- Pete, marnujesz tylko czas.

- Muszę jeść. A przynajmniej nie zrzynam. W każdym razie nie wszystko.

- Dlaczego nie napiszesz jakiejś porządnej powieści o sobie? O swoim małżeństwie i o wszystkim innym. Może twoja żona miała syfilis, Pete?

- Wielki Boże, mam nadzieję, że nie. Nie, na pewno nie miała. Jej przewinienia były trochę większe.

- Cała historia z twoim nieudanym małżeństwem jest pasjonująca. Szkoda, że nie znałam twojej żony.

- Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, co mówi.

- Wiem, że nigdy nie przyznasz mi racji, Pete, ale właśnie przez to stałeś się taki zgorzkniały. Czy ciągle jeszcze ją kochasz?



- Od pasa w dół - odpowiedziałem.

Pani Kenwick westchnęła. - Jak to przyjemnie, kiedy się dwoje ludzi dobierze. Kenwick i ja byliśmy naprawdę dobranym małżeństwem. - I mrugnęła. - Chciałabym, żebyś mi coś opowiedział o swoim małżeństwie. Nie sądzisz, że to by ci dobrze zrobiło?

- Nie sądzę.

- Może chociaż trochę? Opowiedz! Rozwód to chyba strasznie przykra rzecz, prawda?

Nalałem sobie szkockiej.

- No cóż - ciągnęła dalej - nie chcesz, to nie. Uważam, że miłość to bardzo interesujący temat. Miłość i poezja. Ale, ale, przypomniało mi się teraz. Widziałeś nasz kwietniowy numer?

Nie widziałem, więc pani Kenwick podeszła do stołu i przyniosła mi jedenasty numer „Niebiańskich Kamieni“.

Magazyn ten wyróżniał się spośród wszystkich drobnych czasopism, a szczególnie spośród czasopism poetyckich. Po pierwsze, w ciągu czterdziestu siedmiu miesięcy istnienia ani jeden numer nie wyszedł z opóźnieniem; po drugie, honoraria wypłacano natychmiast po zakwalifikowaniu wierszy do druku; po trzecie, wspaniale prezentował się pod względem szaty graficznej, a i wiersze w nim drukowane były na ogół całkiem niezłe. Pani W. Hazelton Kenwick jakimś cudem była świetnym znawcą poezji. Zdumiewające o tyle - a może właśnie dlatego? - że jej własne wiersze były podłe.

Co więcej, pani Kenwick twardo opierała się pokusie, aby opublikować choć jedną linijkę własnego wiersza w „Niebiańskich Kamieniach“. Posyłała je jednak do innych pomniejszych czasopism i tam bywały drukowane, tak samo zresztą jak i ona drukowała wiersze innych wydawców.

Zerknąłem na spis treści i wzrok mój zatrzymał się na nazwisku Gilbert Flagg. Na twarzy mojej musiało się odbić zainteresowanie, bo pani Kenwick spytała:

- Co takiego, Pete?

- Znałem kiedyś tego Gilberta Flagga.

- A to ciekawe. Bardzo obiecujący młody poeta. Gdzie się z nim zetknąłeś?

- W „Des Moines Register“ . Byłem niegdyś redaktorem kroniki miejskiej i przyjmowałem go do pracy.

- W charakterze poety?

- Chryste Panie, nie!

- I po co ten cynizm!

- Gazety nie płacą za poezję - odrzekłem.

- Nowojorski „Times“ płaci. Nawet mnie raz zapłacili za sonet. A jeszcze za życia męża prowadziłam kącik poezji w „Bear Rapids Gazette“ i płaciłam za każdy wiersz. Czasopisma literackie wymieniały moją rubrykę dla przykładu, toteż otrzymywałam materiał z całego świata. Nawiązałam listownie kilka trwałych przyjaźni. Jakąż emocją napełniały mnie koperty ze znaczkami z Anglii i Południowej Afryki. Mój najmłodszy syn zbierał znaczki, gromadziłam je więc dla niego. To tylko świadczy o tym, że stale kwitnie braterstwo ludzi. Właścicielem gazety był oczywiście mój mąż, ale nigdy się nią nie interesował, chciał tylko mieć pewność, że redaktorzy popierają Partię Republikańską. Wszystkie jego myśli pochłaniał papier toaletowy. Ale powiedz mi coś więcej o tym Gilbertcie Flaggu. Wcale nie wiedziałam, że byłś kiedyś redaktorem kroniki miejskiej.

- Tylko przez kilka tygodni - wyjaśniłem - podczas wakacji. Nigdy nie siedziałem długo przy biurku, nie lubię tego. Za dużo pracy. Ale to ja właśnie przyjąłem Gila Flagga. Była to jego pierwsza praca w gazecie.

- Jak- on wygląda?

- Miły chłopak. Zasadziłem go do pisania prognoz pogody. Nie zawsze chciało mu się dzwonić do stacji meteorologicznej i wtedy pisał własne prognozy. Raz przepowiedział słoneczną pogodę, a spadł ulewny deszcz. Przeniosłem go więc do rubryki policyjnej. Pamiętam jego pierwsze sprawozdanie. Jakiś facet, nazwiskiem John Smith, kupował śrubkę w sklepie żelaznym, a ponieważ był zakaz parkowania, musiał zapłacić dwa dolary grzywny. Wersja Gila Flagga brzmiała mniej więcej tak: „Dwa dolary kosztowało Johna Smitha, że chciał wkręcić swoją śrubkę w poniedziałek.“ Złapałem to w porę, ale też dałem mu wycisk. Od czasu, jak rozstałem się z gazetą, zrobił się z niego całkiem niezły reporter. Co u niego słychać?

- Wiersze przysłał z Chicago. Mogłabym ci znaleźć jego adres.

- Nieważne - powiedziałem.

- Może byś do niego napisał?

- Po co?

- Po prostu list od wielbiciela. Napisz mu, że zachwycasz się jego poezją.

- Ja nigdy od niego takiego listu nie dostałem.

- Pewnie nie czyta westernów.

Na myśl, że Gilbert Flagg mógłby czytać westerny, aż się roześmiałem.

Na piętnastej stronie „Niebiańskich Kamieni“ znalazłem trzy wiersze Gila. Całkiem dobre. Nie mówiły o Śmierci ani o Bogu, ani o Miłości - o czym najchętniej zwykli rozprawiać poeci pani Kenwick - nie były rozwleczone na całą stronicę niezliczoną ilością kropek, a także nie tak piekielnie intelektualne i ezoteryczne, że człowiek musi zastanawiać się, gdzie koniec, gdzie początek. Były żywo i dobrze napisane, może nie tak lekkie jak vers de societe, ale coś w tym rodzaju.

- To bystry chłopak, tylko że nie powinien był zajmować się przepowiadaniem pogody.

- Pisze też prozą. Zamieszczał swoje opowiadania w różnych pismach. Dużo w nich wdzięku. Chyba jednak powinieneś się z nim skontaktować.

- No cóż, lubiłem Gila i gdybyśmy się teraz spotkali, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to oblać. Należy jednak do tego okresu mego życia, o którym postanowiłem zapomnieć.

- Co ci się takiego przydarzyło w tym Des Plaines?

- To nie było Des Plaines, tylko Des Moines. I nie jedna rzecz mi się tam przydarzyła, a wiele. Kiedy przyjechałem do Santa Fe dwa lata temu, zatrzasnąłem za sobą drzwi na zawsze. I przekręciłem klucz. A teraz mam ochotę jeszcze się napić.

Mieszałem cocktail, a pani Kenwick nie spuszczała ze mnie oka. I wtedy powiedziała coś, co uświadomiło mi fakt, o którym ciągle zapominałem: że, mimo całej swej śmieszności, ma sporą dozę zmysłu praktycznego.

- Pete, zajmowałeś się psychologią. Powinieneś wiedzieć, że nie można rozwiązać swoich problemów przez to, że się je wciśnie w głąb podświadomości i zarygluje na cztery spusty. Tym dorobisz się tylko wrzodu żołądka.

- Trochę tym, a trochę własnym gotowaniem - odparłem.

- Nie należy kryć się ze swoimi problemami. Powinieneś mi o nich opowiedzieć. - A może pomogłoby ci, jakbyś zaczął o tym wszystkim pisać wiersze?

- Och, już tego próbowałem - odparłem i o miło nie ugryzłem się w język.

Pani Kenwick była najwyraźniej zaszokowana.

- Pisałeś wiersze, Pete? I dlaczego mi nie powiedziałeś? To może pozwolisz je wydrukować w „Niebiańskich Kamieniach“?

- O nie!

- Ależ, Pete...

I taka dyskusja toczyła się przez kilka minut. W końcu pani Kenwick westchnęła:

- Strasznie jesteś uparty, Pete.

- Moimi przodkami byli Szkoci. W każdym razie napiłbym się jeszcze szkockiej whisky.

- Okropne z ciebie ladaco.

Zawsze zdumiewa mnie, jak wielką rolę w życiu odgrywa przypadek. Gdyby wiersze Gilberta Flagga nie ukazały się akurat w tym numerze „Niebiańskich Kamieni“ albo gdybym się był nie wydał, że go znam, nigdy by nie przyjechał do Santa Fe, a wtedy... ale zanadto wybiegam naprzód. Wróćmy do pani Kenwick.

- Przecież nie zaprosiła mnie pani po to, żeby mówić o mojej duszy - odezwałem się. - Podobno potrzebowała pani mojej pomocy.

- Potrzebuję, Pete. Nawet bardzo. Nie przypuszczam, abyś czytał coś o konkursie „Niebiańskich Kamieni“?

Potrząsałem głową. Pani Kenwick przeszła przez pokój, po czym wróciła z listopadowym numerem „Writer’s Digest“.

Było tam długie zawiadomienie o konkursie „Niebiańskich Kamieni“. Konkurs otwarto dla wszystkich poetów w Stanach Zjednoczonych i wyspach im podległych. Zamknięcie konkursu miało nastąpić w marcu 1935 roku.

Każdy kandydat musiał przysłać co najmniej pięć wierszy. Nagrodą miała być bezpłatna podróż do Santa Fe i dwutygodniowy pobyt u pani Kenwick.

- Będzie to panią trochę kosztowało - zauważyłem.

- Wierzę jednak, że się opłaci.

Przez moment zrobiło mi się żal - ale przez bardzo krótki moment - referenta z urzędu karbowego, który za kilka lat będzie usiłował przekonać panią Kenwick, że „Niebiańskie Kamienie“ to wcale nie przedsiębiorstwo, ale hobby bogatej pani; niemal słyszałem wszystkie czarujące *non sequitur* pani Kenwick.

- Kto zwyciężył? - spytałem.

- Dziewczyna, która nazywa się Solveig Skovgaard.

- Cóż za pseudonim!

- Och, to nie jest *nom de plume*. To jej nazwisko. Jest Dunką z pochodzenia. A Solveig to popularne skandynawskie imię. Pamiętasz Perr Gynta Griega? W Bear Rapids byli Duńczycy, a wśród nich nawet wielu Skovgaardów.

- Czy ona jest z Bear Rapids?

- Nie. Z Wysp Dziewiczych.

Mimo że chodziłem do szkoły w Litchfield w stanie Iowa i skończyłem uniwersytet w Iowa, moja znajomość geografii była równie mglista jak u prawie wszystkich mających za sobą amerykańską edukację.

- Wyspy Dziewicze - odezwałem się. - Gdzież u licha są te wyspy? Chwileczkę, już wiem. Gdzieś na Pacyfiku, jakaś baza węglowa marynarki wojennej?

- Ja byłem przekonana, że koło Alaski - powiedziała pani Kenwick - ale nie, już sprawdziłam.

Ze stolika, na którym stała kawa, podała mi atlas. Wyspy Dziewicze, jak się okazało, znajdują się na wschód od Puerto Rico na Morzu Karaibskim. Jest ich strasznie dużo, ale trzy

najważniejsze należą do Stanów Zjednoczonych: Wyspa Św. Tomasza, Wyspa Św. Krzyża i Wyspa Św. Jana.

- Panna Skovgaard pochodzi z Wyspy Św. Tomasza.

- Skąd się tam wzięła Dunka?

- Urodziła się tam, a raczej na Wyspie Św. Krzyża, 28 marca 1913 roku. Wtedy wyspy te należały do Danii. Stąd, oczywiście, wielu Duńczyków.

- Widzę, że porządnie się pani tego wyuczyła.

- Tak, rzeczywiście. Uważam, że powinnam coś wiedzieć o miejscu jej urodzenia. Podstawowa grzeczność tego wymaga. Stany Zjednoczone w 1917 odkupiły Wyspy Dziewicze, żeby nie dostały się w ręce Niemców. Marynarka wojenna założyła tam bazę dla ochrony Kanału Panamskiego. Na Wyspie Św. Krzyża żył przez pewien czas Aleksander Hamilton.

- Akurat!

- Ależ tak, Pete, naprawdę. Gertruda Atherton napisała o nim przejmującą książkę. Lubisz Gertrudę Atherton?

- Nie.

- Jakże chciałabym pisać tak jak ona! - wykrzyknęła pani Kenwick. - Ale nie umiem pisać powieści. Nie mogę wymyślić akcji. Kto jest twoim ulubionym autorem, Pete?

- Bedford-Jones - odparłem.

- Zdaje mi się, że nie znam nic z twórczości Jonesa. Ale jak już powiedziałam, bardzo przejmująca jest ta książka Gertrudy Atherton i naprawdę dużo dowiedziałam się z niej o Hamiltonie. Wiesz, jego rodzice nie byli małżeństwem?

- Wreszcie mówimy o czymś interesującym.

- Nie bądź wulgarny, Pete. To naprawdę przejmujące. Oczywiście nie ma nic wspólnego z panną Skovgaard, chyba tylko tyle, że urodziła się na Wyspie Św. Krzyża. Raczej dość dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz? Lubisz zbiegi okoliczności, Pete?

- Tak - rzekłem - ale wydawcy ich nie cierpią.

- Nie rozumiem, dlaczego. Ja też jestem wydawcą, a uwielbiam je. W życiu ciągle się zdarzają. W każdym razie panna Skovgaard zdobyła pierwsze miejsce w konkursie. Jej wiersze są po prostu nadzwyczajne - niektóre tak przejmujące, że jak żyję takich nie czytałam. Przesłałam więc telegraficznie moje gratulacje i pieniądze na podróż. Dzisiaj dostałam od niej list. Przyjeżdża do Lamy w piątek po południu.

- I będzie pani przykuta do niej na całe dwa tygodnie.

- Cóż ty mówisz, Pete! Czuję się tym zaszczycona. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata, a już tak wspaniale pisze. Wierzę, że zajmie czołową pozycję w naszej literaturze. Napisała mi o sobie wszystko. Ma bardzo wzniosłe zasady i wysokie aspiracje. Nie chciałbyś przeczytać jej wierszy, Pete?

- Dziękuję, nie.

- Zaraz je przyniosę, bo są w moim gabinecie. I posłuchaj, Pete. Wydaje mi się, że byłoby jej przyjemnie... wiesz, w obcym kraju... gdybyś i ty wybrał się ze mną do Lamy, żeby ją powitać. Dlatego cię właśnie tutaj ściągnęłam.

Zniknęła z pokoju.

Rozsiadłem się w fotelu i zacząłem rozmyślać. Jeśli człowiek pozwoli sobie skołować głowę przez taką panią Kenwick, zjada u niej kolację i pije szkoocką, to trudno, potem musi jechać do Lamy na powitanie dziewczyny imieniem Solveig Skovgaard. Do diabła! Pewnie jakaś wielka skandynawska dziewczucha o grubych nogach. Wiedziałem jednak, że pojedę. Widać było po pani Kenwick, że tym razem nie zdołam się wykręcić.

- Oto one - powiedziała wróciwszy z wierszami. - Powiedz, co o nich sądzisz?

„Boże, ależ ja nienawidzę czytania maszynopisów! To jedna z niewielu wspólnych cech, które łączą mnie z wydawcami.“

- Zdawało mi się, że mówiła pani o pięciu wierszach - odezwałem się. - Przecież to całe tomisko...

- Nie narzekaj, Pete. Warunki konkursu wyznaczały minimum pięć wierszy. Maksimum nie było określone.

Zerknąłem na pierwszą stronę, na której wypisany był tytuł: „Dziennik z wysp trzciny cukrowej - Solveig Skovgaard“, a w lewym górnym rogu podany adres zwrotny na maszynie: „Solveig Skovgaard, na nazwisko: Hannibal Baker, skr. poczt. X12B7, Charlotte Amalie, Wyspa Św. Tomasza. Wyspy Dziewicze, USA.“

- Kto to jest Hannibal Baker?

- Nie wiem, .Pete. Pewnie właściciel domu, w którym mieszka.

- Nie jestem w stanie ocenić tego teraz. Za dużo wypilem, może lepiej wezmę ze sobą.

Na twarzy pani Kenwick odbiło się powątpiewanie.

- Ale nie zgubisz ich? Co prawda po takim jak ty można się spodziewać, że zgubi je celowo.

- Będę ich strzegł jak oka w głowie - przyrzekłem. - Na miły Bóg, jestem głodny! Czy tutaj się nigdy nie jada?

- Zawsze jesteś głodny, Pete. Już zaraz będzie obiad.

- Wobec tego pójdę umyć ręce.

W gościnnej łazience zauważyłem, że chociaż fortuna pani Kenwick wyrosła z papieru toaletowego Towarzystwa Papierniczego Kenwick, położyła kilka rolek papieru toaletowego firmy konkurencyjnej. Przypuszczam, że była to jej idea *noblesse oblige*.

### Rozdział 3

Nic tak nie pobudza wyobraźni pisarza jak doznania miłosne, toteż pani Gonzales, z którą spędziłem wieczór, prawie w tym samym stopniu przyczyniła się do fabuły „Jeźdźców znad Rio Grande“ co Zane Grey. Mieszkała na Plaza z sześciorgiem dzieci - żadne z nich nie było moje - i nim odwiozłem ją do domu około drugiej w nocy, wiele scen w mojej powieści, dotychczas mgliście tylko się zarysowujących, nabrało wyrazistości.

Była przyjemna chłodna noc. Księżyc już zaszedł pozwalając milionom gwiazd lśnić cudownie; daleko na północo-wschodzie majaczyły wielkie i ciemne zarysy gór Sangre de Cristo. Kiedy wyłączyłem motor, gdzieś za mną, z jakiegoś dalekiego parowu, rozległo się wycie kujotów.

Może by dać tytuł: „Kujoty z dalekiego parowu“? Zanotowałem go sobie po powrocie do domu. Zapaliłem papierosa i chciałem do poduszki poczytać Hemingwaya, aby jego styl dobrze wszedł mi w krew, ale właśnie wtedy przypadkiem spojrzałem na ten cholerny maszynopis, który wpakowała mi pani Kenwick.

Postanowiłem go tylko przerzucić; na pocieszenie, że muszę czytać te banały, przygotowałem sobie jeszcze cocktail, zapaliłem lampkę nocną i usadowiłem się tak, aby czuć się dobrze, o ile to w ogóle możliwe, kiedy człowiek musi ślęczeć nad debiutancką twórczością.

Czekała mnie jednak niespodzianka. Rękopis zaczynał się dziesięcioma sonetami, które - doprawdy, zdumiewające! - ani nie miały nic wspólnego z Edną Millay, ani nie były dziesiątą wodą po sonetach Elizabeth Browning czy Szekspira. Dziesięciu osobom na Wyspach Dziewiczych poświęcono po jednym sonecie, a wszystkie były niesłychanie żywe i celne. Uśmiełem się czytając „Portret gubernatora“, tak zręcznie kłuł balon rozдутy pychą; a sonet, zatytułowany „Łachmany“, o niewidomym czarnym żebraku i jego psie, nieomal wyciskał łzy z oczu. To zresztą całkiem zrozumiałe, bo wiadomo, że właśnie zatwardziali dziennikarze są najwrażliwsi na łzawe historyjki.

Po sonetach następowało sześć liryków, też zupełnie niezłych. Były melodyjne i nastrojowe. Takie liryki są dzisiaj niemodne, i wychodziły już z mody w roku 1935, ponieważ poezja została opanowana przez koterię, która zdaje się wierzyć, że czytelnik ma taki stosunek do poezji jak do chińskich zagadek. Poszła więc do lamusa pradawna moc poezji, jej prostota i melodyjność. Poeci starają się dotrzymać kroku kompozytorom, którzy odrzucili melodię, malarzom, którzy zamiast rozsądnego odtwarzania rzeczywistości ofiarują chaos własnych ekspresji, oraz autorom krótkich opowiadań, którzy unikają anegdoty, Czyli tego, co w narracji działa najsilniej.

W każdym razie podobały mi się te liryki.

Na końcu było około dwunastu poematów wolnym wierszem; ale nawet i te nie miały nic wspólnego z Waltem Whitmanem czy Carlem Sandburgiem... Jeśli chodzi o sposób pisania, przypominały imagistów (pamiętacie imagistów? - Boże, jak szybko ten czas leci!), a mogły opierać się na wzorach o wiele gorszych. Opiewały tropiki i aż oślepiały blaskiem słońca i rozprężonego piasku. Czytając je człowiek czuł się tak, jakby nagle znalazł się daleko, w Indiach Zachodnich. Nie znaczy to jednak, że nominały wypociny agentów reklamowych piszących Idery biur podróży. W tym literackim ponczu było dużo ku cytrynowego. Pamiętam jeden wiersz pod tytułem „Plaża we Frederiksted“. Widziało się pochylone palmy na tle cumulusów, szczątki rozbitego statku, wyrzucone na plażę przez fale, i wyblakłą reklamę Coca-Coli na starym drewnianym budynku.

Znowu napełniłem szklanę. Byłem jeszcze bardziej podniecony niż sama pani Kenwick, która odkryła tak ujący talent. W końcu przekonałem się, że z niecierpliwością oczekuję poznania dziewczyny, która nazywa się Solveig Skovgaard. Nie miałem już ochoty na Hemingwaya, nie chciało mi się też rozmyślać nad akcją mojej powieści. Czuję, że ogarnia mnie nastrój sprzed dziesięciu laty, kiedy poezja była całym moim życiem. Wobec tego wziąłem proszek nasenny.

Ale już prawie zapadając w sen postanowiłem nie pokładać zbyt wielkich nadziei w tym nowym talencie. Ostatecznie, nie takie to znów niezwykle zjawisko, że ktoś młody pisze obiecujące wiersze. Wielu miało powołanie, ale niewielu przetrwało zgnębny wpływ skomercjalizowanej cywilizacji. Pamiętam takich, co studiowali razem ze mną na uniwersytecie i wiązali ogromne nadzieje z poezją. Niektóre ich wiersze były tak dobre, że mam je do dziś. A oni sami, gdzie się podziewają teraz? Nauczają w szkole, sprzedają w sklepach albo pitraszą obiady dla męża, który wycina migdały. Sukces pisarski zależy nie tyle od talentu, ile od uporu i wytrwałości w zapelnianiu arkuszy papieru, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku. A potem od oferowania tych płodów jak nie tu, to gdzie indziej, przy czym nie wolno dopuścić, by odrzucony maszynopis choćby jedną noc przeleżał beczynnie pod dachem. Trzeba też mieć taką ambicję, aby nic nie mogło jej zabić, no i oczywiście sporo beczelności.

Tak samo pewno będzie i z tą Solveig Skovgaard: rozkwitnie tylko na krótką chwilę, nacieszy się tryumfem jako gość pani Kenwick, a potem wróci na swoje Wyspy Dziewicze i wyjdzie za męża za jakiegoś tępawego duńskiego plantatora po to, by mu rodzić jasnowłose potomstwo. Oto najlepszy przykład, jak można się w życiu mylić.

Następnego ranka, w czwartek, wyłączyłem telefon, żeby pani Kenwick nie mogła do mnie dzwonić, ponieważ miała dla mojej pracy nie więcej szacunku niż dla fryzjera; naparzyłem sobie dużo kawy, wkręciłem w maszynę arkusz żółtego papieru - i przesiedziałem dobre pół godziny wpatrzony w ścianę. Co gorsza, wcale nie miałem ochoty pisać o smukłym, opalonym jeźdźcu, który opuścił Teksas, żeby się zemścić; miałem ochotę pisać wiersze.

Z trudem stłumiłem ten impuls. Przerzuciłem Zene Greya i Maxa Branda. Poczytałem trochę Hemingwaya. Chwyciłem wreszcie nić przewodnią, a jednak chyba ze dwadzieścia minut męczyłem pierwsze zdanie, następne dziesięć, a trzecie pewno pięć; dopiero potem nabrałem rozpędu i akcja jakoś zaczęła się toczyć. O godzinie 15.35 pierwszy rozdział był gotów, a przeczytawszy uznałem, że nie jest taki zły, jak można było przypuszczać.

Trudno powiedzieć, czy to pod wpływem Hemingwaya, czy poezji Solveig Skovgaard, w każdym razie był zupełnie inny niż wszystkie westerny, jakie napisałem dotychczas. Więcej ładunku emocjonalnego; mniej akcji tylko dla akcji, więcej zwracania uwagi na psychologię.



Dziewczyną, skrzywdzoną przez niegodziwca, była już nie narzeczona bohatera, a jakaś Hiszpanka (nawet podobna trochę do pani Gonzales), która kiedyś ocaliła mu życie. Pobudki bohatera stały się przez to mniej realistyczne, a bardziej sentymentalne, stąd też nadzieja na lepsze czytadło.

Uciałem sobie drzemkę. Kiedy się zbudziłem, rysował mi się już w wyobraźni rozdział drugi, włączyłem więc telefon. Nie minęło kilka minut, a zabręczał.

- Pete? Cały dzień usiłuję się do ciebie dodzwonić - dał się słyszeć głos pani Kenwick. -  
Gdzieś ty był?

- Na pustkowiu Nowego Meksyku, na wschód od Coronado. Trzech obwiesiów usiłowało wciągnąć mnie w zasadzkę, nie bardzo wiadomo dlaczego. Zabiłem jednego, a pozostałych dwóch raniłem. Potem pojechałem do Coronado i wszedłem do baru „Pod Długim Rogiem“. Zawszad ziało tam groźbą.

- Nie zgrywaj się, Pete.

- Jak się to pani podoba?

- Okropnie prostackie, Pete.

- To prawda, ale jak - się nad tym popracuje, będzie na medal. Czy pani miałaby coś przeciwko temu, żeby mi posłużyć za wzór dla damulki, która tam prowadzi zajazd „Wąwóz Pokusy“.

- Pete! Wstydź się! Nie mam zamiaru ani chwili dłużej słuchać o tym powieścidle. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak ci się podobały wiersze Solveig Skovgaard?

- Owszem, owszem.

- Nie sądzisz, że sonety są przejmujące?

- Tak, są naprawdę świetne.

- Zawsze chciałabym napisać wiersz o moim narzeczeństwie. Pan Kenwick był żarliwym kochankiem.

- Mówił o papierze toaletowym?

- Och tak, ciągle mówił o papierze toaletowym. Myślę, że chciał zostać Królem Papieru Toaletowego. Wiesz, tak jak Gillette jest Królem Żyletek. Ale odbiegamy od tematu. Naprawdę podobają ci się te wiersze?

- Bardzo, są świetne.

- Nie masz innego określenia, tylko ciągle świetne?

- Nie, czytałem właśnie Hemingwaya.

- Skończyłbyś z tą drwiną, Pete. To może mieć wpływ na twoje pisarstwo!

- Nic nie może mieć wpływu na moje pisarstwo - odparłem - najwyżej książeczka czekowa wydawcy.

- Okropnie jesteś interesowny, Pete. Więc podobały ci się wiersze?

- Są wręcz przejmujące.

- Naprawdę tak uważasz? Aż tak?

- Piękne i przejmujące.

- Pete, coś mi się zdaje, że zaczynasz sobie kpić. Nie mam ochoty tego słuchać. Masz specyficzne poczucie humoru. Dzwonię, bo chcę się dowiedzieć, czy jutro o drugiej trzydzieści pojedziesz do Lamy?

- Oczywiście - odparłem - nie mógłbym przepuścić takiej okazji.

- Naprawdę pojedziesz? Nie nabierasz mnie?

- Ani krztyny.

- No, muszę już kończyć. Jak wpadasz w ten swój nastrój, to zupełnie nie umiem z tobą rozmawiać. Przyjedziemy po ciebie o drugiej trzydzieści.

- Przyjedziemy? Ktoś jeszcze?

- Tylko Arsenio.

- Och - westchnąłem - to dobrze.

Arsenio był szoferem pani Kenwick.

Główna linia kolei Santa Fe jakoś nie dotarła do miasta, od którego otrzymała swą nazwę, pasażerowie wysiadali w Lamy, osadzie znajdującej się jakieś dwadzieścia mil na południow-schód od Santa Fe. Aby się tam dostać, trzeba było jechać drogą na Pecos, która była ostatnim odcinkiem szlaku Santa Fe, liczącego chyba ze sto lat. Biegła u podnóży gór Sangre de Cristo, porośniętych jałowcem i niskimi sosnami pinon, po czym skręcała i ciągnęła się gdzieś w dal, ogromną suchą doliną, w której zmieściłoby się parę przeciętnych okręgów ze wschodnich stanów, a mimo to ciągle jeszcze byłoby dość miejsca na dalsze. W każdym razie widok z typowego westernu. Powietrze było tak rzadkie, a widzialność tak olbrzymia, że tuman kurzu, choć odległy o pięć mil, zdawał się tak bliski, jakby nas już dosięgał.

Pani Kenwick panicznie się bała, aby nie robić wrażenia, że dumna jest ze swego bogactwa - co jej się bardzo chwali - toteż przenosząc się do Santa Fe ograniczyła się do jednego Cadillaka i zabroniła szoferowi nosić uniform, ku jego, zdaje się, wielkiemu żalowi. Był to Hiszpan w średnim wieku, który miał zwyczaj wrzasać ramionami i mówić: - Ja tam nie wiem. - Nie nauczył się zmieniać opon, używać hamulca ani jechać prawą stroną. Wydaje mi się, że w jego umyśle Cadillac wciąż jeszcze był jakby rodzajem osła, który tylko w cudowny sposób wzbogacił się o moc, tempo i klakson. Ale jakoś nigdy nie miał wypadku. Każdy

kierowca w promieniu pięćdziesięciu mil znał jego brawurową jazdę i już z daleka zjeżdżał na bok szosy.

W Lamy był kościół, knajpa i stacja Santa Fe, przy czym spośród tych trzech instytucji budynek stacyjny z hotelem i barem śniadaniowym „Harvey House“ wyglądał najbardziej imponująco. Podobno Willa Cather ogromnie lubiła stację Lamy i tam właśnie napisała większą część „Death Comes for the Archbishop“; jest to niewątpliwie tylko legenda, bo co trzeci dom w okolicach Santa Fe rości sobie prawo do sławy z tego powodu. Ja osobiście skłonny jestem wierzyć, że Willa Cather napisała tę książkę we własnym mieszkaniu w Nowym Jorku.

Inna legenda literacka jednakże zdaje się być bardziej prawdopodobna: kiedy Frieda Lawrence wróciła do Nowego Meksyku z prochami D. H. Lawrence’a, w Lamy wyszli jej na spotkanie przyjaciele i zaproponowali kawę przed dalszą podróżą do Santa Fe. W zamieszaniu, jakie nastąpiło, pani Lawrence zostawiła prochy męża na ławce w poczekalni. W kilka minut później przypomniała sobie o tym i popędziła do poczekalni, ale prochów, niestety, nie znalazła. Prawdopodobnie dozorca, wiedziony instynktem krytycyzmu literackiego, wyrzucił paczkę owiniętą w papier pakunkowy. Jednakże paczka z urną i cała jej zawartość znalazły się w końcu i spoczywają pod Taos, w miejscu, które „na zawsze będzie Anglią“.

Wezśnie przyjechawszy do Lamy mieliśmy jeszcze dość czasu, by rozprostować nogi na peronie. Było cudowne popołudnie, bezchmurne niebo miało barwę turkusową, a cały widnokrąg był złocistobrazowy. Panowała cisza jak zwykle na pustkowiach zachodu i tylko od czasu do czasu dolatywał skądś stukot telegrafu.

- Bardzo jestem zdenerwowana, Pete - odezwała się pani Kenwick. - A ty nie?

- I czego się tu denerwować?

- Sama nie wiem. W końcu to przejmujące, jak się pomyśli, że ta biedna dziewczyna odbyła podróż aż z Wysp Dziewiczych. Musi być wrażliwa, skoro pisze takie wierze, i pewnie będzie nieśmiała i zmęczona. Chwilami żują się tak, jakby ode mnie zależały jej losy.

- Zawsze od jednych ludzi zależą losy innych - odparłem. - Jeżeli splunę na szyny kolejowe, to też pokieruję losem. Siła płucia zmienia kurs ziemi w jej pędzie w przestrzeni i nie wykluczone, że za milion lat ziemia zderzy się z jakąś kometą z powodu tego splunięcia.

I splunąłem.

- Nie rób tego, Pete. To mnie jeszcze bardziej denerwuje. Pamiętam kometę Halleya. Strasznie się wtedy bałam. A ty pamiętasz?

- Pamiętam jak dziś. Miałem cztery lata i ojciec zbudził mnie o trzeciej nad ranem, żebym zobaczył. Powiedział: „Pete, to wydarzenie ogromnej wagi. Prędko zapomnisz, jeżeli ci tego w jakiś sposób nie utrwale. Dlatego postaram się, żebyś mógł ten dzień dobrze zapamiętać“. I sprawił mi lanie.

- Nie powiedziałabym, żeby to było bardzo przyjemne - odezwała się pani Kenwick.

- Ojciec mój nie należy do ludzi przyjemnych.

- Co robi twój ojciec, Pete? Mówiłeś mi już, ale nigdy nie mogę zapamiętać, jak ludzie zarabiają na życie.
  - Prowadzi największy sklep żelazny w Litchfield, w stanie Iowa. Nawiasem mówiąc jedyny.
  - Czyżby nie popierał twoich aspiracji literackich?
  - Tego nie wiem, w każdym razie nie marzył nigdy o tym, żebym pisał.
  - Jako dziecko byłeś chyba bardzo wrażliwy?
  - Tak - odparłem - coś w tym rodzaju.
  - Wydaje mi się zresztą, że ty i teraz jesteś wrażliwy. Nieczułość i cynizm to zewnętrzna powłoka. W dalszym ciągu buntujesz się przeciwko ojcu. Tak mi się zdaje.
  - Możliwe. Psychiatrzy powiadają, że żaden syn nie jest dorosły, dopóki żyje ojciec.
  - Dlaczego więc nie napiszesz naprawdę dobrej książki, żeby go olśnić?
  - Minęłoby się to z celem. Mógłbym go olśnić tylko wtedy, gdyby mój dochód roczny wynosił pięćdziesiąt tysięcy.
  - Och, mój drogi, pieniądz to źródło wszelkiego zła. Rada jestem, że nie muszę się o to kłopotać. Ludzie tak się przejmują pieniędzmi, robią przedziwne rzeczy, żeby je zdobyć, a to naprawdę nie jest ważne, nie sądzisz?
  - Oczywiście, przecież to tylko papier.
  - A twoja żona lubiła pieniądze?
  - Sądząc z jej postępowania, to raczej nie. Ilekroć je miała, pozbywała się ich natychmiast.
  - Marzę o tym, żebyś mi opowiedział o swoim małżeństwie. Musiałeś się na żonie zawieść i dlatego teraz jesteś tak strasznie cyniczny.
  - Każdy na swój sposób jest cyniczny - odparłem. W tym momencie od strony kanionu rozległ się gwizd lokomotywy i po chwili wyłonił się cały pociąg. Pobudziło to do życia bagażowego Indianina, a i stary przekupień wynurzył się z budynku stacyjnego w nadziei, że coś sprzeda. Miał tam jakieś drobiazgi z ceramiki oraz pamiątkowe łuki i strzały produkowane na przedmieściach Nowego Jorku. Lokomotywa sapnęła i zatrzymała się, ale nie tam, gdzie zwykle. Musieliśmy przebiec jeszcze kawałek peronu.
- Spośród pasażerów, którzy wysiedli z pociągu, tylko jedna osoba wiekiem i płcią odpowiadała panie Skovgaard. Nie mogłem jednak uwierzyć, aby to miała być ona. Tak wyglądające dziewczęta nie piszą wierszy. A dziewczęta, które piszą wiersze nie wyglądają jak Miss Piękności Wysp Dziewiczych.
- Pete - szepnęła pani Kenwick - to musi być panna Skovgaard. Jestem zdenerwowana. Ty ją przywitaj.

- Z przyjemnością - odparłem.

Miała wspaniałe blond włosy i od razu przywodziła na myśl Wikingów i ich piękne dziewczęta. Z wyglądu sądząc nie była zmęczona podróżą i wcale nie onieśmielona, stała z konduktorem i gawędzili sobie jak starzy przyjaciele. Ładnie opalona na odcień złocisty, oczy miała brązowe, a ubrana była w jasnogrnatowy kostium i zgrabny mały kapelusik.

- Panna Skovgaard?

- Tak - odpowiedziała z uroczym uśmiechem.

- Jestem Pete McCabe z komitetu powitalnego, a to pani Kenwick.

- Jakże się cieszę - odezwała się Solveig Skovgaard aksamitnym głosem.

- O, moje dziecko - powiedziała pani Kenwick i ucałowała ją. - Przyjemną miałaś podróż?

- Wspaniała! Wszyscy byli tacy serdeczni. Wasz kraj jest cudowny. Pierwszy raz w życiu jechałam koleją.

Jeżeli ktoś zna Indie Zachodnie, to wie, w jaki sposób panna Skovgaard akcentowała słowa. Nie wszyscy jednak wiedzą, lepiej więc powiem i już nie będę wracał do tego tematu, bo chyba nic nie jest tak nudne jak czytanie słów inaczej akcentowanych, choćby nawet nie wiem jak zabawnych. To, co mówiła, brzmiało mniej więcej tak: - Wasz kraj jest cud-owny. Nigdy jeszcze nie jechałam kol-eją.

- Czeka na nas auto - odezwała się pani Kenwick. - Mój szofer zajmie się bagażem.

- Ma pani szofera? - roześmiała się śpiewnie Solveig Skovgaard. - Wszystko jak w filmie!

- Pani Kenwick ma szofera nie dlatego, że zadziera nosa - wyjaśniłem. - To osoba niesłychanie skromna. Szofera ma dlatego, że sama nie umie prowadzić.

- Och, naprawdę nie umiem. Kiedy próbowałam się nauczyć, myliłam pedały, a biegi zgrzytały przy włączaniu. Kiedyś wpadłam na rowerzystę.

- Miał na utrzymaniu owdowiałą matkę - uzupełniłem - i wkrótce po wypadku umarł. To naprawdę przejmujące.

- Pete! Matka jego wcale nie była wdową, a on nie był nawet zadraśnięty. To syn majora, który mieszkał w sąsiedztwie. Wiecznie kradł jabłka i w wigilię Wszystkich Świętych zawsze mazał nam okna. Było to, moja droga, w Bear Rapids, w stanie Wisconsin.

- Oo! - wykrzyknęła Solveig.

Nim doszliśmy do auta, zdążyłem zauważyć, że nogi Solveig w pończochach z czarnymi szwami są bardzo kształtne; gdybym był jej agentem prasowym, z pewnością napisałbym o niej, że ma figurę pierwsza klasa. Była doskonale zbudowana. Na widok Cadillaka uśmiechnęła się - zapewne przypomniały jej się wyższe sfery z filmu - i kiedy tak stała podziwiając wspaniałości Lamy, wyglądała sama wspaniale i ponętnie.

- Ale ja już to wszystko chyba kiedyś widziałam - odezwała się - a przynajmniej coś bardzo podobnego! Bar, góry, pustkowia... całkiem jak jakiś western.

- Pan McCabe pisze westerny - wyjaśniła pani Kenwick. - Teraz właśnie ma na warsztacie powieść o krowach, chociaż nie mam pojęcia, gdzie je znajdzie. Ja bardzo rzadko widuję krowy.

Solveig odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.

- To pan jest pisarzem?

- Tylko skromnym producentem małych opowiadań, które cechuje standardowość formy i treści - odparłem.

- Cechuje, cechuje. I potem każdy koniokrad cechuje rozpalonym żelazem te biedne krowy - wtrąciła pani Kenwick. - Zupełnie nie rozumiem, jak mu się chce o tym pisać. To przecież całkiem nierealne.

- Jest pan pierwszym pisarzem, jakiego poznałam - powiedziała Solveig. - Od lat o tym marzyłam.

I obdarzyła mnie prześlicznym uśmiechem.

Upłynęły już całe lata od tego czasu, a jednak ciągle jeszcze podziwiam zachowanie Solveig owego dnia. Ostatecznie to nie było łatwe, puls musiała mieć bardzo przyspieszony. Przez całą drogę do Santa Fe była doskonale opanowana, choć Arsenio, którego podnieciła jej uroda, jechał tak brawurowo, że nawet na niego to było szybko.

Ale nie to jej opanowanie zrobiło najsilniejsze wrażenie, raczej to, że taka była niewinna i dziewicza. Nie tylko dziewicza w sensie dosłownym, chociaż i to było oczywiste; mam na myśli czystość ducha, taka wydawała się nieskalana.

Opowiedziała nam o swojej podróży. Mniej więcej dziesięć dni temu opuściła Wyspę Św. Tomasza, wyspę nie tylko tropikalną, ale i senną w owych czasach, kiedy to samolot nie był jeszcze tak powszechnym środkiem lokomocji. Jechała starym zgrzybiałym frachtowcem „Karaibska Gwiazda“. Ale kapitan był wesoły. I bardzo usłużny, jeszcze z Zatoki wysłał depeszę do Nowego Orleanu, żeby zarezerwowano w hotelu pokój dla panny Skovgaard; w poniedziałek, kiedy statek przyplłynął, telefonicznie przywołał taksówkę. A potem, jak przyjechała taksówka, zdecydował, że odwiezie ją do hotelu, aby się upewnić, czy rzeczywiście zarezerwowano pokój. Urzędnikowi w recepcji powiedział, że jest córką jego starego przyjaciela, plantatora z Indii Zachodnich, i żeby jej jak najbardziej dogadzali. A przecież wcale nie znał jej ojca.

Nowy Orlean! Całkiem jak w marzeniach, a nawet więcej! Zachwycało ją wszystko. Drapacze chmur, trolejbusy, ruch na Canal Street, gazeciarze, nawet światła na przejściach i bufety, gdzie młodzi mężczyźni w zawadiackich białych czepkach na poczekaniu smażą bekon z jajkami. Wieczorem ośmieliła się przejść przez uliczki Vieux Carre, gdzie stare kobiety sprzedają pęki kwiatów, a z otwartych okien nocnych klubów dobiegają dźwięki jazzu. Od ulicznego sprzedawcy z białym wózkiem kupiła parówkę, pierwszą w życiu parówkę. Zaraz jednak wróciła do hotelu, bo w tej dzielnicy zbyt wielu mężczyzn usiłowało

nawiązać z nią znajomość. Następnego dnia zwiedzała domy towarowe. Czowała zamęt w głowie: była zupełnie nie przygotowana na to, że w Stanach Zjednoczonych jest tak oszałamiająca ilość towarów. Na wyspach zawsze wszystkiego brakowało, ponieważ wszystko trzeba było zamówić i przywieźć statkiem. Na przykład ktoś potrzebował taśmy do maszyny. Mógł obejść wszystkie sklepy i na caluteńkiej wyspie nie znaleźć jednej taśmy. Zapomniano po prostu złożyć zamówienie. Albo statek jeszcze nie przyplłynął. Ciężkie bywa życie na takiej odległej wyspie. Natomiast tutaj czuła się jak w rogu obfitości. Tyle wszystkiego i co za różnorodność! Kiedy wróciła do hotelu, miała wrażenie, że zwiedziła jakiś olbrzymi skarbiec.

We środę wsiadła w pociąg do Kansas City. Po raz pierwszy w życiu jechała pulmanem, po raz pierwszy jadła w wagonie restauracyjnym. Przed oknami migały niezmiernie niziny Południa i nie mogła się nadziwić, jak ogromnie dużo jest ziemi w tym kraju. Bo trzeba pamiętać, że całe życie spędziła dotychczas na wyspach, i to na małych wyspach, gdzie, w którąkolwiek stronę by się nie obrócić, po paru milach stawał człowiek na brzegu bezkresnego morza. Uczyla się geografii i właściwie, wzięwszy na zdrowy rozum, wiedziała, że są takie kraje, przez które można wędrować nawet trzy tysiące mil i nie napotkać morza, ale tak naprawdę nigdy nie mogła sobie tego wyobrazić.

W Kansas City musiała kilka godzin czekać na przesiadkę. Tu znów zdumiał ją widok ogromnego dworca. Co za wspaniałe marmury; i specjalne przejścia prowadzące na perony do pociągów odjeżdżających w kierunku Chicago, Minneapolis czy San Antonio; tłumy ludzi, restauracje i sklepy na stacji. Pociąg jej odjeżdżał późno w nocy; rano przed oknami roztoczyły się bezkresne suche równiny zachodniego Kansas i wschodniego Colorado. Potem pojawiły się na horyzoncie Góry Skaliste; pociąg wspinał się zakosami ku przełęczy Raton, a potem zjechał w imponujący krajobraz Nowego Meksyku.

- Taka jestem szczęśliwa - powiedziała. - To naprawdę cudowne przeżycie! A wszystko to zawdzięczam pani.

- Cóż znowu, moja droga, wszystko tylko sobie zawdzięczasz, napisałaś przecież takie piękne wiersze. Nawet Pete'owi się podobały, a on na wszystko wybrzydza.

- Tego bym nie powiedział - odparłem. Siedziałem obok Solveig i bardzo mi się podobało, że od czasu do czasu ocieramy się o siebie, a także podobał mi się zarys jej zgrabnych nóg widoczny przez spódniczkę. Płynął od niej zapach, jakim bywa przepojony ogród w porze letniej. Zdawało mi się, że to chyba Bellodgia Carona, i zdziwiłem się tylko, skąd wzięła na tak kosztowne perfumy. Potem dowiedziałem się, że port na Wyspie Sw. Tomasza wolny jest od cła, więc i francuskie perfumy i szkocka whisky kosztuje tam zupełnie tanio.

- Napisałaś może coś w podróży? - spytała pani Kenwick.

- Nie potrafiłabym - odparła Solveig. - Czy to nie Wordsworth powiedział, że poezja to wrzucenie przywoływane w spokoju? Byłam zbyt podniecona, aby pisać.

- Wordsworth to taki przejmujący poeta - rzekła pani Kenwick. - Szkoda tylko, że miał tyle kochanek, i to Francuzek.

- Pewno gdyby miał ich więcej - wtrąciłem - jego poezja byłaby jeszcze lepsza.

- Nie bądź taki cyniczny, Pete, bo panna Skovgaard będzie miała o tobie złe mniemanie.

- Rzeczywiście jest pan cynikiem? - spytała Solveig.

- W każdym razie nie w tej chwili, proszę pani. Odwróciła się z kolei do pani Kenwick.

- Czy można wiedzieć, skąd wzięła pani nazwę dla swojego czasopisma? Przecież „Niebiańskie Kamienie“ to cudowna nazwa! A może pani sama ją wymyśliła?

- To bardzo interesujące pytanie, moja droga. Tak, to ja wymyśliłam. Widzisz, w Nowym Meksyku najczęściej spotykanym kamieniem są turkusy. Indianie nadali im nazwę kamieni niebiańskich, ponieważ właśnie tego koloru jest niebo w Nowym Meksyku przy ładnej pogodzie. Chciałam więc znaleźć dla mojego pisma jakąś nazwę zrośniętą z tym krajem i właśnie w natchnieniu zabłysły mi „Niebiańskie Kamienie“.

Do Santa Fe wjeżdżało się nierówno brukowaną uliczką o jezdni niewiele szerszej niż szerokość auta. Arsenio przycisnąwszy kciukiem klakson rozproszył chmurę brązowej dzieciarni i psów, a hałas był taki, że nawet objuczony drzewem flegmatyczny osiołek zamachał szybciej ogonem. Na skrzyżowaniu rozległ się zgrzyt hamulców. To ciężarówka stanęła prawie dęba, żeby nas nie roztrzaskać.

- Mało brakowało, Arsenio - odezwała się pani Kenwick.

Arsenio, wcale nie zmniejszając szybkości, odwrócił głowę i uśmiechnął się uszczęśliwiony. - *Si, señora.*

- Dzisiaj na pewno zechcesz się trochę odświeżyć i wypocząć - zwróciła się pani Kenwick do Solveig. - Jutro będzie dość czasu na zwiedzanie.

Odprowadziłem obie panie do drzwi. Nagle pani Kenwick powiedziała do mnie:

- Wiesz, Pete, przyszła mi do głowy wspaniała myśl. Czy nie przyjechałbyś jutro po południu po pannę Skovgaard, żeby jej pokazać miasto?

- Wspaniała myśl - powtórzyłem. - O ile, oczywiście, panna Solveig ma ochotę zwiedzić je w moim towarzystwie.

- Cudownie.

- Okey, będę jutro o drugiej.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Solveig wyciągając rękę. Uścisk jej był ciepły i mocny.

Pani Kenwick uśmiechnęła się promiennie.

- Pete już się postara, żeby to było interesujące - dodała.

I mrugnęła.



## Rozdział 4

Następnego ranka zabrałem się do rozdziału trzeciego, ale wcale mi nie szło, ponieważ bohaterka, która pojawiła się w poprzednim rozdziale, wydawała mi się teraz całkiem niedobra i jakoś straszliwie nieprawdziwa. Była to mała brunetka, posiadała żelazną wolę, a gdy jej ojca zabili koniokradzi, usiłowała sama prowadzić rancho AA. Kilka razy zabierałem się do pisania, aż wreszcie wróciłem do rozdziału drugiego i wszystko poprzerałem. Dziewczę przeistoczyło się w prześliczną blondynkę duńskiego pochodzenia i dalej już szło mi jak po maśle.

Nic nie sprawia pisarzowi większej przyjemności jak napisanie dwu i pół tysiąca słów potocznej akcji, a cóż dopiero, jak ma lat dwadzieścia dziewięć, jest wolny, może robić, co mu się podoba i wybiera się na randkę z ładną dziewczyną. Tego dnia pogwizdywałem pod prysznicem.

Chwilami tylko miałem niejasne wrażenie, że kiedyś przeżywałem podobną historię. Wreszcie, jedząc sandwicza z masłem orzechowym i pomarańczową marmoladą, nagle zdałem sobie sprawę: Solveig Skovgaard przypominała mi Inez Turner, a Inez Turner była, co prawda niedługo, panią McCabe.

Mężczyźni rzadko uczą się na własnych błędach; a już na pewno nie na błędach popełnianych w miłości. Prawie zawsze tak bywa, że rozwiedziona mężczyzna, ledwie ochłonie po nieudanym małżeństwie, poślubia drugą kobietę zupełnie w tym samym guście. Nie chciałem być takim naiwniakiem, o, nie! Ale przecież to absurd uważać, że skoro Solveig Skovgaard jest atrakcyjną blondynką podobnie jak Inez Turner, to zaraz musi też mieć taki sam charakter.

Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. To dobre dla filozofów, którzy powiadają, że wśród wszystkich czynników, wiodących ludzi do małżeństwa, pierwsze miejsce zajmuje miłość. Ja osobiście wierzę w przyciąganie od pierwszego wejrzenia, chemiczne czy może elektryczne. Wczoraj na peronie w Lamy wydawało mi się, że stanowimy z Solveig katodę i anodę i że wytwarza się iskra między nami. Doskonale, to znaczy, że będzie nam dobrze w łóżku, o ile kiedykolwiek do tego dojdzie. Natomiast nie znaczy to wcale, że będziemy zgodnie brnąć przez wszystkie mielizny i wertepy nieuniknione w każdym małżeństwie.

Już kiedyś odczułem ten rodzaj wysokiego napięcia. Było to w roku 1929, kiedy pracowałem jako reporter w „Des Moines Register”. Jakiś właściciel magazynu meblowego otworzył warsztat, w którym wyrabiał abażury do lamp. Redaktor kroniki uznał, że warto napisać artykuł i zobrazować w nim ogromny rozwój miasta Des Moines. Właśnie kilka dni przedtem skończyłem inny artykuł, trochę żartobliwy, o królu środka wzmacniającego włosy, który prowadził kampanię, aby fryzjerów nazywać chiro-tonsuransami (wspaniałe doprawdy zajęcie dla prasy), więc redaktor kroniki kazał mi wraz z fotografem złożyć teraz wizytę u łysego brzuchacza, który miał nadzieję zostać królem abażurów. Był wtedy październik roku 1929. Pan Brzuchacz przepowiedział najpierw nieograniczony dobrobyt dla całego kraju, a zwłaszcza dla Des Moines, dając mi w ten sposób wprowadzenie do artykułu, a następnie powiódł nas na poddasze, gdzie czterdzieści dziewcząt robiło wszystko co trzeba, aby powstał abażur.

Miałem dwadzieścia cztery lata i byłem kawalerem. Pracowałem od drugiej po południu do jedenastej wieczór, popijałem dzin, mimo prohibicji, pocieszałem wdowy i sieroty, o ile te

pierwsze nie miały jeszcze czterdziestki, a drugie były pełnoletnie i płci żeńskiej, wspaniale się bawiłem, nie sypiałem więcej jak po sześć godzin, a potem płądziłem krótkie opowiadania, na które najczęściej nie było nabywcy. Mieszkałem w starym, nędznym hoteliku „Generała Williama T. Shermana“, mogłem sobie czytać Conrada, Menckena, „Nową Republikę“ i Havelocka Ellisa, a także pisać nieuprzejme listy do mojego ojca, tego starego sknery, a przede wszystkim przychodzić i wychodzić, kiedy mi się podobało. Nie miałem szacunku dla nikogo, a bałem się dwóch ludzi: redaktora kroniki miejskiej i redaktora wiadomości ze świata. Swego starego Forda parkowałem zawsze przy hydrantach pożarowych, ale nie zdarzało mi się płacić kary. Byłem naprawdę dobrym reporterem i wiedziałem o tym, a jeżeli zaszła potrzeba, mogłem jakiemś ważnemu wydarzeniu poświęcić cały swój czas, czy to w dzień, czy w nocy. Pisałem reportaże z pogrzebów, napadów rabunkowych w bankach, egzekucji, zjazdów pastorów okręgu Des Moines, morderstw, gwałtów, ślubów czołowych bootleggerów i posiedzeń kobiecej Ligi Abstynenckiej, a wszystko to prawdziwie mnie bawiło.

Myślę, że sam starałem się jeszcze bardziej utwierdzać w swojej ważności, co zresztą powinien robić każdy, aby życie było jako tako znośne. W każdym razie uważałem się za jednego z owych legendarnych superreporterów, o których krążą tysiące anegdot. Nawet ubierałem się w tym stylu: nie czyściłem butów, nosiłem wymiętoszone kapelusze i pogniecione ubranie.

Oczywiście, nie wszystkim się to podobało, zwłaszcza że z nikim właściwie się nie liczyłem. W każdym razie...

Pan Brzuchacz oprowadzał nas po swojej skromnej fabryczce abażurów. Tam właśnie, na poddaszu, jakieś dwudziestoletnie dziewczę podniosło głowę i spojrzało na mnie. Los na loterii! Trysnęły iskry. Zbliżyłem się do niej i powiedziałem: - Halo!

- Halo - odparła.

- Jestem z czasopisma „Register“ - oznajmiłem.

- Ach, tak...

- Przygotowujemy reportaż o produkcji abażurów. Chcielibyśmy sfotografować panią przy pracy.

Konwersacja błyskotliwa, wszystko jak trzeba.

Dałem znak fotografowi, który zabrał się do dzieła z zapalem; w owych czasach do fotografowania używano magnezji, a więc za każdym razem robiło się jasno jak w święto lipcowe.

Do moich obowiązków należało zdobycie nazw wszystkiego, co zostało utrwalone na kliszy. Ta anielska blondyna nazywała się Inez Turner. Zdobyłem też jej adres. A także numer telefonu.

- Zadzwoń - obiecałem - i przyniosę pani zdjęcia.

- Dobrze.

Pobraliśmy się między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem.

Nic dobrego z tego nie wyszło i dlatego właśnie, kiedy po latach w Santa Fe przeżuwałem sandwicza, światła w moim mózgu zabłyśły ostrzegawczo.

Ale gdy zatelefonowałem do Solveig Skovgaard, wszystkie moje wewnętrzne światła były już zielone. Zajechałem do pani Kenwick punktualnie o godzinie drugiej; służąca kazała mi zaczekać w salonie. Zdążyłem wypalić kilka papierosów, nim zjawiała się pani Kenwick ze swoją pupilką.

- Halo, Pete! - Solveig uśmiechnęła się na powitanie. Miała na sobie suknię z jedwabnego trykotu koloru miodu.

- Pete - powiedziała pani Kenwick - wybrałyśmy się rano na zakupy. Jak ci się podoba nowa suknia Solveig?

- Popieram.

- Chyba jest trochę zanadto opięta - Solveig obróciła się wolno. - Nie sądzi pan?

Uspokoiłem ją; na mój gust wcale nie była zanadto opięta.

- Pewno przybyło mi trochę od tego jedzenia w Nowym Orleanie, a nie chciałabym, żeby mi w szwach trzaskała, jak głębiej odetchnę.

I odetchnęła głębiej, ale szwy nie puściły.

- Ależ moja droga - odezwała się pani Kenwick - już ty nie musisz niepokoić się o swoją wagę. Jesteś naprawdę bardzo szczupła. Prawda, Pete, że jest zgrabna?

- Niewątpliwie.

- Solveig nie przypuszczała, że w Santa Fe będzie tak chłodno. Jest przyzwyczajona do klimatu tropikalnego, nawet nie przywiozła ze sobą płaszcz. Kupiłyśmy więc i płaszcz. A może byś nam pokazała?

- Zaraz włożę - powiedziała Solveig i zniknęła.

- Strasznie miła dziewczyna - zwróciła się do mnie pani Kenwick. - Zawsze chciałam mieć córkę. Jak to przyjemnie kupować stroje dla dziewczynki. Moi trzej chłopcy interesują się wyłącznie papierem.

- To pani płaciła za te stroje?

- Oczywiście. Ona jest bardzo biedna, Pete, i miała takie przejmujące życie. Wczoraj wieczorem opowiedziała mi wszystko o sobie i o mało się nie popłakałam. Doskonale się z nią czuję. Do tej pory nie miałam pojęcia, jaka jestem samotna i jak bardzo chciałabym mieć córkę. Wiesz co, Pete? Obiecała mi, że zostanie tak długo, jak będę chciała. Podoba jej się w Stanach.

- To świetnie.

- Myślałam, że będziesz z tego zadowolony?

- Co za fantastyczna nowina!

- Nie kpij, Pete.

Solveig wróciła w eleganckim tweedowym płaszczu w drobną kratkę i wytwornym kapelusiku z piórkiem; płaszcz ten musiał kosztować co najmniej tyle, ile „Niebiańskie Kamienie“ płacą za nowelę składającą się z dwudziestu pięciu tysięcy słów. Przypominała jedną z dziewcząt na eleganckich reklamach w pismach kobiecych, tylko że nie była tak niedożywiona i znudzona.

- Podoba się panu? - spytała.

- Tak, bardzo mi się podoba. Wygląda pani jak księżniczka, która właśnie wybiera się autem do Londynu.

- Solveig nie jest Angielką, Pete - wyjaśniła pani Kenwick. - Jest Dunką z pochodzenia.

- Zawsze miałem sentyment do Duńczyków. Hamlet to przemiły facet.

- Naprawdę tak pan myśli? Bo mnie zawsze wydawał się jakiś pomyłony. Przypomina mi zresztą Wytrzeszcza z „Azylu“.

- Mój Boże - odparłem - powinna pani napisać o tym esej. To by dopiero była sensacja.

- Och, nie wiem, Pete, ale nie sędzę, abym potrafiła interpretować Faulknera. On jest taki głęboki, nieprawdaż? Przypomina mi Roberta Browninga.

- A co ze zwiedzaniem Santa Fe? - spytałem.

W drzwiach pani Kenwick pocałowała Solveig, a mnie poklepała po ramieniu.

- Bawcie się dobrze, dzieci! - powiedziała.

Wstydzilem się mojego Plymoutha; olśniewająca uroda Solveig wymagała odpowiedniej oprawy. Zajechaliśmy na Plaza i mineliśmy stary Pałac Gubernatora, w którym obecnie znajduje się muzeum, a pod portalami Indianie rozkładają na kocach swoje świecidełka. Opowiedziałem Solveig, że Lew Wallace, kiedy był gubernatorem Nowego Meksyku, w tym pałacu podobno napisał „Ben Hura“. Zaciekawilo ją to, bo jako dziesięcioletnia dziewczynka zaczytywała się „Ben Hurem“.

- Nigdy jakoś nie mogłem przez to przebrnąć - powiedziałem. - Większość dziewiętnastowiecznych klasyków usypia mnie. A już Dickensa formalnie nie znoszę.

- A ja przeczytałam całego Dickensa. Na naszej plantacji na Wyspie Św. Krzyża był komplet jego dzieł, a jak człowiek mieszka, na wyspie, to czyta wszystko, co tylko wpadnie mu w rękę.

Minęliśmy katedrę w Lamy, sławną dzięki biskupowi (Solveig czytała Willę Cather także), a potem jechaliśmy po niebrukowanych, wąskich uliczkach wijących się wśród murów i tamaryszków. Wreszcie skierowałem się na północ, na drogę prowadzącą do Taos. Ze wzgórz, jeśli się obejrzeć, widać było Santa Fe przytulone do gór; dalej na równinie w stronę Albuquerque wznosiło się ohydne stare więzienie z wielkim kominem z cegieł, z którego wydobywały się kłęby czarnego dymu. Na północ krajobraz wyglądał trochę tak jak w książkach Rhodesa, którego westerny mają chyba najwięcej wspólnego z literaturą; a trzydzieści mil na zachód majaczyły zarysy gór Jemez.

Kiedy nastaje kwiecień, na północy Nowego Meksyku powietrze jest ostre, ale drzewa zaczynają już wypuszczać pąki; kuliste szarłaty, które wiatr będzie pędził jesienią po pustkowiach, są jeszcze małe i zielone; Hiszpanie oczyszczają kanały irygacyjne i palą zeszloroczne chwasty. Jadąc dalej mija się pola uprawne, konie i ludzi przygotowujących ziemię pod uprawę papryki, a w zagrodach grzebią czarne hiszpańskie kury.

- Pani Kenwick mówi, że jest pan cynikiem - zagadnęła Solveig. - A poza tym, że był pan żonaty i że przeszłość pana kryje jakąś zagadkę.

- Chyba tylko jedną: dlaczego, w ogóle poślubiłem tę osobę.

- Nie lubi pan o tym mówić?

- Nie w tak piękne popołudnie jak dzisiaj.

- Dobrze, Peter... Jeżeli nie ma pan ochoty, nie mówmy na ten temat.

Właściwie to nie pamiętam nawet dobrze, o czym mówiliśmy wówczas; pewno ot, tak, bez żadnego związku, jak zwykle bywa z młodymi, którzy się sobie spodobali. Pamiętam jednak, że czułem się całkiem beztrusko. Dojechałem do Pojoaque, a następnie skręciłem na zachód wąską drogą wiodącą pośród małych ranchy o glinianych domkach i drzewek osiki. Dobiliśmy właśnie do Rio Grande, rzeki błotnistej i wezbranej po brzegi, bo gdzieś wyżej topniały śniegi. Solveig chciała się tutaj zatrzymać.

Wysiedliśmy więc i stanąwszy na moście, patrzy z góry na wartki prąd wody i kołujące wiry.

- To chyba jedna z najslawniejszych rzek na świecie, prawda? - spytała.

- Tak.

Uśmiechnęła się, a ja zauważyłem, że jest podniecona jak mała dziewczynka, kiedy dostanie nową lalkę.

- Wygląda właśnie tak, jak sobie wyobrażałam. Chcę zobaczyć wszystkie sławne rzeki świata. Sekwanę, Tamizę, Eufrat. Chcę też zobaczyć sławne miasta. Chcę kupować stroje w Paryżu i chodzić do teatru w Londynie, i pić cocktaile w „Raffle Hotel“ w Singapurze.

- Wcale ambitny plan.

- Jestem ambitna, Peter. Życie miałam dość interesujące, a jednak czasami zdawało mi się, że... się duszę. Lata całe marzyłam o przyjeździe do Stanów i wreszcie jestem tutaj, ale chwilami ogarnia mnie strach, że się zbudzę z tego snu.

Roześmiała się, po czym, schyliwszy się, ujęła garść kamyków i rzuciła do wody, tak jak to robią mali chłopcy, których rozsadza nadmiar energii. Dziewczęta mn ogół o wiele niezręczniejszym ciskają kamienie, nie omieszkałam jej więc tego powiedzieć.

- Och, ja przecież sterowałam łodzią, rzucałam liny.

Wsiadliśmy do auta i minąwszy most wjechaliśmy w wyboisty kanion, wspinający się coraz wyżej i wyżej.

- Niech mi pan opowie coś o swojej twórczości. Peter.

- To bardzo nudny temat.

- Jak pan może tak mówić! Dla mnie pisanie to najważniejsza rzecz na świecie.

- Ale nie moje. Jestem nędznym pisarzyną. Niewiele mam wspólnego z intelektualistami Santa Fe.

- Pani Kenwick twierdzi, że ma pan wielki talent. W jaki sposób zaczął pan pisać?

I nagle złapałem się na tym, że opowiadam jej o chudym szesnastoletnim chłopcu z Litchfield w stanie Iowa, który czytywał zawsze rubrykę o książkach w „Des Moines Sunday Register”. Co tydzień wydawca drukował sześć recenzji, przysyłanych przez czytelników. Nazywano je recenzjami skondensowanymi, bo należało ograniczyć się do pięćdziesięciu słów.

- Ja też posłałem jedną taką recenzję i została wydrukowana. Wywołało to nie byle jaką sensację w moim rodzinnym mieście. W taki właśnie sposób pierwszy raz mnie wydrukowano.

- Rodzice musieli być dumni...

- Macocha była dumna, ojciec nie. Miał... i ma nadal zgryźliwe usposobienie. Chciał, żebym pracował także w sklepie żelaznym. Za takie recenzje nie płacili ani centa, ale on wciąż uparcie powtarzał, że pewno lada dzień przyjdzie dla mnie czek. Zaciąłem się więc jeszcze bardziej. Po powrocie ze szkoły musiałem pomagać w sklepie, tak samo i w soboty, mimo to znalazłem jakoś czas, żeby napisać krótkie opowiadanie o farmerze, który dla własnej przyjemności hodował jelenia. Posłałem do gazety rolniczej, zapłacili mi dolara. Ojciec zaczął jeszcze bardziej kpić ze mnie. Nazywał mnie młodym Szekspirem. Ech, wolałbym o tym nie mówić.

- Pani Kenwick wspomniała mi, że był pan kiedyś dziennikarzem.

- Tak, niedługo co prawda.

- A jak do tego doszło?

- Na Uniwersytecie Stanu Iowa. Ojciec nigdy by mnie nie posłał na uniwersytet - to stary sknera - ale poszedłem sam i jakoś sobie radziłem. Kręciłem mięso u rzeźnika, pompowałem benzynę, kosiłem trawniki, myłem okna, i tak dalej. Wie pani, ta legenda o ambitnym amerykańskim chłopaku, którego pożera głód wiedzy. Ale to wszystko bzdura. Mamy

mnóstwo niedouczonej ludzi dlatego tylko, że większość z nich musiała przez cały czas pracować, żeby żyć i opłacić studia. Uważa się powszechnie, że student tak wiele zyskuje przebijając się o własnych siłach przez studia. On może i zyskuje, ale na pewno nie jego intelekt. O ileż byłoby lepiej, gdybym cały ten czas, zmarnowany na mielenie mięsa, spędzał w bibliotece. Albo na włóczeniu się i szukaniu własnej duszy, jak mówi Whitman. W każdym razie dostałem się w końcu do zespołu redakcyjnego uniwersyteckiej gazetki. Gdzieś pod koniec drugiego roku. Był tam też kolega z ostatniego roku, który dorabiał sobie jako korespondent gazet codziennych w Des Moines, Chicago i w Omaha. To on mnie wprowadził w tę pracę i kiedy zrobił dyplom, przejąłem jego funkcje. Przestałem mleć mięso i zacząłem pracować jako korespondent z Iowa City dla kilku gazet. Nie pomagało to wszystko w zdobywaniu edukacji, ale jakoś prześlizgiwałem się z semestru na semestr i w końcu dostałem dyplom. Po studiach nietrudno było otrzymać stałą pracę w „Register“, skoro już mnie znali jako swojego korespondenta.

- To po prostu fascynujące! - wykrzyknęła SoIveig.

- Czyżby?

- Ależ tak, Peter! Nie wyobraża pan sobie, jak marzyłam, żeby poznać pisarza.

Mogło to być udawane, ale niekoniecznie. Powiedziała te słowa z wielkim przejęciem i entuzjazmem. Początkujący pisarze mają dość dziwny sposób bycia.

- Proszę mi powiedzieć, co pan teraz pisze?

- Właśnie zamierzam poświęcić dwa miesiące na powieść, ale zasadniczo podstawą mojej egzystencji są opowiadania dla popularnych czasopism. To nawet całkiem zabawne. Macha się takie coś prędko i nie trzeba się przejmować różnymi tabu.

- Tabu... Widziałam to słowo w „Writer’s Digest“.

Pewno że widziała. Ja też.

- Ale dlaczego te tanie czasopisma nie mają tabu?

- Och, mają. Bohaterki muszą być niewinne, bohaterowie dzielni, czarne charaktery na wskroś niegodziwe, ale to byłoby już mniej więcej wszystko. Widzi pani, tanie czasopisma robią forszę dzięki dużym nakładom, a nie dzięki reklamie. W tych drogich, pięknie wydawanych pismach sprawa wygląda zupełnie inaczej. Pisarz musi bardzo uważać, żeby nikogo nie obrazić. Nie może na przykład pisać o wypadku samochodowym, ponieważ mogłoby się to nie spodobać fabrykantom samochodów. Nie może nazwać Forda Fordem ani Cameli Camelami, bo zaraz Chevrolet czy Lucky Strike oskarży redakcję o bezpłatne reklamowanie ich rywali. Najgorsze jednak ze wszystkiego jest to, że czasopisma te czyta tak zwana klasa średnia i trzeba uwzględniać wszystkie jej absurdałne przesady. Aby pisać odpowiednio dla tych wytwornych czasopism, trzeba czytać „Middletown“ i tam wyławiać wszystkie najbardziej typowe poglądy klasy średniej. A potem w swoich opowiadaniach wykazywać, że takie poglądy są rozsądne, choć na ogół jest przeciwnie. Typowe na przykład będzie przekonanie, że wprawdzie dalekie łąki wydają się bardziej zielone, a jednak we własnym ogródku dokopać się można brylantów. Dobrze napisane opowiadanie na ten temat zawsze łatwo sprzedać, działa ono bowiem jak opium na te wszystkie ofiary ekonomicznego determinizmu, jak zwykli ich określać aktywiści związkowi. Tkwią, i to tkwią na amen, w

swoim Hartford czy Keokuk i nigdy nie popłyną rzeką przez niezbadaną dżunglę, nigdy nie będą leżeć na plaży w Pago Pago. Zadaniem czasopisma, a stąd także i pisarza, jest przekonać ich, że są o wiele szczęśliwsi siedząc w swoim rodzinnym mieście i kupując doskonałej jakości towary reklamowane w naszym piśmie. Sprzedaję czasem swoje opowiadania do tych czasopism, i nawet podobają mi się ich czeki, ale pisząc dla nich sam siebie nienawidzę. Nie cierpię pisać tak, jak wymagają agencje reklamowe. Nie cierpię samych agentów reklamowych. To nienawiść z czasów, kiedy sam miałem do czynienia z gazetą.

- Czuję zamęt w głowie - powiedziała Solvoig. - Nie miałam pojęcia, że z pisaniem jest aż tyle kłopotu.

- Wielu pisarzom oczywiście przychodzi to łatwiej niż mnie - odparłem. - Tak się złożyło, że na nieszczęście... a może szczęście... mam buntowniczą naturą. Jest takie staromodne słowo „filistyn“. Jeżeli tak akurat zdarzy, że utalentowany pisarz jest filistynem - a wielu jest takich - wtedy pozostaje mu tylko opanowanie techniki. A potem już większość z tego, co napisze, będzie pewna na sto dwa, bo jego poziom intelektualny nie różni się od poziomu czytelników czasopisma i wydawców. Inteligentny pisarz musi zwalczać olbrzymie trudności.

- A teraz niech mi pan powie coś o swojej poezji - poprosiła Solveig. - Pani Kenwick mówiła, że pisze pan piękne wiersze.

Roześmiałem się.

- Naprawdę tak powiedziała.

- Pani Kenwick mówi, byle mówić. Nigdy jeszcze nie oglądała moich wierszy. Nikt ich nie oglądał.

- A mnie pan kiedyś pokaże?

- Nie wiem.

Dojechaliśmy do mijanki, wysoko na zboczu; radiator aż bulgotał. Przystanąłem, żeby ostygł, i wysiedliśmy na chwilę z auta. Daleko, o całe mile na wschód, a jednak wyraźnie widoczny na tle nieba ciągnął się na północ i południe łańcuch Sangre de Cristo, a dolina poniżej kolorytem przypominała grzechotnika. Powietrze było rześkie i pachniało sosnami.

- Tak tu skąpo roślinności i wszystko jakby spalone słońcem - powiedziała Solveig. - W tropikach roślinność jest bujniejsza, lecz tutaj mam wrażenie, że oglądam sam szkielet ziemi. Bardzo mi się tu podoba.

- To surowy kraj, ale mnie też się podoba. Wiele mu zawdzięczam. Opowiem pani, jak się tutaj znalazłem.

Spojrzała na mnie. Pomyślałem, że oczy ma niewinne jak dziecko, a włosy złote jak miód w tym jasnym słońcu.

- Jeżeli nie ma pan ochoty, Peter, to nie trzeba.

- Myślę, że lepiej będzie, jak opowiem. Ilekroć widuję się z jakąś dziewczyną, a mam nadzieję, że z panią będę się widywał, mówię jej o tym. Otóż kiedyś zachorowałem na płuca.



Było to pod koniec 1931 roku. Pisałem wtedy reportaże dla „Des Moines Register“ i byłem okropnie przepracowany. Czuję się tak paskudnie, że poszedłem do lekarza. Powiedział, że uchwyciliśmy gruźlicę we wczesnym stadium, kazał rzucić pracę i iść do szpitala. Po sześciu miesiącach orzekł, że jestem już zdrowy. Odpoczywałem jeszcze przez dziesięć miesięcy, po czym przyjechałem do Santa Fe. Dużo tu jest chorych na płuca. Zamierzałem jechać do Phoenix, ale spodobało mi się, w Nowym Meksyku, no i zostałem. Chodzę na kontrolę co trzy miesiące, mimo że od tamtej pory ani razu nie miałem nowego ogniska. Lekarz mówi, że jestem zdrowy jak koń i nie ma mowy, abym kogoś mógł zarazić, ale wolałem to jednak pani powiedzieć.

Solveig roześmiała się: - Ja też jestem zdrowa jak koń, Peter. Nigdy jeszcze nie chorowałam i nie lękam się gruźlicy.

Radiator uciszył się, wobec tego pojechaliśmy dalej wijącą się serpentyną drogi, która poprzez górskie taki powiodła nas do sosnowego lasu. Wszystko tu tchnęło spokojem i zamierzchną przeszłością, jakby cała ta kraina nic się nie zmieniła od czasu człowieka jaskiniowego. Przejechaliśmy chyba około mili, gdy ukazały się jakieś zabudowania o oknach zabitych deskami.

- Co to za domy? - spytała Solveig.

- Kiedyś była to szkoła dla chłopców. Teraz urządza się tutaj letnie obozy, ale na ogół mało kto tu zagląda.

- Jak nazywała się ta szkoła?

- Los Alamos - objaśniłem.

Nietrudno się domyślić, że zakochałem się w Solveig Skovgaard, nietrudno też sobie wyobrazić, jak wyglądało moje życie w ciągu następnych kilku tygodni. Ta wiosna szczególnie utkwiła mi w pamięci. Rano ciężko pracowałem - moja powieść posuwała się szybko naprzód, mój Celny Hemingway galopował na koniu i jednym wystrzałem gasił światła w każdym barze - a po południu lub wieczorem spotykałem się z Solveig. Kiedyś pojechaliśmy na obiad do Albuquerque, innym znów razem do Taos; a potem wybraliśmy się w góry, gdzie zaprowadziłem ją do mojego przyjaciela, rzeźbiarza-pustelnika, który miał siedemnaście kotów. Zdawało się, że cały oplatany jest brodą i włosami. Był to zupełnie dobry rzeźbiarz; rzeźbił dla przyjemności, a największą uciechę znajdował w wysokogórskich wyprawach, w czasie których wyszukiwał nadające się do rzeźbienia wielkie głazy. Potem taszczył je do swojej chaty - a zbudowany był jak zapaśnik - i rzeźbił dłutem ogromne głowy ludzkie, które z powrotem zanosił w góry.

- Lubię wyobrazać sobie, jak po tysiącach lat archeologowie odnajdują moje rzeźby - mówił uśmiechając się.

Po tysiącach lat! Kiedyś i my tak myśleliśmy, pamiętacie? Wierzyliśmy, że po tysiącach lat archeologowie dogrzebią się do naszej cywilizacji. Ale to było, zanim do Los Alamos wtargnęli naukowcy.

Pani Kenwick była najwyraźniej podniecona widząc, że tak adoruję Solveig, i lada moment spodziewała się ogłoszenia zaręczyn. Mnie jednak nie spieszno było do małżeństwa. Już raz się sparzyłem.

A jednak, gdyby nie kilka drobnych wydarzeń, może i doszłoby wtedy do ślubu. Kiedy cofam się wstecz, wydaje mi się, że świadomość moja niezdolna byłaby uchwycić znaczenia tych wydarzeń i że zawdzięczam to tylko swojej podświadomości, ona mnie widać ostrzegła, podobnie jak zawsze w westernach wierny koń, który wierzga, cofa się i nie słucha jeźdźca, gdy ten w ciemności kieruje go w przepaść.

Może nawet i zauważyłem, że o pewnych okresach swojego życia na Antylach wołała nie mówić. A może wcale nie zwróciłem na to uwagi? Dawne to lata, gdybym więc teraz, po fakcie, rozprawiał o swoich podejrzeniach, niewątpliwie przeceniałbym własną bystrość. Zresztą nie wiem. Ale wydawała się całkiem szczerą odpowiadając na pytania. Powiedziała, że urodziła się na plantacji na Wyspie Św. Krzyża w pobliżu miejscowości Frederiksted, na wybrzeżu zachodnim. Plantację nazywano „Fortuną Eryka“. Jej pradziad, Eryk Skovgaard, wybudował tam dwór chyba sto lat temu. Rodzinna legenda podaje, że jako dziesięcioletni chłopak uciekł na morze z ojczystej Danii. Nim skończył lat trzydzieści, dorobił się majątku przemycając Murzynów z Afryki do duńskich Indii Zachodnich. Chociaż rząd wydał już w roku 1803 zakaz handlu niewolnikami, nie zniósł jednak samego niewolnictwa, wobec czego przedsiębiorczy młody Duńczyk mógł na przemyśle robić kokosy.

Wywnioskowałem, że rodzinie Skovgaardów na całe stulecie starczyło majątku, którego dorobił się Eryk. Miałem wrażenie, że po roku 1848, kiedy na wyspach całkowicie zniesiono niewolnictwo, spora część dochodów z plantacji przepadła. A potem zawalił się światowy rynek cukru. Za czasów syna i wnuka Eryka plantacja trzciny cukrowej zdziczała na powrót. Ten wnuk nazywał się Axel Skovgaard i był ojcem Solveig.

- Umarł, kiedy miałam siedem lat - powiedziała. - Cała moja rodzina nie żyje.

- A matka pochodziła też z Danii?

- O tak, z Kopenhagi. Była aktorką. Po śmierci ojca wyszła drugi raz za mąż, za Amerykanina..

Bezwiednie zadałem pytanie: - Czy lubiła pani ojczyma?

- Owszem.

- Też nie żyje?

Solveig skinęła głową. Powiedziała, że rekin go dopadł, stało się to na jej oczach.

- Nie chcę o tym myśleć, Peter. To było straszne. Kiedyś panu opowiem, ale nie teraz. Po jego śmierci zrezygnowaliśmy z matką z „Fortuny Eryka“, bardzo obciążonej hipotecznie, bo i my miałyśmy wszędzie długi. Stało się to w roku 1930. Zamieszkałyśmy w naszej żaglówce „Diabelski Młyn“ w przystani Christiansted i pływałyśmy sobie dokoła wyspy.

- Dość dziwna nazwa dla żaglówki i to na Wyspach Karaibskich.

Tak, rzeczywiście dziwna. To pomysł ojczyma. Żyło im wtedy bardzo ciężko, mieszkali na łodzi; miały jednak przyjaciół. Między starymi duńskimi rodzinami panowała ogromna solidarność. Ale zaraz potem nastąpił kryzys gospodarczy. Jeszcze przed kryzysem Herbert Hoover, zwiedzając Wyspy Dziewicze, nazwał je ogromnym domem nędzy, można więc

sobie wyobrazić, jaka nędza zapanowała tam po kryzysie. Nie, na pewno nie jestem w stanie tego sobie wyobrazić. Nędza tropików. Taką nędzę trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Nawet te rodziny, którym przedtem powodziło się całkiem nieźle, teraz przycisnęła bieda.

- Żyłyśmy bananami, rybami i owocami mango - mówiła dalej Solveig. - A poza tym matka moja urządziła wieczory recytatorskie. Wiesz, czytała wiersze i sztuki. Była zdolną aktorką. Popierali ją nasi przyjaciele i rozprawdzali bilety. Były to najczęściej spotkania towarzyskie przy herbatce na rozmaitych plantacjach. W ten sposób trochę sobie dorabialiśmy. Ale potem matka umarła na żagłowiec w przystani. O tym też nie mogę myśleć. Zapalenie wyrostka robaczkowego. Gdybyśmy byli w mieście, gdzie są szpitale... ale niestety. Po pogrzebie popłynęłam żagłówką na Wyspę Św. Tomasza i zamieszkałam w przystani Charlotte Amalie. Miałam dziewiętnaście lat, ani grosza przy duszy i chwilami ogarniała mnie czarna rozpacz. Z czasem jednak dostałam pracę w sklepie pod nazwą „Miasto Kopenhaga“. Właściciel znał mojego ojca. Trzeba przyznać, że wszyscy Duńczycy na wyspach starają się trzymać razem. Był to elegancki sklep z tkaninami i różnymi artykułami europejskimi, obliczony na turystów. Można tam było kupić szwajcarskie zegarki, niemieckie aparaty fotograficzne, francuskie perfumy, duńskie srebro i temu podobne rzeczy. Wyspa Św. Tomasza jest strefą wolnocłową. Często przyływały statki wycieczkowe, a wtedy panował ruch w interesie. Byłam na prowizji i jakoś dawałam sobie radę.

- A w wolnych chwilach pisała pani wiersze?

- Tak. Po pracy i podczas weekendów. Zawsze pisałam, odkąd tylko sięgam pamięcią.

- A kto to jest Hannibal Baker?

Spojrzała na mnie zdziwiona. - Mieszka na Wyspie Św. Tomasza. Ale skąd zna pan to nazwisko?

- Widziałem na maszynopisie. Podała pani swój adres na Hannibala Bakera.

- A tak, całkiem zapomniałam. To mój stary przyjaciel z Wyspy Św. Krzyża. Chodziliśmy razem do szkoły. Pracuje w jakimś urzędzie w Charlotte Amalie.

- Wielbiciel?

- Nie, tylko przyjaciel. Posłużyłam się jego adresem, bo on ma własną skrzynkę pocztową, na którą ja nie mogłam sobie pozwolić. Zwykle moja poczta przychodziła na poste-restante. Wtedy jednak nie było pewności. Na poczcie pracują też tubylcy i są czasami nieuważni, szczególnie jeśli chodzi o poste-restante. Listy miesza się z drukami albo nawet giną. Nie ma pan pojęcia, jak wygląda życie na wyspie. Wysyłając swoje wiersze na konkurs, chciałam możliwie prędko wiedzieć, czy zwyciężyłam. Dlatego właśnie posłużyłam się numerem skrzynki Hannibala Bakera.

- Także Duńczyk?

- Częściowo chyba tak. Dlaczego?

- Imię nie wygląda na duńskie. Powiedziałbym, że dosyć niezwykle.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To po prostu mój kolega z czasów szkolnych.

- Nie tęskni pani czasem za wyspami?

- Nie, nienawidzę wysp. Wcale nie chcę tam wracać.

Solveig starała się być jak najbardziej użyteczna dla pani Kenwick, niewątpliwie dlatego, że tak gorąco pragnęła pozostać w Stanach. Czytała maszynopisy i wykonywała wszelkie prace związane z „Niebiańskimi Kamieniami“, nie pisała tylko na maszynie. Do tych celów pani Kenwick miała sekretarkę.

Biuro tego pisma, składające się z dwóch pokoi, mieściło się w domu pani Kenwick, ale drukowano je oczywiście u drukarza, który trudnił się tym zawodowo. Tymi właśnie sprawami zajmowała się Solveig: przynosiła odbitki i chodziła razem z panią Kenwick, aby zrobić korektę. Dużo trzeba pracy, żeby pismo wyszło co miesiąc, nawet jeśli jest ono małym czasopiśmem poetyckim.

- Nie wiem, doprawdy, jak sobie przedtem radziłam bez niej - mówiła pani Kenwick. - Ona jest cudowna, Pete.

- Wiem.

- Jest dla mnie jak córka. Czyta mi na głos, gadamy o strojach, pomaga mi nawet sprawdzać mój rachunek bankowy. Nigdy nie byłam w stanie tego robić, strasznie jestem kiepska w wyższej matematyce. Zawsze okazywało się, że mam więcej pieniędzy na rachunku bieżącym, niż przypuszczałam. Pieniądze wprowadzają tyle zamieszania. Za dużo mają wspólnego z arytmetyką. Stąd chyba ten kłopot.

- Może i tak.

- Na pewno, Pete, cały kłopot leży w arytmetyce. Wielką mam pomoc w Solveig. Daję jej pensję, ale to się opłaca, bo przecież pracuje w „Niebiańskich Kamieniach“, więc można to potrącić przy obliczaniu podatku. Przy tych podatkach to naprawdę warto więcej wydać, bo potem i tak się wyrówna, kiedy podatek będzie niższy.

Rozmowa ta miała miejsce pewnego popołudnia, kiedy przyjechałem po Solveig w kilka tygodni po jej przybyciu do Santa Fe. Właśnie tego popołudnia po raz pierwszy zauważyłem jej palec.

Nie pojmuję, w jaki sposób uszło to dotychczas mojej uwadze. Ja, który dzięki dziennikarstwu mam tak bardzo wyostrzony zmysł obserwacyjny. Ale to pewno dlatego, że dotąd stale w jej towarzystwie widziałem wszystko przez złotoblond mgiełkę.

Solveig weszła do pokoju z trzema cienkimi książeczkami, które zamierzała wziąć ze sobą na przejażdżkę.

- Masz zamiar nadrabiać zaległości w czytaniu? - spytałem ją, kiedy siedzieliśmy w aucie.

- O, już przeczytałam - odparła. - Wzięłam tylko ze sobą w nadziei, że zrobisz mi ogromną przysługę. Chciałabym, żebyś je przejrzał i powiedział, co o nich myślisz,

- Co to jest?

- Wiersze. Egzemplarze recenzyjne.

- A co ty o nich sądzisz?

- Wolałabym najpierw usłyszeć twoje zdanie. Nie chciałabym nic sugerować.

Po jechaliśmy na północ od miasta, a potem w stronę gór drogą nie bardzo ruchliwą. Wiosna tutaj już była w pełni, jabłonie całe obsypane kwieciami. Po przejechaniu paru mil zatrzymałem auto pod pozorem, że chcę przejrzeć te książki.

Do tej pory byłem w swoich zalotach do Solveig ostrożny, nie chciałem pokpić sprawy zbyt szybkim działaniem. Pani Kenwick przypuszczalnie udzieliła jej już matczyńskich rad i ostrzeżeń, że jestem rozwodnikiem, a więc wszystkiego się można po mnie spodziewać. Chyba jednak nie było tak źle. Bądź co bądź pani Gonzales zaspokajała moje podstawowe potrzeby, mogłem więc w stosunku do Solveig ograniczyć się do pocałunku na dobranoc czy najwyżej do jakichś wstępnych pieszczot. Dzisiaj postanowiłem posunąć się trochę dalej.

- Przejrzę teraz te książki - powiedziałem wyłączając motor.

Nie pamiętam już tytułów ani wydawcy. Nie pamiętam też autorów. Każdemu się zdarza zapomnieć. Wiem tylko, że wszystkie miały po około dziewięćdziesiąt osiem stron i, jak zwykle, na wstępie podziękowanie dla takich wydawnictw, jak „Poezja“ czy „Niebiańskie Kamienie“ za pozwolenie na przedruk. Przerzuciłem wiersze, były całkiem dobre. Ktoś podobno powiedział, że między właściwym słowem i niemal właściwym istnieje taka różnica jak między brylantem i brylantyną. Podobnie ma się sprawa z utworem naprawdę dobrym i prawie dobrym.

- Jak ci się podobają? - spytała Solveig.

- Daleko im do wierszy Solveig Skovgaard z „Dziennika z wysp trzciny cukrowej“.

- Jakiś ty miły, Peter.

- A jak piekielnie dobrą poetką ty jesteś, Solveig!

- To się tylko tak wydaje, ale... Peter, od kiedy przyjechałam do Stanów, coś się ze mną dzieje. Nie idzie mi pisanie.

- Nic się tym nie martw. Mnie też nie idzie, ale moim czytelnikom jakoś dotychczas to nie przeszkadza.

- Ja mówię całkiem poważnie, Peter. Kompletnie wyjałowiałam. Po prostu nie mogę pisać. Gdyby nie brzmiało to zbyt patetycznie, powiedziałabym, że opuściła mnie muza. Zaczynam być przerażona.

- To minie. Wszyscy mają swoje okresy załamania. Pisarzom bardzo często wydaje się, że wszystko już napisali, że nic więcej nie mają do powiedzenia.

- Ale ja muszę pisać, Peter. Oczekuje tego ode mnie pani Kenwick. Jak nie będę pisała, pomyśli, że dokonała złego wyboru. Może mnie wyrzucić i co wtedy?

- Naprawdę, nie ma się czym przejmować. Wytłumaczysz jej i na pewno zrozumie.

- Kiedy ona spodziewa się, że napiszę recenzję z tych książek. A ja nie mogę. Usiłuję coś napisać, a w głowie mam zupełną pustkę.

- Boże drogi, to naprawdę poważna sprawa. Jeżeli nie możesz napisać recenzji, to już pewno nie me możesz.

- Peter, proszę, nie żartuj! - I zaczęła płakać.

Zrobiłem to, co każdy mężczyzna by zrobił.

- Strasznie mi skołowałeś głowę - odezwała się potem.

Pocałowałem ją znowu.

- Peter - szeptała przytulona do mnie. - Nie zrobiłbyś mi ogromnej przysługi?

- Oczywiście.

- Nienawidzę siebie za tę prośbę. Wiem, że jesteś zajęty swoją powieścią. Ale może napisałbyś za mnie te recenzje? Około stu pięćdziesięciu słów o każdej książce.

- Ano cóż, dobrze.

- Och, Peter!

Wycalowała mnie z takim entuzjazmem, że zacząłem e o jakimś zacisznym kąciuku. Po chwili jednak odsunęła się ode mnie.

- Ale... Peter... - Jej niewinne oczy były szeroko otwarte.

- Słucham?

- Niech to zostanie tylko między nami. To takie przeciwne mojej naturze... nie lubię oszukiwać, Peter... ale nie powiesz nikomu? Ani pani Kenwick, ani nikomu?

- Oczywiście, że nie.

I pocałowała mnie znowu. Po czym odsunęła się i wyciągnęła puderniczkę. Wtedy zauważyłem jej palec.

Był to wskazujący palec u prawej ręki. Brakowało całego czubka aż do pierwszego zgięcia. Zdumiałem się. Nie tem pojąć, dlaczego do tej pory nic nie zauważyłem.

- Patrzysz na mój palec? - spytała.

- Och, tak - powiedziałem.

- Wiem, że to okropne zniekształcenie, Peter. Ja nie zawsze o tym pamiętam. Ale dlatego właśnie nie mogłam nauczyć się pisać na maszynie. Mam oczywiście na myśli szybkie pisanie. To duża przeszkoda. Gdybym mogła zostać maszynistką, nie drżałabym tak, że stracę posadę u pani Kenwick.

- Nie martw się. Pani Kenwick to najlitościwsza osoba na świecie. I nie tylko uważa, że jesteś geniuszem, ale w dodatku geniuszem osobiście przez nią odkrytym. Na pewno cię nie wyrzuci.

- Nic nigdy nie wiadomo - ciągnęła Solveig. - Gdybyś był tak biedny, jak ja byłam... naprawdę biedny... Właściwie byłam bez dachu nad głową. Bywały dni, że nie miałam ani centa przy duszy. Nie cierpię nędzy. Przeraza mnie. Chcę być bogata, Peter.

- Gdybyś była bogata, nie napisałabyś tak wspaniałych wierszy.

- Możliwe. Ale czy na poezji się kto wzbogacił? Tak naprawdę wzbogacił?

- Obawiam się, że nie. Vachel Lindsay odebrał sobie życie z powodu nędzy. A współczesny zindustrializowany świat bynajmniej nie jest zainteresowany poezją.

- Mogłabym pisać prozą - powiedziała. - Powieść. Mam nawet wspaniały pomysł.

- Ciekaw jestem jaki.

- Nie teraz. Jestem tak przerażona swoją pustką w głowie, że wolałabym o tym nie mówić. Chciałabym usłyszeć, w jaki sposób straciłam palec?

- Jeżeli masz ochotę mi opowiedzieć...

Wiele starych rodzin duńskich nazywało Wyspę Św. Krzyża Santa Cruz. Taka zresztą była jej pierwotna nazwa. Ale żebyś miał prawdziwe wyobrażenie? o tej wyspie - mówiła Solveig - muszę ci opisać łagodnie pofalowany krajobraz i jasnozielone pola trzcinowe; na północnym zachodzie pasmo wzgórz; palmy kokosowe chwiejące się w podmuchach pasatów; ogromne niebo z wolno sunącymi cumulusami, a wokoło ciemnoniebieskie morze, pieniście rozpryskujące się o piaski.

Wyspa Św. Krzyża ma chyba tę jedyną przewagę nad Rajem, że nie ma tam węży. Niegdyś sprowadzono speci z Indii szczurniki, żeby je wytępiły. Ale kiedy już nie było, zwierzaki dobrały się do drobiu i jajek, ta zmiana upodobań do dziś gnębi Murzynów.

To przecież tropiki, tylko „nie takie jak w „Jądrze ciemności czy „Tarzanie na wyspie małp“, które to książki tak ją pasjonowały. To nawet coś więcej niż tropiki „Wyspy skarbów“. Albo ze „Zwycięstwa“ czy „Księżycy miedziaka“. (Go za odczytana dziewczyna z tej Solveig!) A jeszcze dawniej Santa Cruz nazywano też Ogrodem Antylów, zupełnie słusznie zresztą. Wszystko tam rośnie szybko i bujnie. Prawdziwy urodzaj.

Byli i tacy, co Santa Cruz nazywali tropikalnym rajem. Szczególnie turyści. Ale turyści spędzają zazwyczaj na wyspie tylko jeden dzień, gdy ich statek stoi zakotwiczony na redzie w porcie Frederiksted. Nie mieszkają tam przez okrągły rok. Nie mają więc czasu, żeby się

znudzić. Nuda to najgroźniejszy wróg mieszkańców tej wyspy, o obszarze siedemdziesiąt cztery mile kwadratowe. Ciągłe widzi się te same twarze, z tego dziewięćdziesiąt procent stanowią Mulaci i Murzyni. To jeszcze nie najgorsze, Solveig dobrze żyła z Murzynami. Ale w końcu nudno widzieć ciągle tych samych Murzynów i tych samych Duńczyków, na ogół wcale nieciekawych.

Nie ma miejscowej prasy. Od czasu do czasu tylko statek przywozi nowojorskie gazety. Wszystko zresztą dowożą statki, przeważnie „z góry“, co w języku miejscowej ludności oznacza, że ze Stanów Zjednoczonych. Radiostacji nie ma na wyspie. Jeżeli chce się posłuchać wiadomości ze świata czy muzyki, trzeba łapać stację z Puerto Rico. Jest, oczywiście, kino, czasami też można gdzieś dostać niespodziewanie jakieś pojedyncze czasopisma. Inaczej byłby człowiek całkiem odcięty od świata. Ale i tak żyje się tam jak w zapadłej dziurze, ze świadomością, że w Stanach dzieje się tyle ciekawych, pasjonujących rzeczy.

I jeszcze ten upał! Tropikalne słońce jest po prostu okrutne, zwłaszcza w południe; wtedy najlepiej nic nie robić, tylko wypoczywać. Pasaty trochę łagodzą gorąco i dzięki temu noce wydają się błogie. No i wreszcie moskity.

Z początku matka jej zachwycona była Santa Cruz. Wyspa ta zdawała się gwarantować spokojną stabilizację, której wcale nie dawały role sceniczne w Kopenhadze. Nazywała się Disa Larsen i miała dwadzieścia jeden lat, kiedy Niels Nordentoft, kupiec z Frederiksted, w czasie pobytu w Danii zachwyił się jej urodą. Miał lat pięćdziesiąt i dużo pieniędzy. Był wielki, łysy i pełen energii. Nakłonił Disę Larsen, aby została jego żoną i pojechała z nim na Wyspę Św. Krzyża. Mieszkali w posiadłości zwanej „Zadośćuczynienie“, na zachodnim wybrzeżu na północ od Frederiksted. Było to w roku 1910. W następnym roku Disa urodziła syna, który żył tylko dwa dni. Potem była już zawsze smutna i znudzona, całymi godzinami siedziała, spoglądając na pusty bezmiar mórz; w pogodne dni jednak, jeśli się ktoś wpatrzył uważnie, mógł dojrzeć mgliste zarysy Puerto Rico.

Wyspę zamieszkiwała niewielka, ale zwarta społeczność, składająca się wyłącznie z Duńczyków, niesłychanie przestrzegających wszelkich form, takich jak popołudniowe wizyty i pozostawianie wizytówek, bankiety pełne nie kończących się toastów i długich nudnych przemówień. W owych czasach o wiele surowiej przestrzegano form towarzyskich w kolonii niż w kraju macierzystym. Zdarzały się jednak i miłe, mniej oficjalne spotkania. I na nich to zazwyczaj Disa Larsen Nordentoft spotykała Axela Skovgaard. Mieszkał w niedalekim sąsiedztwie, za wzgórzem, w posiadłości zwanej „Fortuną Eryka“. Był przystojnym dwudziestosześcioletnim blondynem o atletycznej budowie, chociaż w porównaniu z całym rodem potężnych Skovgaardów zdawał się raczej chuchrem.

W końcu, co miało się stać, to się stało. Ludzie zaczęli plotkować. Dowiedział się o tym Niels Nordentoft i zrobił klasyczną zasadzkę. Żonie oznajmił, że wyjeżdża w interesach do Christiansted i nie wróci aż następnego dnia. Zjawił się jednak w środku nocy i zobaczył w sypialni to, końcać musiał zobaczyć. Wygłosił więc długą mowę, ale bez toastów. Nazajutrz odwiedził adwokata, spisał testament, zostawiając żonie zaledwie symboliczną część, poszedł do swojego biura we Frederiksted i zastrzelił się. Sprawa ta stanowiła pasjonujący temat, gdy w miłym wieczornym chłodzie zasiadano ze szklanką ponczu na werandach. Po kilku miesiącach Disa i Axel pobrali się i mieszkali w „Fortunie Eryka“. A w dziesięć miesięcy po ślubie urodziła się Solveig.



Było to zdrowe miejsce dla dziecka. Białe dziecko, o ile urodzi się na Wyspach Karaibskich, nie ma problemu z aklimatyzacją. Zawinięte tylko w pieluszkę chłonie słońce i gorąco, staje się pulchne, brązowe i śliczne. Ma zawsze kilka murzyńskich piastunek: praca Murzynów kosztuje co nic. Murzyni na wyspie wierzą w fetysze i przed spaniem zamykają drzwi i okna, żeby nie dostały się przez wielkoludy, wilkołaki czy wampiry: a wieczorem to za nic nie pokażą się poza domem bez jakiegoś nakrycia głowy - chociażby tylko chustki do nosa - bo to chroni przed duchami. Głosy ich wcale nie przypominają powolnych głosów śpiewaków murzyńskich w Stanach. Mówią szybko, z jakimś dziwnym akcentem. Tak, Solveig lubi Murzynów.

Dom był zbudowany w stylu miejscowym, miał żaluzje i okiennice osłaniające od huraganu, podłogi z mahoniem i żywicznej sosny, której nie lubią termyty. Pokoje były wysokie, a w nich podniszczony zielonozłocisty perski dywan i ogromne sztychy, między innymi widok przystani Christiansted w osiemnastym wieku. Meble były masywne i też z mahoniem, biblioteki pełne książek duńskich i angielskich, których skórzane oprawy zbutwiały od tropikalnej wilgoci, a wiele kartek zjadły robaki. Książki należały przeważnie do Waldemara Skovgaard, dziadka Solveig, on to bowiem miał aspiracje, aby być wielkim uczonym, i roztrwonił na to znaczną część fortuny ojca, starego Eryka, fortuny zdobytej zresztą w sposób dość wątpliwy. O Eryku i Waldemarze opowiadała młodsza Solveig babka, wdowa po Waldemarze.

Nazywała się Juliana Skovgaard, miała typową urodę Skandynawek: wysoka i postawna, o śnieżnobiałych włosach i wyrazistych rysach. Kościste, sękaty ręce zaciskała zawsze na srebrnej główce mahoniowej laski. Cierpiała na artretyzm i zadreślała się - sterana wiekiem i długami - że mąż jej, Waldemar, przepuścił całe dziedzictwo, a syn, Axel, wcale nie interesuje się plantacją trzciny cukrowej. Był czarujący jako młodzieniec, więc liczyła, że się dobrze ożeni. Na wyspie było nawet kilka zamożnych dziewcząt. A on tymczasem co zrobił? Pozwolił się przyłapać w łóżku z żoną Nordentofta! Nie obchodziła jej Disa. Murzyni jednak opowiadali, że kiedy Axel ożenił się z Disą i przywiózłszy ją do dworu Eryka, zaraz zamknął się z nią w sypialni, biedna Juliana spacerowała ciężkim krokiem tam i z powrotem, stukając laską i mamrocząc duńskie przekleństwa, że syn jej i to małe pokurcze, jak ją nazywała, robią to pod jej nosem.

Polubiła za to wnuczkę. Solveig miała ją w pamięci jako majestatyczną i dobrotliwą staruszkę, niewyczerpane źródło bajek i opowieści o dawnych czasach na wyspie: jak to w Pałacu Gubernatora w Christiansted odbywały się wytworne bale i jak w 1878 roku wybuchło powstanie Murzynów, podczas którego zostało spalone Frederiksted; czasami, kiedy w wielki skwar opuszczano żaluzje i w pokoju panował półmrok i przyjemny chłód, roztaczała przed Solveig dzieje wszystkich mieszkańców wyspy, wywlekając rozmaite, prawie już zapomniane skandale; że niektóre rodziny skażone są afrykańską krwią, bo młoda krew zawsze była gorąca, noce tropikalne dyszące pożądaniem, a dziewczęta murzyńskie ponętne. Z dumą podkreślała, że w rodzinie Skovgaardów nie ma ani kropli czarnej krwi, ani jednej kropli; popełniono wiele, Bóg wie jakich, wykroczeń, ale na pewno nie pomieszano ras. Opowiadała też o skarbach z czasów pirackich, pasjonujące historie o zatopionych statkach kupieckich, i zakopanych skrzyniach; bo rzeczywiście morza wokół wysp stale nawiedzali korsarze. Wyspa Św. Tomasza była niegdyś przystanią dla morskich rabusiów, którzy naprawiali tułaj statki, napełniali beczki wodą i zaopatrywali się w żywność, tak jest, zaopatrywali się; dopóki bowiem rząd udzielał im azylu, piraci zachowywali się w porcie jak bogaci kupcy. Do dzisiaj jeszcze zdarza się na Wyspie Św. Tomasza albo Św. Krzyża, że czasem po burzy ludzie znajdują na brzegu złote monety, pozostałości po zatopionych skarbach. Kiedyś wieczorem,

tuż przed snem, babka opowiedziała Solveig legendę rodzinną, jak Eryk Skovgaard wyruszył w świat.

Opowieść ta, fantastyczna i melodramatyczna, częściowo jednak mogła być prawdą, ponieważ historia Wysp Karaibskich była nasiąknięta i melodramatem i krwią; a Juliana utrzymywała, że Eryk Skovgaard, kiedy był już stary, opowiedział wszystko synowi, Waldemarowi (pewno po to, aby natchnąć tego intelektualistę bardziej bojowym duchem), a Waldemar z kolei opowiedział Julianie. Solveig pamięta dobrze ów wieczór: leżała w ogromnym mahoniowym łóżku otoczonym moskitierą, wokół jedynej świecy rozjaśniającej mrok ogromnej sypialni krążyły chmary moskitów, a babka jej, wielka i ciemna, siedziała obok i niskim, gardłowym głosem ciągnęła opowieść. Rodzice poszli gdzieś na tańce; z parnej ciemności przenikały wonie tropikalnych kwiatów i odgłosy tysięcy owadów.

Opowieść ta nie była może właściwą kołysanką dla pięcioletniego dziecka. Jeszcze po wielu latach Solveig nieraz zastanawiała się, dlaczego babka w ogóle jej to opowiadała. Może Juliana, podobnie jak wiele starych ludzi, lubiła przeżywać na nowo przeszłość? A może chciała przypomnieć Solveig, że pochodzi z rodu ludzi odważnych i śmiałych? Możliwe, że w przewidywaniu ruiny chciała uodpornić wnuczkę na przeciwności losu, zaszczepiając jej ducha przedsiębiorczości?...

Innymi słowy opowiedziała, jak to Eryk Skovgaard, ujrawszy po raz pierwszy duńskie Indie Zachodnie, z miejsca uznał, że to wymarzone dla niego miejsce; pewien był, że tutaj może człowiek zrobić fortunę, a on tego właśnie pragnął. Rzeczywiście uciekł na morze mając lat dziesięć, ale wcale nie dlatego, że tak bardzo pragnął zostać marynarzem; po prostu chciał uciec z Danii, gdzie nie widział dla siebie żadnej przyszłości. Na pokładzie niemało wycierpiał i ciężko się naharował, ale kiedy miał lat osiemnaście, był już doświadczonym marynarzem. Tak samo jego dwudziestotrzyletni przyjaciel ze statku, Carl Hjorth.

Tak się akurat złożyło, że na Wyspie Św. Tomasza, w starym porcie Charlotte Amalie, mieszkała młoda jasna Mulatka Queena Rasmussen. Była poprzednio niewolnicą pewnego starego dżentelmena, który bardzo ją kochał i wyzwolił umierając. I jak to bywa z dziewczętami z wysp i marynarzami, Carl Hjorth, poznał Queenę Rasmussen i nawet mieli ze sobą romans. Queena zakochała się.

Gdy odpłynął do Danii „Odyn“, statek Carla a także Eryka, Queena została z sercem przepelnionym smutkiem. Ale statek miał powrócić za parę miesięcy. Queena marzyła o tym, żeby Carl porzucił morze i przeniósł się z nią na którąś z pobliskich wysp - może na jedną z wysp brytyjskich - i żeby tam, osiedliwszy się na stałe, dał jej kilkoro ładnych dzieci. Znała życie i nie łudziła się nadzieją na małżeństwo, zdawała też sobie sprawę, że Hjorth, na to, by rozstać się z „Odynem“, musiałby mieć o wiele bardziej nęcącą przynętę niż kolorowa dziewczyna. No cóż, najlepszą przynętą są zawsze pieniądze. A ona wiedziała, gdzie można je znaleźć.

Kiedyś, jako trzynastoletnia dziewczyna, jeszcze za życia starego dżentelmena, który ją potem wyzwolił, mieszkała na plantacji w południowo-wschodniej części Wyspy Św. Tomasza. Pewnej księżycowej nocy wymknęła się z domu na spotkanie z ładnym czarnym chłopcem, a potem kochali się na zboczu odległego wzgórza. Wracając do domu bardzo późno, zobaczyła niezwykły widok. Z małej łódki wysiedli na brzeg dwaj biali i Murzyn; dalej w zatoce stał zakotwiczony szkuner. Nieśli wielki kufer, który musiał być bardzo ciężki. Queena Rasmussen błyskawicznie skryła się w ciemnej gęstwinie.

Tamci trzej wlekli kufer po ścieżce, a dziewczyna przez cały czas nie spuszczała z nich oka. Zatrzymali się pod drzewem mangowym, rosnącym tuż przy wielkim głazie, postawili swój ciężar i zaczęli kopać. Queena domyślała się, że to są korsarze, i w duszy pragnęła być gdzieś daleko od tego miejsca, bo każde kasznięcie czy kichnięcie wpakowałoby ją w śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale ani nie zakaszłała, ani nie kichnęła, tylko patrzyła.

W niecałą godzinę wykopali głęboki dół i spuścili na linach kufer. I wtedy obaj biali zachowali się dość niewdzięcznie wobec swego murzyńskiego pomocnika. Jeden walnął go łopatą w głowę, a drugi wpakował mu między żebra nóż. Nawet nie jęknął. Następnie sypnęli trochę ziemi na wierzch kufra i wrzuciwszy Murzyna zasypali dół. Pozostałą część ziemi rozrzucili w gęstą zieleń przy ścieżce, a grób Murzyna, będący też kryjówką ich skarbu, przykryli gałęziami.. Wtedy dopiero powrócili do łódki i powiosłowali w kierunku szkunera.

Queenę nie lubiła mieć do czynienia z trupami ani duchami, które, opuściwszy ciała, zaczynają straszyć jako strzygi, toteż wzięła nogi za pas. Nie powiedziała nikomu o tej przygodzie, przez długi czas ani razu nie wybrała się pod drzewo mangowe, a i potem jedynie w pełni dnia. Pragnęła być silna i odważna, aby odkopać skrzynię, lecz brak jej było zarówno siły, jak i odwagi. Gdyby wzięła sobie do pomocy czarnych chłopców z plantacji, umarliby ze strachu na widok trupa Murzyna. Strzygi! Za żadne skarby na świecie, ani nawet za wolność, nie chcieliby mieć do czynienia ze strzygami. Pewno dlatego korsarze pochowali Murzyna razem z kufrem. Wiedzieli, że trup będzie najlepszym zabezpieczeniem przed wścibskimi tubylcami. Pan Queeny był biały i na pewno nie bałby się kopać, ale z nim nie chciała dzielić sekretu, boby się jeszcze więcej wzbogacił. Tak więc przez kilka lat sama strzegła swej tajemnicy. Co jakiś czas jednak chodziła za dnia pod drzewo mangowe przy głazie i sprawdzała, czy ziemia, kryjąca skarb, nie jest naruszona. Zdarzało się na Antylach, i to wcale nierzadko, że korsarze zakopywali swoje skarby, a potem sami ginęli podczas sztormu albo w pijackich awanturach. Mijały lata, a trawa coraz bujniej porastała grób Murzyna, który drogo zapłacił za nauczkę, że białym ufać nie należy.

Ale tego jakoś nikt z Murzynów nie umiał sobie wbić w głowę. Przecież Carl Hjorth był biały. Queenę Rasmussen umyśliła sobie, że jak tylko wróci, to ona opowie mu o skarbie w zamian za obietnicę, że pojedą razem na jedną z wysp i zamieszkają tam na zawsze szczęśliwi. On nie będzie się bał kopać; jasnowłosi Duńczycy nie boją się strzyg.

W oznaczonym czasie „Odyn“ powrócił z Danii i wpłynął do przystani w Charlotte Amalie, która była jakby romantyczną kwintesencją wszystkiego, o czym tylko ludzie z Północy mogą śnić: głęboka woda w przystani osłoniętej i chronionej przez góry; mahonie i palmy kokosowe; kuszące kobiety o cerze koloru złota; łagodne noce przepojone cichym śmiechem i muzyką.

I tak Carl Hjorth przyrzekł Queenie, że zostanie na zawsze jego kochanką, jeżeli wskaże mu drogę do skarbu. Przedstawiła mu swój plan: ona weźmie wóz i osła i spotka się z nim nocą w Charlotte Amalie, a następnie razem pojedą na południowy wschód wyspy i odkopią skarb; jego obecność ochroni ją od strzyg. Carl ukryje się, dopóki jego statek nie odpłynie; potem kupią sobie żaglówkę i wyszukają jakąś odległą wysepkę, która będzie tylko ich własną.

Carl namyślał się. Zadawał pytania. Znowu się namyślał. Wreszcie orzekł, że to całkiem niezły pomysł, tylko że będzie im potrzebna pomoc. Odkopanie i wyciągnięcie kufra wymaga dużej siły. Zna kogoś odpowiedniego. To jego najlepszy przyjaciel, też marynarz, nazywa się Eryk Skovgaard. Naprawdę porządny gość. Oczywiście będą musieli oddać mu trzecią część skarbu, ale nie ma innej rady.

Queena niechętnie przystała na tę propozycję. W ten sposób sprawa się trochę wikłała. W końcu jednak zgodziła się; skrzynia będzie ciężka. Była zakochana, a kobietę zakochaną można przekonać do największych głupstw. Tak to Carl Hjorth i Eryk Skovgaard, zapewniwszy sobie wolny wieczór, spotkali się z dziewczyną, która czekała już na nich z wozem i osłem Achillesem. Do końca życia Eryk nie zapomniał imienia osła. Opowiadając tę historię synowi rzekł: „Ty, który jesteś kształcony w naukach klasycznych, docenisz imię tego osła. Nazywał się Achilles“. I niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że ponieważ osłowi nadano imię z czasów starożytnych, a Waldemar studiował nauki klasyczne, więc mają ze sobą wiele wspólnego. W wywodach tych chyba nie bardzo powodował się logiką, to raczej nieczyste sumienie, w nim się odzywało.

Queena przywiozła ze sobą łopaty i liną, a także latarnię, ponieważ noc była bezksiężycowa; posuwając się na południowy wschód drogą poprzez bujny gąszcz zarośli bananowych i drzew tykowych, przez cały czas nie spotkali nikogo: Murzyni z Wyspy Św. Tomasza nie lubią wałęsać się po nocy, żeby nie napotkać strzygi, która, jak wyjaśniła Queena, może się ukazać w postaci kota, psa, człowieka, ale może też pozostać duchem. Wreszcie poszukiwacze skarbów dotarli do starego drzewa mango i zaczęli kopać. Łopaty wpierw natrafiły na coś, co w świetle latarki okazało się ludzkim szkieletem; z biegiem lat korzenie drzewa powcisnęły się między żebra i w oczodoły.

- O, mój Boże - westchnęła Queena Rasmussen.

Ale na Carlu i Eryku, jasnowłosych ludziach z Północy, nie zrobiło to żadnego wrażenia, ciągnęli z ziemi szkielet jakby nigdy nic. Po jakimś czasie łopaty ich znowu natrafiły na coś twardego; był to kufel. Ogarnęła ich teraz gorączka, kopali w zapamiętaniu dokoła kufra i wreszcie podsunęli pod dno liny. Mozoląc się nad wyciągnięciem go z dołu stwierdzili, że jest ciężki.

- Dobrze, że przyprowadziłem Eryka - zwrócił się Carl Hjorth do Queeny. - Sam nie dałbym rady.

Wreszcie wyciągnęli kufel na powierzchnię i oderwawszy zamek podnieśli do góry wieko. To, co ujrzeli wewnątrz, przy blasku latarki, warte było trudu. Prawdziwy skarb. Fortuna. Srebrne i złote monety wszelkiej wielkości: złote dukaty z czasów Ferdynanda i Izabeli; angielskie gwinee, francuskie ludory, portugalskie escudo i hiszpańskie pesety. W skrzyni mieściła się cała historia Antyli - żądza i chciwość, grabież i łupy.

Queena aż krzyknęła na widok takiej fortuny; całkiem zapomniała o strzygach. Klękawszy zanurzyła nagie ramiona w kufle, po czym wyciągnęła pełne garście monet, które wysuwały się spomiędzy jej palców z dźwięcznym brzękiem.

Eryk czuł, że zlany jest potem od stóp do głów. Oddychał szybko. Pojął, że nie może, nie jest w stanie z nikim dzielić tej fortuny. Musi dojść do czegoś w życiu; potrzebuje tylko kapitału. Chce być właścicielem szybkiego statku, by zająć się handlem niewolnikami; to daje fantastyczne dochody. Chce mieć w przyszłości plantację, z pięknym domem, powozami, czarną służbą i polami trzciny cukrowej. Nagle zdecydował się - trzeba zabić Carla Hjortha i Queene Rasmussen.

Jaka szkoda, że nie wziął z sobą pistoletu albo noża, ale nie przypuszczał, że skarby te zrobią na nim aż takie wrażenie. No cóż, ma przynajmniej łopatę. I siły rna dość. A jak połączy to ze sprytem, na pewno sobie poradzi. Trzymgł w rękę latarnię i nagle spojrział w dół.

- Tam jest jeszcze jedna skrzynia! - wykrzyknął. - Trochę mniejsza.

Carl Hjorth pochylił się nisko. - Nic nie widzę - powiedział.

- Pokażę ci - rzekł Eryk i kazał Queenie potrzymać latarnię.

Queena wzięła latarnię, a Eryk zamachnął się łopatą mierząc wprost w podstawę czaszki Carla. Cios był trafny. Queena wydała stłumiony krzyk i wyciągnęła nóż z zanadrza. Rozbrojenie jej nie przedstawiało trudności, a nóż przydał się na nią samą, a także, by mieć pewność co do Carla. Mimo wszystko nie wypada zakopać żywcem najlepszego przyjaciela.

I tak Carl Hjorth, Queena Rasmussen i szkielet Murzyna zostali razem wrzuceni do tego samego grobu. Zasypany dół Eryk zaniósł kufer do wozu; był ciężki, ale on miał dość siły. Potem ruszył w kierunku Charlotte Amalie, przez cały czas pilnie rozglądając się, gdzie by tu ukryć kufer. Na skrzyżowaniu dróg w pobliżu miasta wisiało ciało jakiegoś zbuntowanego niewolnika, ku ostrzeżeniu innych, i tutaj Eryk zatrzymał wóz. Uśmiechnął się na myśl, że znalazł doskonale miejsce dla ukrycia skarbu, bo żaden Murzyn na pewno nie będzie się wałęsał w cieniu szubienicy. Nappełnił więc pas złotymi monetami, a kufer zakopał pod szubienicą, ostrożnie zakrywszy miejsce darnią, by zatrzeć wszelki ślad. Jadąc dalej znalazł gąszcz bambusowy, w którym ukrył łopaty i linę; dojechawszy do miasta zostawił wóz na jakiejś bocznej uliczce, osła zaś puścił wolno. Dopiero wtedy wrócił na statek.

W dwa dni później „Odyn“ odpłynął do Danii bez Carla Hjortha; uznano, że po prostu uciekł ze statku. A przyjaciele Queeny Rasmussen przypuszczali, że udało jej się przekonać starszego marynarza Hjortha i że oboje przenieśli się na inną wyspę. Tak więc Eryk Skovgaard popełnił zbrodnię doskonałą.

W Kopenhadze odmówił podpisania kontraktu na następną podróż motywując to tym, że dostał trochę pieniędzy po dalekim krewnym; w kilka dni później kupił bilet na inny statek płynący do Wyspy Św. Tomasza. Przyjechawszy do Charlotte Amalie wynajął dom i żył jak dżentelmen. Dokonał jednak zakupu, dość dziwnego jak na dżentelmena, a mianowicie kupił wóz i osła. Pewnej nocy, kiedy już Krzyż Południa widniał nisko na horyzoncie, wybrał się tam, gdzie z szubienicy zwisał niewolnik - teraz już tylko szkielet w łańcuchach - i odkopał kufer. Wszystko było w porządku. Przywiózł ze sobą odpowiednią ilość woreczków, nappełnił je, a kufer znowu zakopał. W parę tygodni potem kupił trzymasztowy szkuner i nająwszy załogę popłynął, w kierunku Żółtego Wybrzeża.

- Ach, cóż to był za człowiek ten twój pradziadek! - mówiła Juliana do Solveig. - Handel niewolnikami był naprawdę niebezpiecznym przedsięwzięciem, - ale dla niego nie istniały przeszkody. Pewnego razu w cieśninie Pillsbury omal nie przyłapał go statek rządowy. Wracał właśnie z Afryki i wioził dwustu czarnych. I wiesz, co zrobił? Zatarł wszelki ślad. Wyprowadził tych czarnych na pokład, wszystkich razem, skutyh łańcuchami, i kazał im skakać za burtę. Co za człowiek! Takich już się teraz nie spotyka.

Leżąc w łóżku, zasłuchana w opowieść babki, Solveig po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że pod gładką powierzchnią życia czai się strach i przerażenie; a kiedy babka zgasła świecę i stukając laską wyszła z pokoju, Solveig zdawało się, że w ciemnościach poruszają się jakieś

zwidy; nakryła się z głową. Ale ta potworna opowieść zafascynowała ją jednak, bo następnego wieczoru poprosiła babkę o dalsze opowieści o pradziadku. Tym razem jednak babka nie była już w nastroju do rozmowy.

- Lepiej, żebyś zapomniała o tym wszystkim, co ci wczoraj opowiadałam - rzekła. - Eryk Skovgaard pewno kłamał.

Następnego roku Juliana zmarła na serce. Solveig jednak dobrze zapamiętała te opowieści. Wracały do niej co jakiś czas nocą; kiedy leżała pogrążona we śnie, przez głowę jej przesuwały się urywkowe obrazy: pirackie złoto, nóż, pradziad z zakrwawionymi rękami - i budziła się. O tej porze wprawdzie psy nie szczekają, a koguty, których Murzyni używają do walk kogucich, śpią na grzędach z głowami wtulonymi pod skrzydła, ale noc w tropikach nigdy nie bywa zupełnie cicha; za oknami rozbrzmiewa ćwierkanie, brzęczenie, piski i syczenie niezliczonego mrowia owadów. Czasami miała wrażenie, że słyszy huk przyboju rias piaszczystym brzegu, a wtedy przed oczami jej rozlewał się ogrom wód otaczających tę plamkę ziemi, którą kartografowie nazwali Wyspą Św. Krzyża. I dopiero z pierwszym brzaskiem - kiedy koguty zaczynały się przechwalać, kto wygra walkę w następną niedzielę - zapadała w sen. W parę godzin później zaś, po śniadaniu, dziewczyna wędrowała na rodzinny cmentarzyk tuż przy wzgórzu, jakieś ćwierć mili od dworu. Tam, otoczona czarnym żelaznym ogrodzeniem, znajdowała się płyta z białego kamienia i prawie zatartym napisem: Eryk Skovgaard. Urodzony 17 lipca 1812. Zmarł 9 września 1886. *Esse quam videri bonus malebat* - Woli być dobry, niż się taki wydawać.

Solveig miała ze swego wczesnego dzieciństwa wiele różnorodnych wspomnień, bogatych i egzotycznych, ale najbardziej żywo pamiętała huragany. Powstawały z upału i nagromadzonej pary pod koniec lata i wczesną jesienią, daleko na południo-zachodzie, poza horyzontem Wysp Karaibskich; a Wyspa Św. Krzyża właśnie leżała na ich drodze. Dlatego zawsze o tej porze roku lękano się huraganu; rzadko który jednak był groźny. Ale raz, Solveig była wtedy jeszcze mała, niebo stało się nagle żółtooolowiane i cała rodzina, a także wszyscy Murzyni z „Fortuny Eryka“ pospieszyli w kierunku wzgórza, niedaleko cmentarza. Ojciec otworzył stalowe wrota osadzone w betonie i wszyscy weszli do środka. Długi korytarz zawiódł ich przed drugie drzwi, a potem do izby, w której znajdowały się krzesła, świece i jedzenie. O, to był straszny huragan! Solveig pamięta, jak było potem - mahonie powyrywane z korzeniami, palmy połamane, ziemia wokoło, zasłana kokosami. Dwór jednak przetrwał; Eryk, w obawie przed żywiołem, postawił grube kamienne mury; a po pewnym czasie nowe mahonie i nowe palmy kokosowe zastąpiły te, które zniszczył huragan.

Mimo tego strachu przed huraganami wczesne dzieciństwo Solveig upływało raczej spokojnie, pośród wiecznego lata, przepojonego zapachem hibiskusów, oleandrów, bougainvili i odorujących murzyńskich pachnideł. W posiadłości ich bujnie rosły banany, cytryny i pomarańcze. Od czasu do czasu Murzyni pucowali podłogę, wedle starego zwyczaju, pomarańczowym sokiem, a potem odbywały się wspaniałe przyjęcia. Solveig pamięta jeszcze, jaki przystojny i elegancki był jej ojciec: jeżeli kiedykolwiek trapił się długami, nikt o tym nie wiedział. A matka była, oczywiście, wesoła, czarująca i piękna; mogłaby być ozdobą każdego towarzystwa. „Perli się jak szampan w złotym pucharze“ - tak ktoś o niej kiedyś powiedział.

Solveig знала doskonale два języки. Училась их, од kiedy tylko zaczęła mówić, co jej raczej wyszło на добре, ponieważ настаў dzień, kiedy flaga duńska, powiewająca над фортем we Frederiksted, została zdjęta, а на jej miejsce wciągnięto inną, w gwiazdy i pasy. Od tej chwili stała się obywatelką Stanów Zjednoczonych. „Sprzedano nas - mówili starzy

plantatorzy duńscy - jak statek z ładunkiem czarnuchów“. Zmiana przynależności państwowej nie przyniosła jednak Wyspie Św. Krzyża zasadniczych zmian. Do Wyspy Św. Tomasza, o czterdzieści mil na północ, przybijały amerykańskie statki handlowe i okręty wojenne, lecz Wyspa Św. Krzyża była ospała, - jak dawniej. Amerykanie usiłowali przekonać wszystkich, że należy wprowadzić ruch prawostronny, a zarzucić tradycyjny lewostronny, i Murzyni nawet byli skłonni to uczynić, lecz osiołki oparły się temu stanpwczco. One, co prawda, też otrzymały obywatelstwo amerykańskie, ale nie chciały porzucić starych nawyków, wobec czego ruch uliczny odbywał się nadal jak dawniej. Zresztą trudno nawet mówić o jakimś większym ruchu: parę wozów, od czasu do czasu ciężarówka lub rower; niekiedy stary Ford i to wszystko.

Skovgaardowie mieli takiego starego Forda i kiedy Solveig skończyła pięć lat, ojciec woził ją do Frederiksted, gdzie wielebny Olav Iversen na probostwie koło kościoła prowadził szkołę dla małych jasnowłosych luteranów. Było tam ledwie kilkunastu uczniów, w przeciwieństwie do szkoły rządowej, do której uczęszczało mrowie murzyńskich chłopców i dziewcząt. Wielebny Iversen był wysoki, chudy i nosił błyszczące binokle; miał gruntowną wiedzę o Bogu, ale za to słabą o arytmetyce. Tak samo Solveig. Ale polubiła czytanie. Ludzie mówili, że czytałaby wszystko, co tylko wpadłoby jej w ręce. Rodzice obiecali, że jeżeli będzie się dobrze uczyć, to może wyślą ją kiedyś clo szkoły z internatem. Taki był zwyczaj wśród zamożniejszych rodzin; wysyłano córki do szkół angielskich w Antigua albo nawet do wytwornych szkół dla dorastających panien gdzieś w Stanach. Marzyła o takiej szkole, w której urządzano wieczorki taneczne i przyjęcia z ogrzewanymi talerzami i gdzie można było poznać chłopców z najlepszych domów.

Jednakże, ku wielkiemu rozczarowaniu, nigdy nie chodziła do innej szkoły oprócz tej, którą prowadził wielebny Iversen, ponieważ ojca jej ukąsiła jadowita stonoga, kiedy Solveig miała lat siedem. Zazwyczaj takie ukąszenia nie bywały niebezpieczne, ale tym razem wywiązało się zakażenie; noga spuchła; najbliższy doktor był w Christiansted, na przeciwległym brzegu wyspy; po paru dniach ojciec zmarł i pochowano go w rodzinnym grobie. W tydzień po pogrzebie do „Fortuny Eryka“ zaczęli przychodzić rozmaici ludzie, właściciel banku, kupcy z miasta i przy drzwiach zamkniętych prowadzili z matką Solveig długie rozmowy na temat pieniędzy. Okazało się, że Axel zostawił w spadku same nie zapłacone rachunki; plantacja była obdłużona hipotecznie. Ale Disa Larsen Nordentoft Skovgaard była Dunką, tak samo jak bankier i handlarze; a ludzie, pochodzący ze starego kraju, tam w tropikach trzymali ze sobą wspólny front przeciw tubylcom. I tak bankier, który był kuzynem Axela, zgodził się wziąć drugą hipotekę na plantację, a inni - poczekać, co z tego wyniknie. Może liczyli, że Disa znowu wyjdzie za mąż? I rzeczywiście wyszła, w półtora roku później.

Nie poślubiła jednak Duńczyka. Wyszła za dwudziestoosmioletniego Louisa Webstera, którego właśnie zwolniono po ukończeniu służby wojskowej w marynarce.

Solveig była przy tyrn, jak matka jej poznała się z Louisem Websterem. Stało się to pewnego wrześnieowego ranka w roku 1921, gdy miała osiem lat. Jechała właśnie z matką Fordem do szkoły luteranńskiej, kiedy nagle, nie wiadomo dlaczego, w pobliżu starego fortu w Frederiksted motor ucichł. Sytuacja przedstawiała się dramatycznie, bo Disa nie miała pojęcia o samochodach; auto nie miało, startera, na zapalenie korbą nie miała dosyć siły, siedziała więc bezradnie - czarująca, dziewczęco smukła i złocista; na plantacji robili to zawsze Murzyni. Teraz więc wysiadłszy podniosła maskę i zajrzała do silnika, gdy nagle zauważyła, że obserwuje ją młody mężczyzna siedzący na terenie fortu.

- Jakiś kłopot? - spytał.

Odpowiedziała, że tak.

- Może pani pomóc? Zabrakło paliwa?

- Nie wiem.

- Zaraz zobaczymy.

To mówiąc podniósł siedzenie i odkręciwszy przykrywą od zbiornika wsadził patyk.

- Nie - oznajmił - jest jeszcze pół zbiornika. Potem sprawdził silnik. Miał czarne włosy i oczy, skórę śniadą, wzrostu więcej niż sześć stóp, wydatny brzuch, a kark potężny jak u byka. Solveig skłonna była przypuszczać, że ma domieszkę krwi murzyńskiej, tylko że najwidoczniej nie pochodził z wysp. Poznała to po jego sposobie mówienia. Przeciągał słowa, podczas gdy w śpiewnym akcencie Indii Zachodnich zaznaczała się tendencja do skracania.

- Pewno rozdzielacz - powiedział.

Wyjął ze środka coś jakby filiżankę, ostrożnie wytarł brudną chustką do nosa, napluł i włożył z powrotem.

- No teraz spróbujmy - rzekł.

Tak energicznie zakręcił korbą, aż buchnęły gazy spalinowe. Motor zagrzmiał, aż od tych wibracji drgała kierownica.

- Lepiej pojedę z panią, bo może znowu nawalić.

- Nie chciałabym panu robić kłopotu.

- Nie ma co mówić o kłopotcie, proszę pani. Zwolnili mnie z wojska i właśnie za czymś się rozglądam. Chciałbym kupić żaglówkę. Słyszałem, że jakiś czarnuch, Zeke Curtis, chce sprzedać. A może zna go pani?

- Oczywiście - odparła Disa. - Znam Zeke'a. Ożenił się z siostrą jednego z naszych Murzynów.

- Gdzie go szukać?

- Zdaje mi się, że popłynął do San Juan. Często tam jeździ po towary. Podwożę pana pod dom, jego żona będzie wiedziała.

- Będę pani ogromnie wdzięczny. Nazywam się Louis Webster.

- Jestem Disa Skovgaard, a to moja córka, Solveig.

- Jak się masz, kochaneczko - powiedział Louis Webster i po chwili, jadąc w kierunku szkoły luterańskiej, dodał: - Pewno się pani zastanawia, czy mam forszę na żaglówkę. Mam, tylko że nie z oszczędności. Miesiąc temu w Puerto Rico kupiłem sobie los na loterię. Spróbować



można, mała szansa, ale zawsze... No i mój numer wyciągnęli pierwszy! Dwadzieścia tysięcy! Ale to już wszystko, co mam!

Roześmiał się - śmiał się długo i głośno.

Zostawili Solveig w szkole; kiedy matka przyjechała po nią po południu, w aucie, siedział Louis Webster.

- Pan Webster będzie naszym gościem przez kilka dni - wyjaśniła Disa - dopóki Zeke Curtis nie wróci z San Juan.

Wcale to Solveig nie zaskoczyło; duńscy plantatorzy byli zawsze gościnni dla obcych. Jednakże ten pan Webster nie należał do takich, których się zwykle przyjmowało. Nie bardzo wyglądał na dżentelmena. Zadowolony z siebie ciągle żuł gumę; przy kolacji wcisnął serwetkę pod brodę i rzucił się na jedzenie jak zgłodniała świnia, a potem nie przestawał mówić, z ustami pełnymi jedzenia.

- Ja to pochodzę z Alabamy - raz powiedział. - Mój stary jest strażnikiem więziennym w Montgomery. W 1917 zostałem zmobilizowany. Spodobało mi się takie życie. Lubię statki. Jedzenie fajne, tylko że oficerowie grali mi na nerwach. Wielu jest takich. Liznęli trochę szkoły, a już myślą, że wszystkie rozumy pozjadali. Ja tam nie byłem w szkołach za długo. Zbytek edukacji nie wychodzi człowiekowi na zdrowie.

Po kilku dniach Zeke Curtis wrócił z San Juan. Szkunier wyciągnął z wody i Louis Webster, który oświadczył, że zna się na tym, obejrzał cały kadłub. Drzewo było zdrowe, nie stoczone przez świdraki. Kupił więc żaglówkę i nazwał ją „Jazz Bo“, nie wiadomo właściwie dlaczego. Następnie przemałował i zainstalował prowizoryczny motor. A potem poślubił Disę Skovgaard. W podróż poślubną popłynęli na Martynikę - zabierając załogę tubylczą, a powrócili z ładunkiem dosyć mieszanym. Część tego ładunku - z francuską brandy - po kryjomu załadowali na starego Forda i przewieźli do huraganowego schronu „Fortuny Eryka“. W Stanach Zjednoczonych wprowadzono niedawno prohibicję, w krajach im podległych także, więc skrzynka brandy kosztowała majątek. Spłacili drugą hipotekę na plantację, a potem procenty od pierwszej. Handlarze jednak na próżno czekali. Żując z zapalem gumę - żuł zawsze po dwa kawałki - Louis Webster oznajmił im, co mogą zrobić, ale było to raczej trudne do wykonania.

Zdarzało się, że Louis Webster płynął do wysp brytyjskich - Antigua, St. Kitts albo Nevis - i wracał stamtąd z londyńskim dżinem lub miejscowym rumem; a od czasu do czasu, kiedy agenci Stanów Zjednoczonych myszkowali po wybrzeżu w porcie Frederiksted, odbywał legalną podróż do Puerto Rico, gdzie w San Juan ładował takie towary, jak mąka, konserwy, wyroby żelazne, które z kolei tam przywożono frachtowcami ze Stanów. Bywało nawet, że wracał z Fordem umocowanym na pokładzie. Do Wyspy Św. Krzyża frachtowce nie przyływały wtedy regularnie i dlatego właśnie szkunery, kursujące między wyspami, odgrywały niezmiernie ważną rolę handlową w tej części Morza Karaibskiego. Louis jednak wolał zajmować się przemysłem. Lepiej się to opłacało. Ryzyko oczywiście było większe, ale on to lubił.

- Całkiem jak w grze w kości - pouczał Solveig. - Gra jest najbardziej interesująca, kiedy można szachrować.

Ale były też okresy, że „Jazz Bo“ tygodniami stała w porcie z zamkniętym lukiem, a Louis siedział w „Fortunie Eryka“. Pochłaniał wtedy ogromne ilości jedzenia, zapijał się rumem, drzemał na ganku albo po prostu leżał rozwalony na podłodze w salonie tylko w płóciennych spodniach. Coraz bardziej obrastał w sadło. Czasem jednak, rzecz zdumiewająca, czytał.

- Nabrałem tego zwyczaju w marynarce - mówił. - Marynarze mnóstwo czytają.

Zakres jego lektury był dość rozległy. Z biblioteki w „Fortunie Eryka“ czytał Thackeraya i Dickensa, „Szejka“, Fieldinga i O’Henry’ego, Szekspira i „Wilka morskiego“, „Tono-Bungay“ i Arthura B. Reeve. Wracając z San Juan zawsze przywoził ze sobą mnóstwo książek i amerykańskich czasopism, co stanowiło jego wkład w edukację Solveig.

Podczas wakacji Solveig często z matką i Louistem Websterem odbywała podróże na „Jazz Bo“, (nie mylić z żaglówką „Diabelski Młyn“, ta należy bowiem do dziejów późniejszych); wypływali nieraz daleko na południe aż do archipelagu wysp Barbados i Trinidad, to znów na północ do Wyspy Św. Tomasza i brytyjskich Wysp Dziewiczych. Było to prymitywne i beztroskie życie. Przeważnie chodziła wtedy w trykotowej bluzce w paski i płóciennych spodniach podwiniętych na bosych nogach. Jeszcze częściej spędzała cały dzień po prostu w kostiumie kąpielowym; a w takich miejscach, jak cudowna przystań w St. George w Grenadzie, która jest głęboka i prawie cała okolona lądem, po prostu dawała nurka i pływała jak ryba. Wspaniałe do opisywania było to beztroskie i szczęśliwe dzieciństwo, pełne wspomnień rozśpiewanych Murzynów ładujących na statki banany, plantacji gałki muszkatołowej i sawann w Fort-de-France, a czasem odświętnych dni, kiedy to obie z Disą pięknie ubrane robiły zakupy w Port of Spain - paskudnym, krzykliwym, wielojęzycznym mieście Antylów.

Życie wtedy miało jednak swoje cienie, do których na pierwszym miejscu należał Louis Webster. Był wrzaskliwy i nieobliczalny, a jego wrodzona brutalność wybuchała zwłaszcza w stosunku do Murzynów. Bała się go i załoga, i Murzyni w „Fortunie Eryka“. Mówił o nich „te czarnuchy“ albo „te przekłete czarnuchy“. Co prawda pochodził z tej części świata, gdzie wszyscy, tak biali, jak i czarni, są o wiele mniej cywilizowani niż w Indiach Zachodnich. Na wyspach francuskich denerwowało go, że Murzyni mówią po francusku, a on nie. Na wyspach angielskich stałe złościł się z powodu ich oxfordzkiego akcentu. Raz na Barbados, kiedy stał bosy na pokładzie „Jazz Bo“, podczas gdy wyładowywano Coca-Colę, worki ryżu i węgla drzewnego, nagle wskazał palcem na jakiegoś przechodnia. Był to Murzyn w białym tropikalnym ubraniu i okularach o złotej oprawie, może jakiś doktor albo adwokat.

- Popatrzcie na tego czarnucha! - wykrzyknął. - Musiała być z niego fajna małpa, szkoda tylko, że obcięli jej ogon.

Któregoś popołudnia w „Fortunie Eryka“ chłopcy murzyńscy złapali wielkiego kraba - Solveig miała wtedy jakieś dziesięć lat; razem z ojczymem poszła go obejrzeć. Leżał w pozycji wyczekującej, obrzydliwy i groźny.

- Kochaneczko - zwrócił się Louis Webster do Solveig - bałabyś się wsadzić palec w jego szcypce, co?

- Pewnie, że bym się bała.

- Za ćwierć dolara byś wsadziła? Potrząsnęła głową.

- A za pół?

Znowu potrząsnęła głową.

Ojczym był wielki i szczyrzył zęby, mlaskał przy tym żując gumę. Pamięta jeszcze jego nagi, tłusty i nieowłosiony tors.

- Kochaneczko - namawiał - jesteś taka zręczna. Założę się, że zdążysz wyrwać palec, nim on się połapie.

Potrząsnęła głową.

Wyciągnął z kieszeni całego dolara.

- Spróbuj, a będzie twój.

Tak chciała mieć tego dolara, że nagle, pod wpływem impulsu, wetknęła wskazujący palec prawej ręki między szczypce kraba. I w ten sposób straciła kawałek palca.

## Rozdział 5

Nazajutrz całą godzinę zajęło mi przejrzenie tych trzech tomików poezji i napisanie recenzji. Przychylnie oceniłem autorów, skrytykowałem tylko niektóre fragmenty, ponieważ recenzent, który zupełnie nie jest czepliwy, nie jest uważany za dobrego recenzenta. A żeby czasem ktoś nie pomyślał, że Solveig jest mało uczona, okrasilem recenzje takimi słowami, jak eklektyczne i patetyczne.

Aż mi się śmiać chciało na myśl o profesorach literatury czytających te recenzje w uniwersyteckich bibliotekach, za to o autorach nie mogłem myśleć bez żalu. Zaczęło się od tego, że czytali Sandburga, Elinor Wylie i Johna Donne'a i zapalili się do poezji. Potem pisali, darli kartki i wrzucali do kosza. Tak było przez miesiące, a może nawet lata. Studiowali najrozmaitsze książki na temat techniki wersyfikacji. Nauczyli się unikać nieprawidłowych rymów i zbyt potocznych skrótów. Wreszcie zaczęli posyłać swoje wiersze do czasopism.' Ktoś zaakceptował jeden wiersz i to obudziło entuzjazm. W dwa miesiące później przyjął ktoś drugi wiersz. Nie dostali za to pieniędzy albo tyle co nic. Na jeden list pozytywny przypadało trzydzieści albo czterdzieści odrzuceń. A oni tymczasem pisali dalej wiersze, ucząc w szkole albo wypiekając ciastka, albo też jeżdżąc na ciężarówce, a każdy świeżo napisany wiersz natychmiast wysyłali w świat. Wreszcie po ośmiu czy dziesięciu latach można było zebrać tomik poezji z wierszy drukowanych już w czasopismach. Teraz ten tomik z kolei był odrzucany przez różnych wydawców.

Nareszcie został przyjęty. A więc w końcu osiągnęli swój cel. A potem jakiś cwaniak z Santa Fe przejrzał wszystkie trzy tomiki w godzinę i napisał recenzje.

Autorzy będą je czytać w męczarniach i złości, nigdy bowiem nie ma dla nich dość pochlebnych słów. Po latach zapomną o pochwałach, w pamięci zostaną im tylko słowa krytyki (w porównaniu z autorem wysiada nawet przysłowiowa pamięć słoni), a przekonani,

że recenzje te napisała Solveig Skovgaard, przyczają się i będą wyczekiwać momentu, kiedy im przypadnie w udziale recenzowanie którejś z jej książek.

Głupcem jest pisarz, który czyta recenzje ze swoich książek. Nigdy już tego nie robię. Co prawda rzadko mi się zdarza, aby recenzowano moje książki: westerny zajmują bardzo ostatnie miejsce w świecie literackim.

W pisaniu recenzji miałem wprawę. Jeszcze w Des Moines, kiedy leżałem w sanatorium gruźliczym, naczelny mojej gazety, przychylnie do mnie nastawiony, przez kilka miesięcy wypłacał mi pensję, a potem zlecił pisanie recenzji do niedzielnego wydania. Byłem wtedy jeszcze bardzo młody, do tego pełen buntu na niesprawiedliwość losu, toteż miałem surowy stosunek do autorów, których książki recenzowałem. A szczególnie do autorów długich powieści, których czytanie zajmowało tyle czasu. O wiele łagodniej traktowałem zbiory opowiadań. Opowiadania zazwyczaj zdobywają aplauz, bo recenzent może przeczytać uważnie jedno albo dwa, przetrzucić kilka następnych i potem napisać autorytatywną recenzję. To właśnie dlatego, że zbiory krótkich opowiadań są łatwe do recenzowania, najczęściej sławi się geniuszy tego gatunku literackiego.

Sanatorium znajdowało się pod miastem w dębowym lesie i było instytucją na wpół jałmużniczą, to znaczy każdy płacił tyle, ile mógł. Kiedy się tam dostałem, powiedziałem, że jestem biednym sierotą czy też coś w tym rodzaju, bo nie chciałem, żeby pisali do ojca. Miałem zaoszczędzonych paręset dolarów, z tego więc uiszczałem opłaty, a potem z przysyłanej mi pensji. Ale moja żona, droga Inez, nie chcąc, abym marnował swoje pieniądze na odzyskanie zdrowia, udzieliła im poufnie informacji, że ojciec mój, D. R. McCabe, jest zamożnym kupcem w Litchfield w stanie Iowa, oraz że moje pieniądze już się wyczerpały, więc lepiej, jak napiszą do starego, co oczywiście zrobili.

- Gdybyś pracował w sklepie, jak chciałem - oznajmił ojciec, kiedy przyjechał mnie odwiedzić - na pewno by do tego nie doszło.

Po każdej jego wizycie stan mego zdrowia pogarszał się wyraźnie.

Chętnie natomiast widziałem innych odwiedzających. Do tych należał Gilbert Flagg. On to zwykle przynosił mi książki do recenzji.

Był młodszy ode mnie o jakieś cztery lata, a więc wiosną 1932 roku miał dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata. Był szczupły, jasnowłosy, średniego wzrostu; nie wiem dlaczego, ale wyobrażałem sobie, że tak musiał wyglądać w młodości Upton Sinclair. Nosił ostry, oczy niebieskie, usta wąskie, język zjadliwy. Nosił okulary w metalowej oprawce. Utwory swoje sprzedawałem do czasopism, byłem więc prawdziwym pisarzem, a poprzednio jeszcze redaktorem kroniki miejskiej, więc uchodziłem, zdaje się, w oczach Flagga za pewnego rodzaju bohatera. Chciał też pisać, ale jego aspiracje były większe. Planował początkowo, że zrobi dyplom na Uniwersytecie Drake'a, powróci do domu ojca do Staunton, w stanie Missouri, i tam poświęci się pisaniu.

Ale nieba nie są łaskawe dla pisarzy. Wiosną poprzedniego roku, kiedy Gil Flagg był na ostatnim roku studiów, do banku w Staunton, którego prezesem był jego ojciec, przyjechali kontrolerzy. Zaś Norbert Flagg, wzór obywatela i superintendent szkoły niedzielnej, robił różne takie posunięcia finansowe, o których nikt by się nie dowiedział, gdyby nie kryzys. Wtedy szczęście odwróciło się od niego; a jak się gra nie swoimi pieniędzmi, to należy

zawsze wygrywać. W każdym razie koniec był taki, że Norbert Flagg powiesił się w stodole, co moim zdaniem nie jest najelegantszym sposobem wyjścia z sytuacji.

Wszystko to całkowicie pokrzyżowała plany młocięgo Gilberta. Po pogrzebie, na który nie przybyło nawet zbyt wielu ludzi, ponieważ większość oszczędności miasta uleciała wraz z duszą pana Flagga, Gilbert wrócił na uniwersytet i otrzymał dyplom w czerwcu. Od tego momentu zaczął nas nachodzić o pracę w „Registerze“, ale nic nie mógł wskórać. Był jednak, wytrwały, ciągle deptał nam po piętach. Wytrwałość jest cenną zaletą dla reportera, więc jakoś znosiliśmy to natręctwo. Ale w czerwcu 1931 nie przyjmowaliśmy nikogo do pracy. Jednakże w lipcu, a ja wtedy właśnie byłem redaktorem kroniki miejskiej, jeden z moich reporterów dostał w głowę kijem baseballowym w jakimś podejrzanym lokalu (jak większość statecznych miast, Des Moines ma też swoje interesujące życie nocne, tylko trzeba wiedzieć gdzie) i zabrakło mi jednego człowieka. Kiedy Flagg znowu przyszedł zapytać, czy nie zwolniło się jakieś miejsce, przyjąłem go na próbę i tak został. Z chwilą gdy ktoś znajdzie się na liście płacy, to już przyłgnął, dopóki oczywiście nie przekręci nazwiska właściciela albo nie wpakuje gazety w jakąś sprawę o zniesławienie.

Dziennikarzem, podobnie jak przedsiębiorcą pogrzebowym i policjantem, trzeba się urodzić. Zawsze miałem uczucie, że Gilbert Flagg nie urodził się dziennikarzem. Zdawało mi się, że nie lubi się babrać w krwi, ryszotkach i łzach - oczywiście cudzych łzach - co jest konieczne dla dobrego reportera. Następnego dnia po przyjęciu go do pracy otrzymałem wiadomość, że dziewięcioletni chłopiec, który mieszkał we wschodniej części Des Moines (a to wcale nie najlepsza dzielnica miasta), utopił się w gliniance. Była czwarta po południu. Dla porannej gazety to pora zastoju, ponieważ pierwsze wydanie idzie do druku dopiero o godzinie dziewiątej, i moi reporterzy gdzieś wędrowali. Przejęli się tym, co powiedział kilka lat temu Floyd Dell: jeśli dla reportera nie ma nic do roboty, lepiej, żeby nie tkwił w redakcji. Kiedy go nie ma, można przypuszczać, że poszedł na jakąś robotę. A jeśli siedzi i czeka, aż mu coś przydzielą, wtedy na pewno dojrzy go naczelny redaktor, a przy okazji i redaktor kroniki miejskiej oberwie, że jego ludzie próżnują.

Ale Gil Flagg siedział i czekał, aż coś się zdarzy. Kiedy więc przyszła wiadomość o chłopcu, napisałem adres na kartce i kazałem mu popędzić do wschodniej dzielnicy Des Moines i zdobyć fotografię ofiary. Nie fotografię ciała, ale zdjęcie chłopca, chociażby amatorskie.

- A jeśli rodzice mi nie dadzą? - spytał Gil.

- To ukradniesz - odparłem.

Spojrzał na mnie zdumiony, po czym wypadł z biura.

Gdyby chłopak, który zatonął, mieszkał w porządniejszej dzielnicy, nie powierzyłbym tej misji niedoświadczonemu reporterowi; posłałbym gońca do najbliższej tajnej knajpki, żeby poszukał doświadczonego reportera. Skoro jednak ofiara mieszkała w tak kiepskiej części miasta, zdjęcie nie było bardzo istotne, tylko że naczelny był straszny pies na zdjęcia; przeczytał kiedyś chińskie przysłowie, że jeden obrazek zastępuje tysiąc słów, i jakoś uwierzył w to. Dla mnie tylko niektóre obrazki, powiedzmy „Niewinność i próżność“ Leonarda da Vinci albo Jean Harlow w kostiumie kąpielowym warte są tysiąca słów...

W parę godzin później Gil Flagg wrócił i położył mi na biurku fotografię w ramce.

- Och - wykrzyknąłem - świetnie! Jesteś pewien, że to ten chłopak?

- Tak, to on.

- Ciężko poszło?

- Dosyć. Ukradłem z kominka. Rodzice histeryzowali i nie chcieli mi dać, więc ukradłem.

- Ale czy to aby ten chłopak?

- Tak. Potwierdzili to koledzy, którzy z nim pływali.

- Brawo, chłopcze! Teraz jeszcze parę słów o tym wypadku.

Kiedy wręczał mi sprawozdanie, które naturalnie trzeba było przerobić, wydał mi się trochę oklapnięty.

- Ma pan jakieś kłopoty?

- Nie, żadnych.

Wiedziałem jednak, w czym rzecz: jeszcze nie otoczył się twardą skorupą, tak nieodzowną dla każdego dziennikarza. Gdyby to były lepsze czasy, a zwłaszcza gdyby nie bankructwo ojca, myślę, że tego dnia wyrzekłby się kariery dziennikarskiej.

Następnego dnia po napisaniu recenzji zabrałem Solveig na obiad, ale recenzje zostawiłem w domu. Dlaczego tak zrobiłem, wkrótce się okaże.

Pojechaliśmy do „La Fondy“, hotelu Freda, Harveya na rogu Plaza. Hotel jest typowo meksykański: na zewnątrz wygląda jak indiańskie pueblo, z wystającymi krokwiemi i pozostałą częścią piętrowego budynku cofniętą trochę do tyłu, ma nawet prowadzące tam w górę drabiny z surowego drzewa. Stanowią one jednak element wyłącznie dekoracyjny i goście nie muszą wspinać się ani schodzić po drabinach, bo w środku doskonale funkcjonuje winda. Nie wiem, co Frank Lloyd Wright sądzi o architekturze „La Fondy“, mnie się w każdym razie podoba. Jest to najlepszy z licznych hoteli Harveya, wewnątrz wyposażony w łagodne oświetlenie, grube krokwie rzeźbione jak w hiszpańskich domach, meble w stylu dawnych misji i dywany Navajo na ścianach. Wisi tu pełno obrazów malowanych przez artystów z Santa Fe, a przy każdym obrazie karteczka z ceną. W Santa Fe obrazy wystawiane są na sprzedaż wszędzie, gdzie tylko się ruszyć, po prostu dlatego, że ludzie interesu chcą pomóc artystom w zdobywaniu pieniędzy, by ci z kolei mieli z czego spłacić choćby część długów. I tak obrazy można kupić u dentysty, u lekarza, u fryzjera, a nawet w banku w korytarzu przy toalecie dla panów.

W barze znaleźliśmy wolny stolik. Barman był pisarzem, i to całkiem niezłym, jeśli ktoś gustuje w Jamesie Joyce'ie. Kelnerka, ubrana w dawny strój hiszpański, pochodziła z Finlandii i wiedziała więcej o sztuce rytualnej Indian Navajo niż ktokolwiek z moich znajomych. Napisała nawet trzy książki dla młodzieży o Indianach z plemienia Tewa. Druga kelnerka była rzeźbiarką. W barze „La Fonda“ zbierają się wytworniejsi goście niż na niejednym literackim przyjęciu cocktailowym i nieraz zastanawiałem się, co o tym myślą na przykład komiwojażerowie z branży obuwniczej.

Zamówiliśmy dwa martini. Czułem się wspaniale, jak powiedziałby bohater „Jeźdźców z nad Rio Grandę“. Bar zaczęli zapierać kowboje w butach na obcasach i obcisłych spodniach, politycy z biur stanowych, a także kupcy ze sklepów otaczających Plaża. Były to przeważnie jakieś niespokojne duchy i ongiś w rodzinnym Chicago, Ban-gor lub Syracuse uważano ich za narwańców - „natomiast tu, w Santa Fe, okazywali się zupełnie normalni. W Taos pewno powiedziano by o nich, że są trochę nudni, tutaj jednak znaleźli swoją duchową przystań. Kobiety - a nawet niektórzy mężczyźni - przystrojone były w pasy z matowego srebra i macicy perłowej, pierścienie z ogromnymi turkusami i srebrne bransolety. W Santa Fe tylko turyści noszą mocno lśniąca ozdoby ze srebra. Dni płynęły im pod znakiem dolara; teraz jednak zapadał wieczór, a potem noc, która należy już tylko do nich, do nikogo więcej.

Solveig wyglądała ślicznie, powiedziałem jej to. Jest taka czerwień, która wspaniale wydobywa z blond włosów złociste, morelowe i słomkowożółte odcienie, a jej suknia była właśnie tego koloru. Kształtne ręce miały lekki zarys krągłości, co jest zawsze tak czarujące u dziewcząt. Włosy zwykle nosiła rozpuszczone do ramion, teraz jednak upięła je i umocowała srebrnym grzebykiem wysadzonym turkusami. Na rękę miała taką samą bransoletkę. Zauważyłem, że palce u prawej ręki trzyma lekko zagięte, żeby ukryć brakujący kawałek, i w tym momencie zrobiło mi się jej żal. A kiedy mężczyzna zaczyna się roztkliwiać nad dziewczyną, to zazwyczaj czas zacząć załatwiać formalności ślubne.

- Podoba mi się ten grzebyk i bransoletka - powiedziałem. - Nowe?

- Tak - odparła. - Cieszę się, że ci się podobają.

- Od kogo dostałaś?

- To sekret.

- Od pani Kenwick?

- Och, Peter - powiedziała śmiejąc się. - Skąd wiesz?

- Mnie nie stać na kupowanie ci biżuterii, ale za to napisałem te recenzje.

- Jesteś cudowny! Pokaż.

- Nie taki znów cudowny, bo strasznie roztargniony. Zostawiłem w domu.

- To może wracając weźmiemy?

- Oczywiście. Potem wpadniemy do mnie.

- Świetnie! - wykrzyknęła.

Myślę, że teraz jasne jest, dlaczego zostawiłem recenzje w domu.

Wypiliśmy po drugiej szklance martini. Jak wszystkie dziewczęta, lubiła oliwki, więc oddałem jej swoje. Do dziś jeszcze, ilekroć podnoszę szklankę martini upajając się jego aromatem i smakiem, zawsze staje mi przed oczami Solveig, taka właśnie jak wtedy. W przyległej restauracji czteroosobowa hiszpańska orkiestra zaczęła grać skoczną „Jesusita en Chihuahua“, jedną z najbardziej popularnych melodii meksykańskich. Już zamierzałem spytać

Solveig, co by powiedziała na to, żebyśmy na miodowy miesiąc wybrali się autem do Chihuahua, gdy przy naszym stoliku stanął Everett Alcott.

Biedny Everett! Był to niewątpliwie najgorszy malarz w Santa Fe, lecz niestety bardzo płodny. Miał już około sześćdziesiątki, a to już trochę za późno, żeby się z bogacić. Jestem przekonany, że co najmniej od dwudziestu lat nie zjadł porządnego obiadu; zastanawiające, w jaki sposób wykurował się z gruźlicy, która go tu przywiodła - o ile w ogóle się wykurował. Ze swoją rozczochraną siwiejącą brodą i równie rozczochraną grzywą siwych włosów wyglądał, jak przystało na artystę z dawnych lat. Jego garnitur był wyświechtany, na głowie miał stary, zniszczony kapelusz kowbojski.

- Jak się masz, Everett? Właśnie chciałem się z tobą zobaczyć. Czy znacie się państwo?

Nie znali się, więc przedstawiłem ich sobie.

- Czemu chciałeś się ze mną zobaczyć? - zwróciła się do mnie.

- Usiądź i napij się z nami - powiedziałem. Przysunął krzesło i zaczął jeść *tostadas* z glinianej miski, zamówił też piwo. Po chwili zwróciłem się do niego:

- Chciałem się z tobą zobaczyć, bo ciekaw jestem, co ostatnio namalowałeś. Mam na ścianie puste miejsce, które aż się prosi o jakiś obraz. Co trzymasz pod pachą?

- Obrazy.

Obrazy Everetta nie tylko nie nadawały się, by je wystawić na sprzedaż w korytarzu przed męską toaletą banku, ale nawet i w samej toalecie. Przewodnicy po Santa Fe, oprowadzający zazwyczaj turystów po pracowniach malarskich, gdzie można obejrzeć i kupić obrazy, nigdy nie zaglądali do jego obskurnej pracowni. Pozostały mu już tylko restauracje jako jedyne miejsce ewentualnej sprzedaży; chodził więc tam ze swoimi obrazami jak chłopak z plikiem gazet pod pachą. Parę osób w mieście zawiązało cichą konspirację, aby uchronić go przed śmiercią głodową. Uznałem, że tym razem wypada kolej na mnie. Nigdy nie wieszałem u siebie tych obrazów, oddawałem je pani Gonzales; była zachwycona. - Pokaż no, co tam masz?

Gdyby Everett uprawiał malarstwo abstrakcyjne, pewno okrzyczano by go geniuszem. Nawet największy esteta, nie mając pojęcia, jak to rozumieć, nie odważyłby się powiedzieć, że jego obrazy są okropne. Everett jednak nigdy nie namalował, na przykład, zakrzywionego fioleto-wegokija na tle złotej ściany i nie zatytułował tego: „Kogut o wschodzie słońca“. Tego po Everecie nie można się było spodziewać. Z obrazów jego aż nazbyt przejrzyste widać było, co chciał wyrazić, a więc, że piękne jest górskie jezioro, srebrzyste w blasku księżyca i otoczone zewsząd wysmukłymi sosnami.

Pokazał mi trzy obrazy, nie na płótnie, tylko na dykcie. Starannie wypieścił pędzlem każdy listek, każde ździebełko trawy. Patrząc na to czułem się tak jak wtedy, gdy ktoś drapie paznokciem po tablicy.

- Everett, to doprawdy niebywałe obrazy.

- Myślałem, że ci się spodobają.



- Nikt w Santa Fe tak nie maluje.
- Wiem o tym.
- Weźmy choćby to jezioro w górach - mówiłem dalej. - Cóż to za malarstwo!
- Dziękuję, Peter.
- Jaka jest cena? -
- Chciałbym dwadzieścia pięć.
- Wiesz, Everett, nie jestem bogaty, ale cenię sztukę. Dam ci dwadzieścia.
- Zgoda.

Wręczyłem mu forszę.

- Teraz go wziąć nie mogę, ale wpadnę po to do twojej pracowni.
- Dobrze. Przyczepię karteczkę, że sprzedane. - I pp chwili zapytał: - Co teraz piszesz?
- To samo, co zwykle.
- Czytałem w bibliotece jedno z twoich opowiadań w jakimś czasopiśmie. Chyba w „Wolności“...
- Jak ci się podobało?
- Całkiem niezłe. Ale to specjalny rodzaj literatury. Zawsze takie piszesz, prawda?
- Niezmiennie.
- Muszę przyznać, że ogromnie byłem zainteresowany. Ale to niewątpliwie specjalny rodzaj literatury. Czy nigdy ci jednak nie przyszło do głowy, żeby napisać coś poważniejszego?
- To nie dla mnie - odparłem. - Wszyscy nie możemy być artystami.
- Racja. Nie możemy. A więc haruj dalej, Pete. Wszystkiego dobrego.
- Dziękuję, Everett. Wszystkiego dobrego nawzajem. Dopił swojego piwa i już miał odejść, gdy przy naszym stoliku zatrzymał się ktoś, kto był zupełnym przeciwieństwem Everetta. Nazywał się Vern Royce.
- O, Pete McCabe! Jak się masz, przyjacielu? Podniosłem się pytając, czy zna pannę Skovgaard. - A jakże. Jesteśmy przecież sąsiadami. Przypomniałem sobie, że państwo Royce rzeczywiście mieszkają obok pani Kenwick.

Przystojny to był facet, mimo że dobiegał już do pięćdziesiątki. Profil miał jak marzenie, cerę zdrową i opaloną, srebrzyste włosy starannie wyszczotkowane i cały po prostu tryskał wdziękiem. Wzrostu miał chyba sześć stóp, figurę zawodnika polo i ubrany był zawsze tak,

jakby dokładnie stosował się do przepisów mody z najwytworniejszego pisma dla panów, i to zaabonowanego mu przez żonę na stałe. Żona bowiem miała pieniądze; wszystko z teksaskiej nafty. On sam, nim poślubił Cleo trzydzieści lat temu, był agentem ubezpieczeniowym. Od dnia ślubu nic nie robił, był tylko mężem Cleo Royce i podświadomie czuło się, że brak mu i samodzielności, i rozumu, ot, człowiek, który zarabia na życie w sypialni. Oprócz domu w Santa Fe, w którym mieszkali przez trzy miesiące w roku, mieli jeszcze dom w Brentwood i w jakimś małym miasteczku w Teksasie, gdzie ogromnie trudno o dobrą wodę, tak jest przesycona tą piekielną naftą.

- Vern - przywitałem go - trafiłeś akurat na pokaz sztuki. Kupiłem właśnie jeden z obrazów Everetta i jestem przekonany, że i ty zechcesz kupić. To chyba najlepsze jego obrazy.

- Jak się masz, Everett! - wykrzyknął Vern.

- Który ci się podoba? - spytał Everett. - Ten już sprzedany, ale te dwa są do nabycia.

- Bardzo ładne - przyznał Vern. - Ale ja nigdy nie kupuję obrazów. To już należy do Cleo. Wybacz, przyjacielu. Ale są naprawdę ładne.

- Czy Cleo jest tutaj? - spytał Everett. - Może chciałaby obejrzeć?

- Czyżbyś nie słyszał, Everett? - wykrzyknął Vern. - Cleo jest w szpitalu. Przewróciła się razem z koniem i złamała nogę. Wracam właśnie ze szpitala. Zaniósłem jej trzy tuziny róż, bardzo się ucieszyła.

Nie lubię słuchać o wypadkach, ale jeżeli już musiał się zdarzyć, to lepiej, że Cleo Royce, a nie komu innemu. Alcott oszedł, ale Royce'a niełatwo było spławić.

Usiadł, aby z nami wypić; i nie wiadomo dlaczego, chyba żeby zrobić wrażenie na Solveig, uparł się, że on podpisze cały rachunek, łącznie z Everettem. Nie protestowałem specjalnie, bo w głębi duszy uważałem, że bogaci powinni wspierać sztukę. Nalegał też, abyśmy zjedli obiad jako jego goście.

- Świetnie - powiedziałem i pomyślałem sobie, że jak tak dalej pójdzie, to na zakończenie wieczoru będę miał więcej pieniędzy, niż miałem.

Zamówiłem najdroższą pozycję z całego menu i pozwoliłem, by Vern mnie przekonał, że burgund francuski doskonale z tym pasuje.

Tego wieczoru Royce był w doskonałej formie, niewątpliwie dlatego, że mając żonę w szpitalu czuł się jak ptak na chwilę wypuszczony z klatki. Palił mnóstwo angielskich papierosów, zaproponował nam też brandy do kawy. Śmiać mi się chciało, bo przypomniał mi się obiad u pani Kenwick parę miesięcy temu, na którym byłem razem z Royce'ami. W chwili kiedy Vern miał właśnie zamiar wypić drugą szklankę, nagle odezwała się Cleo:

- Wystarczy.

- Ależ moja droga...

- Powiedziałam, wystarczy!

- Och, no dobrze.

Cleo Royce była średniego wzrostu, szeroka w ramionach i pewno parę lat starsza od męża. Miała kasztanowate włosy, choć powinny już być siwe, a szare oczy o tak nieprzyjemnym wyrazie, że chyba drugich takich w życiu nie spotkałem. Miała też długi nos z rozdętymi nozdrzami, kłótliwą szczękę, obfity biust i cienkie nogi. Mówiła z nosowym akcentem teksaskim. Gdyby nosiła spódnicę z koźlej skóry ozdobioną frędzelkami i sześciostrzałowego Colta, przypominałaby małą kobietkę z kowbojskich pokazów cyrkowych, która w mig chwyta broń i trafia do butelek wyrzuconych w powietrze. Ilekroć wstawiała z miejsca, za każdym razem obciągała pas, co zupełnie przypominało ten zwyczaj podciągania pasa, jaki mają bohaterowie Zachodu. Miała słabą głowę; po jednym kieliszku mrugała oczami i marszczyła nos jak królik; i chyba między innymi dlatego tak strzegła Verna przed piciem, bo nie chciała, żępy ją w czymkolwiek wyprzedził. A najważniejszy powód to obawa, by nie flirtował z kobietami, do czego mogłaby go pobudzić nadmierna ilość cocktaili. Cleo była bowiem niesamowicie zazdrosna.

Zawsze mnie drażniła. Owego wieczora byłem na nią wściekły przez męską solidarność, bo nie pozwoliła Vernowi wypić drugiej szklanki, toteż podjąłem z nią walkę podczas obiadu. Nie kosztowało mnie to wiele trudu. Mimo że była teksaską demokratką, występowała zaciekle przeciw Rooseveltowi, tak jak mój ojciec. Niemniej zaciekle występowała też przeciw Żydom, Murzynom i jeszcze wielu innym, już nawet dobrze nie pamiętam. Zdarza się, że jakiś człowiek jest bogaty, bo ktoś z jego przodków posiadał wybitny umysł. Ale Cleo Royce była bogata dlatego tylko, że na paru milach ziemi teksaskiej jej ojca odkryto złoża naftowe; trafiło im się jak ślepej kurze ziarno.

Spieraliśmy się bez przerwy. Pani Kenwick upomniwała mnie, żebym nie był taki złośliwy. Cleo Royce orzekła, że nie jestem dżentelmenem. Ja z kolei oznajmiłem jej, że nie jest damą. Vern śmiał się nerwowo próbując wszystko obrócić w żart. Nagle jednak sprawa przyjęła zupełnie nieoczekiwany obrót. Cleo Royce skapitulowała.

- Możliwe, że masz rację - powiedziała. - W każdym razie polityka niewiele mnie obchodzi. Ale mówię to tylko tobie, Pete, bo i ty mówisz szczerze. Ogromnie cenię w ludziach szczerłość.

Odniosłem wtedy dość dziwne wrażenie, że moja męsk gwałtowność wyzwoliła w jej naturze jakieś uległe kobiece cechy i że to sprawiło jej nawet przyjemność; mężeni gardziła właśnie dlatego, że brak mu było takiej wewnętrznej siły.

Solveig nic o tym wszystkim nie wiedziała, a teraz w restauracji Vern miał taki gest, że zrobił na niej wrażenie. Gdyby chodziło o innego mężczyznę, a nie o Verna, przystojnego, co prawda, ale głupawego pantoflarza, pewno byłbym zazdrosny; w tej sytuacji jednak tylko mnie to bawiło. Żal mi było biednego chłopca; Everett wydawał się przy nim wolnym i szczęśliwym ptakiem. Vern znakomicie potrafił przechwalać się swoimi znajomościami; ustawicznie powtarzał, jakie to bliskie stosunki łączą go z tym czy owym. Na ogół były to sławy ze świata sportowego albo filmowego. Znani gracze w golfa, tenisa, producenci filmowi, aktorzy, aktorki - oto jego przyjaciele. Raz nawet jadł obiad z Jackiem Dempseyem. No cóż, i ja jadłem, jeszcze w Des Moines, gdzie Jack przyjechał, aby sędziować, ale nie zepsułem mu tej przyjemności.

Solveig była ożywiona i pochłonięta tym wszystkim, co mówił. Zadawała pytania, wyglądała młodo, ślicznie i niewinnie. Ogarnęło mnie wzruszenie, kiedy przypomniało mi się to

wszystko, co mi opowiadała o życiu na wyspach i o młodym duńskim dziewczątku żyjącym w zapadłej dziurze - jak sama mówiła - spragnionym widoku rozbawionego miasta, rzęsiście oświetlonego niby na karnawał. Pewno słuchała audycji radiowych nadawanych z nowojorskich wieczornych klubów i hollywoodzkich hoteli, a retransmitowanych przez Puerto Rico. Czytała reklamy sztuk teatralnych w starych nowojorskich pismach; i niejedną godzinę prześlęczała nad zdjęciami tych wszystkich, których redaktorzy działów mody nazywają wytwornym towarzystwem.

Najlepiej postawić siebie w czyjejś sytuacji, to zawsze pomaga. Od razu przestałem mieć do niej żal, że jest tak zaabsorbowana Vernem. Nigdy przecież nie jadła kolacji w „Algonquin“ czy „Beverly Hills Hotel“. Nigdy nie uczyła się w college'u, nie znała więc emocji popołudni spędzanych na meczu futbolowym, a potem wieczorów na tańcach w klubie studenckim. Nigdy nie widziała Sylwestra na Times Square w Nowym Jorku ani nawet przy tej samej okazji hałaśliwej zabawy w papierowych czapkach w kinie „Paramount“ w takim Des Moines. Nie widziała amatorskich przedstawień ani wygłupów domorosłych komików.

- To cudowne znać tych wszystkich sławnych ludzi - powiedziała do Verna.

- Moja droga - odparł na to z pobłażliwym uśmiechem. - Sławni ludzie są tacy sami jak wszyscy, tyle tylko, że sławni.

Nie ulega wątpliwości, że to głęboka myśl.

- Wie pan - oznajmiła - ja też mam zamiar być sławna.

- Przy takiej urodzie i teraz byłaby, pani sławna mieszkając w Nowym Jorku albo w Hollywood.

Nie ujmując nic urodzie Solveig, myślę, że przesadzał trochę z tą łatwością zdobywania sławy.

- Nie mam na myśli takiej sławy. Mówię o sławie pisarskiej.

Vern w sprawach literatury był na poziomie szofera pani Kenwick, toteż czuł się trochę zakłopotany, ale, po długim treningu u Cleo umiał dopasować się do sytuacji.

- Oczywiście, moja droga, jeżeli tylko chce pani być sławną pisarką, to na pewno tak będzie.

- Zdobędę sławę - mówiła. - Wiem, że zdobędę. Całą książkę mam już w głowie i wiem, że będzie rewelacyjna. Pieniądze zaczną płynąć drzwiami i oknami a zdjęcia moje będą we wszystkich pismach. Kełnerz będą się zginać w pas na mój widok, a ludzie mówić: „To Solveig Skovgaard“. Dotąd nie dane mi było tego zakosztować, ale prędko to nadrobię. A pan będzie mówił każdemu, że jest moim znajomym.

- Już dzisiaj z dumą mówiłbym o tym każdemu.

- Całkiem sympatyczny - powiedziała od niechcenia Solveig, kiedy wyszliśmy z „La Fondy“.

- A jaka jest jego żona?

- Nie poznałaś jej?

- Nie, tylko jego dwa dni temu. Przyszedł do pani Kenwick powiedzieć, że żona złamała nogę i jest w szpitalu.

- Ma żonę z Teksasu.

- O, a jaka jest?

- Jest bogata. Santa Fe jest, na swoje nieszczęście, najbliższą miejscowością od Teksasu, - gdzie lato bywa chłodne. Bogaci Teksaszczykowie w mig to odkryli.

- Nie lubisz Teksaszczyków?

- Bardzo, ale w Teksasie. Może zresztą dlatego, że nigdy nie spotykam tam tych, co jeżdżą po świecie.

- Myślisz, że on naprawdę zna tych wszystkich ludzi, o których wspominał?

- Oczywiście.

- Peter, jaki ty jesteś zblazowany!

- Ufam, że nie. Zblazowanie to śmierć talentu. Tylko widzisz, ja przecież byłem dziennikarzem. Znałem wielu agentów prasowych. Wiem, w jaki sposób produkuje się klawę, widziałem to wszystko od kuchni. Większość tych ludzi, których znajomością Vern tak się chlubi, zdobyła sławę tylko dlatego, że tacy, jak ja, napisali coś o nich w gazecie.

Wjechałem właśnie w ogród otaczający mój domek, więc zgasilem silnik.

- Chodźmy po recenzje.

Nie robiła żadnych ceregieli, ani na temat oglądania sztychów, ani że nie powinna i co ludzie pomyślą. Jakby to było zupełnie naturalne.

- A więc tutaj mieszkasz - powiedziała, kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu. - Jak tu przytulnie. Kto to?

Wskazała na fotografię w ramce stojącą na moim biurku.

Zdębiałem. Była to fotografia Inez Turner robiona tuż przed ślubem. Stała już u mnie w rozmaitych miejscach. W Des Moines na komodzie w moim kawalerskim pokoju; na stole w naszym małżeńskim mieszkaniu; w szpitalu, kiedy zachorowałem na płuca; potem w Litchfield podczas rekonwalescencji; i teraz znowu w Santa Fe. Chyba ciągle jeszcze coś domiej czułem, choć najbardziej jej nienawidziłem. Od kiedy jednak spotkałem Solveig, fotografia przestała mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Stała się po prostu zwykłą dekoracją pokoju; nie zwracałem na nią większej uwagi niż na popielniczkę. Dlatego właśnie, zamierzając przywieźć tu Solveig, nie pomyślałem wcale o tym, żeby ją wrzucić do szuflady. Pani Gonzales powiedziałam, że to moja siostra, z Solveig by to nie wyszło.

- Dziewczyna, którą kiedyś znałem - odparłem. Nazywała się Inez Turner, a potem Inez McCabe.

Solveig wzięła fotografię do ręki.

- Piękna, prawda?

- Nie wiem. Wtedy była chyba piękna. Ale od tego czasu minęło już pięć lat.

Nic nie zdołałem wyczytać z jej twarzy. Po prostu stała patrząc na zdjęcie; po chwili postawiła je na miejscu.

- Kochasz ją nadal, Peter?

- Nie. Może kochałem, dopóki nie poznałem ciebie. Teraz nie kocham jej na pewno.

- Dlaczego się rozeszliście?

- Pracowałem nocami.

- O!

- A niektórzy moi przyjaciele, a także przyjaciele żony, nie pracowali.

- Jak to wykryłeś?

- Najzabawniejsze, że wcale nie wykryłem. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Po raz pierwszy zorientowałem się, że jest coś złe, w szpitalu, kiedy wystąpiła o rozwód. Potem ten i ów z moich przyjaciół powiedział mi to i owo. Rozwód miał być za zgodą obydwu stron. To znaczy nie żądała alimentów. Mój adwokat jednak obawiał się, żeby w ostatniej chwili nie zmieniła zdania.

Ojciec mój nie jest bogaty, ale ma trochę forsy. Więc żeby czasem nie usiłowała wyciągać od ojca, adwokat zrobił coś, co ja sam powinienem był zrobić przed poślubieniem Inez. Miał swoich fagasów, którzy potrafili odgrzebać jej przeszłość. Tacy o każdym wywiedzą się wszystkiego. Udali się do jej rodzinnego miasta i tam wyciągnęli rzeczy, o których pewno nawet sama Inez już nie pamiętała.

Solveig, zdaje się, była pod wrażeniem mojego opowiadania. Twarz miała pobladła, usta rozchylone. Usiadła.

- Okropne, że tak zostałeś oszukany, Peter.

- I ja tak myślę. W każdym razie wygląda na to, że już w szkole średniej prowadziła dosyć bujne życie. Wszystko to razem wzięwszy, można nazwać ją erotomanką.

- Co się z nią teraz dzieje?

- Poznała jakiegoś narwanego sprzedawcę, który przyjechał do Des Moines na jakiś zjazd. Musiał być taki sam naiwniak jak ja. Wyjechali gdzieś i pewno pobrali się, jak już przeprowadziliśmy rozwód. To wszystko, co wiem.

- Bardzo ci współczuję, Peter.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Źle, że przed ślubem nie zainteresowałeś się jej przeszłością.

- Oczywiście.

- Ale nie wydaje mi się, aby zakochany mężczyzna myślał o takich rzeczach, prawda? To znaczy... no cóż... nie znam mężczyzn w Stanach, ale tak mi się zdaje, że zakochanemu nawet by to do głowy nie przyszło.

- Mnie nie przyszło.

I wtedy zrobiłem coś, co było trochę teatralnym odruchem, ale sprawiło mi przyjemność. Wyjąłem z ramki zdjęcie Inez, podarłem na kawałki i wrzuciłem do kosza. Pustą ramkę schowałem do szuflady.

Ponieważ przyjechaliśmy do mnie rzekomo po recenzje, więc wręczyłem jej Solveig. Usadowiła się w wyświechtanym wygodnym fotelu przy biurku i zaczęła czytać. Założywszy nogę na nogę, w pończochach obciągniętych tak gładko, że nie znać było ani jednej zmarszczki, i we wspaniale dopasowanej sukni, wyglądała właśnie tak, jak tylko może wyglądać piękna dziewczyna wystrojona na umówione spotkanie. Przygotowując drinki w kuchni przez cały czas nie spuszczałem z niej oka. W świetle stojącej lampy, przyćmionym od dymu z papierosów, włosy jej, w których lśnił srebrno-turkusowy grzebyk zdawały się tworzyć promienistą aureolę. Podobał mi się skandynawski zarys jej twarzy o wystających kościach policzkowych; podobał mi się kuszący cień dekoltu u jej sukni.

- Peter - zawołała - te recenzje są po prostu klawe!

Zdziwiłem się, gdzie podłapała to słowo. Ciągle, co prawda, zdumiewała mnie różnymi wyrażeniami z brytyjskiego slangu, niewątpliwie czerpanymi z angielskich książek; była niesłychanie bystra. A może zapamiętała sobie, jak wtedy po południu, gdy przyjechałem po nią pierwszy raz do pani Kenwick, powiedziałem jej, że wygląda niby młoda księżniczka wyruszająca do Londynu, i wobec tego usiłowała właśnie tak się zachowywać? W każdym razie, ilekroć posługiwała się jakimś wyrażeniem z książek Wodehouse'a, bawiło mnie to i zachwycało, gdyż jej akcent zachodnioindyjski z lekką domieszką duńskiego nadawał wszystkiemu, co mówiła, posmaczek pikanterii.

- Doskonałe recenzje, Peter - odezwała się, gdy wносиłem szklanki. - Nie wiem, doprawdy, jak mam ci dziękować.

Powiedziałbym jej jak, bo przecież mężczyzna na widok uroczej dziewczyny wystrojonej na spotkanie, w gładko naciągniętych pończochach bez jednej zmarszczki i ze starannie uczesnymi włosami, ma tylko ochotę na jedno: zburzyć ten porządek.

- Dobrego... - powiedziała unosząc szklankę do góry.

Jej pełne wargi pomalowane były jasną kredką, a cera - mimo że już parę tygodni przebywała w klimacie umiarkowanym - zachowała jeszcze wspomnienie tropikalnego słońca. Wyglądała jak pyszna dojrzała brzoskwinia. Przypomniały mi się letnie popołudnia z mojego dzieciństwa, kiedy dotykałem w ogrodzie brzoskwiń; jeśli były dojrzałe, same spadały mi do

ręki. Brzoskwinie zrywa się wtedy, kiedy są dojrzałe i słodkie, a ich sok i miąższ jest jeszcze gorący od słońca.

- Uratowałeś mnie tymi recenzjami.

- Bardzo mnie to cieszy.

- I nie powiesz pani Kenwick?

- Oczywiście, że nie.

- Utknęłam na martwym punkcie. Po prostu nie mogę pisać. To zupełne piekło.

- Z pisarzami zawsze jest piekło.

- A tyle chciałabym napisać. Zacząć wreszcie książkę o moim życiu na wyspach. Przecież mogłaby to być rewelacja i przynieść mi fortunę.

- Jak widzisz tę swoją powieść?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. A jak ty byś mi radził, Peter?

- Nie mam pojęcia. Może po prostu autobiografia? - I ja tak myślę. Zaczęłabym od huraganu, kiedy byłam mała. Potem ten wypadek ojczyzna z rekinem.

- Zapowiada się całkiem interesująco - odparłem, choć wcale tak nie myślałem. Prawie każdy jest przekonany, że mógłby napisać niezwykłą książkę ze swego życia, tak jak każdy uważa, że mógłby zostać aktorem. Czasem wychodzą z tego takie książki, jak „Kołyska na głębinie“, „Jajko i ja“, „Testament młodości“, ale to dość ryzykowna sprawa. A ja nie miałem zamiaru ponosić ryzyka. Byłem mniej lub więcej zdolnym wyrobnikiem i w miarę możliwości sprawę sprzedania maszynopisu traktowałem tylko handlowo. Za zdobyte w ten sposób pieniądze kupowałem paliwo do auta i jajka na śniadanie. Byłem producentem, który nabywszy za parę dolarów ryż papieru, pokrywał ją słowami i odprzedawał potem za jakieś dwa tysiące dolarów. O ile, oczywiście, sprzyjało mi szczęście. Byłem przede wszystkim biznesmenem, nie artystą. Sprzedawcą snów o Dzikim Zachodzie, który w rzeczywistości nie wyglądał tak, jak ja go przedstawiałem. Ilekroć więc zdarzało mi się rozmawiać z ludźmi, którzy w swoim pisarstwie pragnęli być artystami, a nie biznesmenami, ogarniało mnie przygnębienie. To zapewne widmo mego literackiego sumienia brzękało łańcuchami po mojej splamionej duszy i dlatego czułem się tak przytłoczony.

- Peter, czy chciałbyś mi zrobić wielką przysługę?

- Z największą przyjemnością.

- Och, nie dzisiaj, ale kiedyś. Poświęć mi trochę czasu, żebym mogła omówić z tobą moją książkę, dobrze? Poradzisz mi, jak ją zaplanować?

- Oczywiście.

- Jesteś cudowny.



Znowu napełniłem szklanki i nastawiłem patefon. Wybrałem „Gwiazdzistą noc“ w wykonaniu Harry Jamesa - melodia ta upaja i uwodzi - i zaprosiłem Solveig do tańca.

Tańczyliśmy, zmieniali płyty, popijając cocktaile, po czym znowu rzucaliśmy się w wir tańca. I tak chyba przez dwadzieścia minut. Jakiś stary moralista może być oburzony z powodu tańców i bourbonu. Może też gromy rzucać na młodą dziewczynę, która idzie do mieszkania rozwodnika i tam poddaje się toksycznemu działaniu bursztynowego płynu i upojnym dźwiękom muzyki. Staremu moralistcie o nalanej twarzy i kiepskim oddechu na samą myśl o tym niechaj serce zacznie walić jak szalone, a język stanie kołkiem. Niech jeszcze spróbuje wyobrazić sobie, że to on trzyma w objęciach tak smukłą młodą czarodziejkę jak Solveig, przytula ją mocno, bardzo mocno w takt melodii, wchłania zapach jej ciała i włosów. I niech sobie wyobrazi, że po chwili, gdy kończy się płyta, podchodzi do patefonu, podnosi igłę, wyłącza ten wspaniały wynalazek techniki i całuje swoją dziewczynę. A potem w zasięgu jego ręki znajduje się lampa, więc ją także wyłącza i zostaje sam na sam w ciemnym pokoju. Niechaj wyobrazi sobie, jak leży z nią na kanapie, a zapach jej włosów miesza się z zapachem perfum Bellodgia Carona. A potem gorące ciało dziewczyny i jej woń staną się dlań wcieleniem tropików - nie jakichś tam rozlewisk afrykańskich, ale słonecznych wysp, gdzie na werandach popija się rum, a w trzcinie cukrowej szeleszczą pasaty.

Tak, jeżeli to wszystko sobie będzie wyobrażał - to się nie pomyli.

Blondynki wcale nie są zimne, to nonsens. Panna Solveig Skovgaard, córka Wikingów w prostej linii, wcale nie była zimna.

- Peter - szeptała - nie, nie. - Ale każdy, nawet nie bardzo doświadczony mężczyzna, potrafi odróżnić, kiedy kobieta tylko mówi „nie“, a kiedy naprawdę myśli „nie“. Solveig tylko mówiła „nie“. I wcale się nie opierała...

Byliśmy w moim mieszkaniu w Santa Fe, w stanie Nowy

Meksyk, zwanym Zaczarowaną Krainą, na końcu Starego Traktu Santa Fe; komorne było zapłacone, drzwi zamknięte, a tu nikt w całym mieście nie wścibia nosa w życie nocne swoich bliźnich. Czasem Solveig szeptała mi do ucha słówka pełne słodyczy i przyzwolenia i wszystko było jak w „Gwiazdzistej nocy“, jak upojne dźwięki trąbek w przyćmionym świetle nocnych klubów. To dlatego dziewczęta w małym miasteczku wychodzą latem o zmroku na Cokę do drugostoru, w nadziei, że on tam będzie; dlatego nad brzegiem rzeki wśród drzew buduje się taneczne pawilony, wynajmuje orkiestrę i tam się jeździ w pełne robaczków świętojańskich wieczory, gdy przejmujące dźwięki saksofonu rozdzierają serce. To tropiki, których jedno z nas nigdy nie oglądało, a drugie było tam małą dziewczynką spoglądającą z przerażeniem na kraba; tropiki, pełne przedziwnych, upojnych woni, gdzie nocą-Murzyni zamykają się w chatkach ze strachu przed strzygami. To gorące Morze Karaibskie, którego nadbiegające jedwabiste fale pienią się na piasku. Tylko trzeba się wystrzegać rekinów.

Tak więc można powiedzieć, że sytuacja między panną Skovgaard i panem McCabe uległa zmianie, ale na miejscu Pete'a każdy doznałby zarówno ulgi, jak i rozczarowania z powodu czegoś, co odkrył na skutek zmienionej sytuacji. Doznałby ulgi dlatego, że żaden mężczyzna mający choć odrobinę honoru - a każdemu zdaje się, że ma go, i to dużo - tak naprawdę, w chwilach chłodnego opanowania, nie pragnie być tym, kto pozbawia Wyspy Dziewicze prawa do tej nazwy. Rozczarowanie wynikałoby z tego, że, przekonany dotąd o dziewczęcej niewinności i braku doświadczenia, poczułby się teraz głupio, przytłoczony pewnością - nie

pytaj jaką, to już sprawa instynktu męskiego - że ta córka Wikingów wcale nie jest tak niedoświadczona, jak sądził. I to rozczarowanie stało się dla mnie owym rekinem - udreką.

Potem w moim pokoju, przytuleni na kanapie, paliliśmy papierosy i popijali cocktaile. Odsunąłem zasłony, za oknem roztaczała się granatowa noc. Taki właśnie kolor stosują reżyserzy, aby oddać atmosferę sztuk Tennessee Williamsa.

- Peter - wyszeptala Solveig - czy chciałbyś mi zrobić przyjemność?

- Nie natychmiast - odparłem.

- Peter, mówię poważnie. Dasz mi przeczytać swoje wiersze?

- Po co ci one?

- Bo jestem zazdrosna. Zazdrosna o Inez, a na pewno o niej pisałeś. Kiedy kobieta jest zazdrosna, to tak jakby umyślnie uraziła się w bółący ząb i wtedy może się zadreczyć. Chcę przeczytać twoje wiersze. Dasz mi je do domu?

- Dobrze - powiedziałem, bo przecież mężczyzna w takiej chwili nie bardzo umie odmówić.

## Rozdział 6

W tydzień potem, wczesnym popołudniem, rozległ się nagle ryk klaksonu przed moim domkiem. Nie cierpię klaksonów. Jedyna dobra rzecz, jaką zrobił Mussolini to to, że zakazał trąbienia na ulicach Rzymu. Klaksony ogromnie odpowiadają łacińskiemu temperamentowi, a Santa Fe swoim temperamentem przypomina Rzym, tylko że, chwała Bogu, nie mieliśmy Mussoliniego, więc też nikt nie wprowadził zakazu używania klaksonów. Dlatego każdy wyrostek hiszpański, ledwie zdoła uciuć na pierwszą ratę jakiegoś gruchota, już jeździ po mieście i trąbi, trąbi każda hiszpańska matrona w okularach w rogowej oprawie, a trzyletni bobas hiszpański, zostawiony w aucie na parkingu, trąbi tak, aż dziw, że mu bębenki w uszach nie popękają. Jeżeli Hiszpan przyjeżdża po kogoś autem, nigdy nie wysiądzie, żeby podejść do drzwi i zapukać; siedzi sobie w środku i po prostu naciska klakson.

Tłukłem na maszynie moich „Jeźdźców znad Rio Grande“, przejęty losami bohatera, który w gęstej strzelaninie przekradał się przez ciemne zaułki Coronado w Nowym Meksyku. Kule przelatywały z błyskiem, a banda koniokradów była przekonana, że nareszcie udało jej się wpędzić go w pułapkę. Wszystko zupełnie jak w filmie z Hopalong Cassidy’em, a tu nagle jakiś idiota zaczyna mi trąbić pod oknem. Zerwałem się tak, że przewróciłem krzesło i wypadłem wściekły przed dom. Niewątpliwie obdarzony jestem tak zwanym temperamentem pisarza, jak się to zwykle określać, tylko że najczęściej nie jest to nic innego, a po prostu złość, którą wywołują wydarzenia świata zewnętrznego zakłócające spokój świata wyobraźni.

Na ulicy stał kabriolet Cadillac, wielkości średniego jachtu, a za kierownicą siedział Vern Royce w ubraniu, które pewno, wedle zapewnień salonu mody męskiej w Beverly Hills, było najbardziej odpowiednie dla naftowego milionera na pogodne wiosenne popołudnia.

- O, Pete, mcm nadzieję, że ci nie przeszkodziłem?

- Skądże.

- Pracujesz?

- Nie, wysiaduję tylko przy maszynie na tych swoich czterech literach i próbuję wydostać Celnego Hemingwaya z pułapki.

- Celny Hemingway? Któż to znów?

- Taki mu dałem pseudonim. Naprawdę nazywa się Dan Latimer i jest podobny do Gary Coopera.

- Gary to wspaniały facet - wtrącił Vern. - Widziałem go w marcu w Brown Derby.

- I ja go widziałem w marcu, w kinie przy Płaza.

- Ale ja go widziałem żywego, Pete.

- Gratuluję.

- Jesteś jakiś niespokojny. Coś się stało?

- Nic, na co mógłbyś poradzić - odparłem i dopiero wtedy zorientowałem się, jak bardzo to prawdziwe. Słusznie ktoś kiedyś powiedział, że nikt nic nie może poradzić na to, że się urodził taki, a nie inny.

- Usiłowałem się do ciebie dodzwonić - wyjaśnił Vern. - Wstąpiłem po drodze do pani Kenwick. Powiedziała mi, że często wyłączasz telefon, więc pomyślałem sobie, że wpadnę po drodze. Jutro wieczorem ujedziemy popiłować trochę drzewa. Możemy liczyć na ciebie?

- Ależ oczywiście.

Jakoś od razu poczułem więcej sympatii dla Verna Royce'a. Nie do pomyślenia, żeby gdziekolwiek poza Santa Fe znalazł się drugi milioner, który chciałby uczestniczyć w takim pilowaniu.

Akcja podpiłowywania tablic reklamowych przy szosie jest przedsięwzięciem typowym dla Santa Fe i odbywa się w sposób następujący. Agencje reklamowe wielkich kampanii naftowych, tytoniowych i samochodowych co jakiś czas postanawiają ulepszyć krajobraz amerykański paroma tysiącami ogromnych tablic reklamowych. Niektóre spośród nich przypadają w udziale okolicom Santa Fe. Wtedy przybywają ludzie i ustawiają tablice zasłaniając przepiękną scenerię celnymi rysunkami typowo amerykańskich chłopców, obok których widnieją takie genialne spostrzeżenia, jak: „Słuchaj no stary, czy nie czas już pomyśleć o nowym aucie?“ Otóż kiedy autostrada robi się zbyt udekorowana tymi owocami biznesowej kultury, zaczynają działać *vigilantes* - tajna straż obywatelska. Działalność ich polega na tym, żeby któregoś wieczoru, trochę sobie popiławszy, wyjechać z siekierami i piłami, no i zwać po kolei wszystkie te tablice.

Vigilantes to przeważnie artyści i pisarze, a także ci właściciele sklepów, o których już wspominałem, że w rodzinnym mieście uważano ich za pomylnych, natomiast tutaj, w Santa

Fe, stali się szanowanymi obywatelami. Doskonale zdają sobie sprawę, że prowadzą przegraną walkę przeciwko cywilizacji neonów, lodów, sorbetów, frytek i oranżady; przeciwko spikerom radiowym reklamującym gumę do żucia i środki na obstrukcję; przeciwko tym, co przeprowadzają tysiączne ankiety i przeciwko wszystkim innym zakusom biznesu, czyhającym na godność człowieka. Mają jednak tę satysfakcję, że mogą wyrazić swoje niezadowolenie z powodu tej niepożądanego ekspansji amerykańskiego życia w okolicie Santa Fe. Bo, jeśli chodzi o przejawy indywidualizmu, to Santa Fe stanowi przedostatni jego bastion w USA. Ostatni stanowi Taos.

Dlatego powiedziałem Vernowi: - Ależ oczywiście - i spytałem: - Gdzie się spotykamy?

- U mnie. Przyjeżdż około dziewiątej. Napijemy się, coś zjemy na stojąco, a potem do roboty. Przeprowadź ze sobą pannę Skovgaard.

- Świetnie. A jak się ma twoja żona?

- Jeszcze biedaczka nie wróciła ze szpitala.

Pomyślałem, że właśnie dzięki nieobecności Cleo przyjęcie u Royce'ów może być naprawdę zabawne, jednakże dodałem:

- Ale z jej nogą lepiej?

- O tak. Tylko rozsądniej chyba, żeby została w szpitalu, dopóki ma nogę w gipsie.

- O wiele rozsądniej - odparłem.

Vern włączył motor,

- Okey, Pete, do zobaczenia o dziewiątej. Powinniśmy się klawo zabawić.

I odjechał.

Wróciwszy do domu usiadłem przy maszynie usiłując przypomnieć sobie zdanie, które klakson Royce'a przerwał mi w połowie. Lecz muza opuściła mnie już na resztę dnia. Coleridge pod wpływem opium zapadł w drzemkę i zbudził się z gotowym poematem „Kubła Khan“ w głowie, po czym jeszcze w półśnie prawie usiadł i zaczął pisać, aż tu nagle rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jakiś wiejski bachor, i zaczął coś paplać; a kiedy wyszedł, Coleridge poczuł, że czar prysł, i oto jeden z największych angielskich poematów został niedokończony.

No cóż, ja nie jestem Coleridge'em; jutro zabiorę się do pracy i jakoś wyciągnę mego Celnego Hemingwaya z opalów. Tymczasem chciałbym rozwikłać inną zagadkę, a mianowicie: czy określenie „klawo“ zapożyczyło dziewczę z Wysp Dziewiczych od Wodehouse'a, czy od Verna Royce'a, który z kolei podłapał je od jakiejś gwiazdy filmowej urodzonej co prawda w New Goshen, w stanie Indiana, ale usiłującej mówić tak, jak wedle jej mniemania mówią londyńczycy. A może Royce usłyszał to wyrażenie od dziewczęcia z Wysp Dziewiczych? W każdym razie nie ma sensu ulegać temu cierpkemu uczuciu, które ludzie nazywają zazdrością. Czyż to nie bezsensowne? Po prostu wciąż jeszcze jestem pod wrażeniem całej historii z Inez.

Vern Royce mieszkał w sąsiedztwie pani Kenwick i zarówno Solveig, jak i on sam wspominali, że czasem tam zachodzi. To zresztą całkiem naturalne. A Solveig ma umysł chłonny i właściwe pisarzom zainteresowanie każdym nowym słowem, więc jeżeli Vern akurat przy niej powiedział, że coś jest „klawe“, Solveig najprawdopodobniej od razu wzbogaciła swój słownik. A poza tym ma dwadzieścia dwa lata i jak każda dziewczyna chce upolować sobie męża, a przecież Vern jako kandydat na pewno nie wchodzi w rachubę. Przynajmniej o trzydzieści lat od niej starszy, głupi jak stołowa noga i w dodatku żonaty z szybami naftowymi, od których na pewno nie miałby ochoty się odzepić. Czyż więc moja zazdrość nie dowodziła tylko głupoty?

Mimo to byłem trochę zazdrosny i to przekonało mnie, że Solveig jednak dość głęboko wryła mi się w serce. Było to wtedy, kiedy już od dawna dzikiego konia z płaskowyżu złapała na łące dziewczyna duńskiego pochodzenia, której ojciec padł ofiarą koniokradów. Zaś Celny Hemingway, który naprawdę nazywał się Dan Latimer (i który mógłby się też nazywać Pete McCabe, gdyby ów był podobny do Gary Coopera i przybył około roku 1880 z Teksasu celem dokonania zemsty), zakochał się w dziewczęcej właścicielce rancho AA.

Moralista o nalanej twarzy, o którym niedawno wspominałem, byłby na pewno zdziwiony. Mógłby powiedzieć, że teraz, kiedy panna Skovgaard utraciła w domu Pete McCabe'a to, co każda dziewczyna ma najcenniejszego, a potem powtórzyło się to jeszcze podczas kilku następnych wieczorów, to na pewno utraciła też dobrą opinię u Pete McCabe'a. Ale w życiu nie zawsze tak bywa, jak sobie wyobrażają moralisci.

Zadzwoiłem do Solveig. Jej niski, głęboki głos od razu rozwiął moje wątpliwości. Mówiła: - Och, tak, Pete, pan Royce przyjechał do pani Kenwick i powiedział o wyprawie na tablice, i ona też ma wielką ochotę pojechać.

- To świetnie - powiedziałem.

Zapanowała chwila ciszy, po czym Solveig się odezwała:

- Peter.

- Słucham?

- Może źle się czujesz?

- Ależ skąd, doskonale.

- Nic się nie stało?

- Nic. A co mogłoby się stać?

- Nie wiem, ale coś mi się zdaje, że masz taki niewyraźny głos.

Zapewniłem ją, że wszystko w porządku. Ale kiedy odłożyłem słuchawkę, odetchnąłem z ulgą. Solveig musiała wyczuć moją zazdrość, nie wiem, czy za pomocą telepatii, czy jeszcze czegoś innego. Przekonałem się, że głupcem jest ten, kto usiłuje przechytrzyć Płec Piękną, jak zwykli nazywać ją nasi przodkowie, ilekroć w grę wchodzi przedłużanie gatunku i wszelkie inne kontakty - a w każdym razie wszelkie przyjemne kontakty - między mężczyzną a

kobietą. W tej sztuce mężczyzna jest bezradny, nigdy kobiecie nie dorówna, bo ona tu jest ekspertem.

W owych czasach, a nawet i teraz, można w Santa Fe liczyć na tłumy gości, byle tylko zapewnić dobrą wyzerkę. Nie gardzono też alkoholem, ale głównym zainteresowaniem pisarzy i artystów cieszyły się proteiny. U Verna zjawilo się około czterdziestu osób, a większość zainteresowana jadłem. Przez cały wieczór rzucali wyczekujące spojrzenia w stronę jadalni, ciekawi zapachów kuchennych, a kiedy około północy podano kolację *á la fourchette*, każdy myślał tylko o sobie - i biada temu, kto został z tyłu.

Vern umiał wydawać pieniądze żony. Były dwa pieczone indyki wielkości strusia, wołowina, szynka, wędzony łosoś i wszelkie możliwe przystawki. Przyjemnie było patrzeć, jak ten tłum rzuca się na jedzenie. W tym momencie wszyscy zapomnieli o „Finnegans Wake“ Jamesa Joyce’a (niektórzy twierdzili uprzednio, że dopatrzyli się w nim jakiegoś znaczenia), o Gertrudzie Stein i poezji T. S. Eliota, a nawet o symbolizmie D. H. Lawrence’a (który jest taki mniej więcej jak symbolizm Monumentu Waszyngtona). Zapomnieli, że istnieje Andre Gide, a także awangardowa muzyka i malarstwo. Jacyż oni byli głodni!

Nie wspominam najprzyjemniej tego wieczoru, tyle tam było snobizmów, i to rozmaitego gatunku. A więc snobizm nowobogackich narciarzy, uosobiony w samej rezydencji państwa Royce, wielkiej jak Pałac Gubernatora i jeszcze obficie wyposażonej w eksponaty nowomeksykańskie, niż muzeum mieszczące się w tymże pałacu. Cleo leżała w szpitalu, ale duchem przez cały czas była z nami - a może tak mi się zdawało? - podczas gdy jej mąż, Vern, sypał sławnymi nazwiskami i pokazywał wszystkie cuda domu, jak na przykład kolekcję santos, będącą chlubą Cleo. („To bardzo brzydki okaz. Wynaleźliśmy, go w wiosce górskiej za piętnaście dolarów. Myślę, że został skradziony z kościoła. Można by bez trudu dostać za to sto“). Nie mogłem sobie przypomnieć, kto to powiedział, że burżuazja to klasa, która zna każdą cenę, a nie zna żadnej wartości. Drugi rodzaj snobizmu, z jakim się tam zetknąłem, cechował przedstawicieli cyganerii - dziś nazwalibyśmy ich beatnikami - którzy najwyraźniej wierzyli, że, unikając fryzjera, prysznicu i jakichkolwiek wysiłków w kierunku artystycznego wyrazu, natychmiast staną się artystami. Jeszcze inny rodzaj snobizmu charakteryzował intelektualistów z zawodu a dyletantów z powołania, których nic, ale to nic na świecie, nie było w stanie powstrzymać od pójścia do biblioteki publicznej, gdzie ostatnie wydanie „New Yorkera“ zwalniało ich z trudu myślenia,

- Och tak, naturalnie - witał mnie zazwyczaj taki facet - teraz sobie przypominam. Pan pisze westerny.

Oczywiście było tam paru doskonałych malarzy i pisarzy i raczej z nimi się stale trzymałem.

Solveig co chwila ginęła mi z oczu. W jednym momencie znajdowała się przy mnie, a w następnym już widziałem ją w gronie ekstrawaganckich chłopców i dziewcząt, zasłuchaną w ich artystyczne wywody wyczytane w jakichś czasopismach, gdzie nie uznawano ani dużych liter, ani cudzysłowów dla oznaczenia cytatów. Byłem trochę niezadowolony, ale tak naprawdę to nie mogłem mieć do niej pretensji: młodzi i niedoświadczeni przeważnie cieszą się, że odkryli złoto, kiedy natkną się na mikę. W mojej grupie pisarze i artyści mówili o pokerze, łowieniu pstrągów i miejscowej polityce. Ale mnie nawet i to wydało się wyrazem snobizmu.

Około pierwszej w nocy Vern rzucił hasło i naszkicował plan strategiczny całej akcji. Podzielił nas na grupy. Jedna miała zaatakować tablice od południa, przy drodze prowadzącej

do Albuquerque, druga - w stronę Pecos, a jeszcze inna w stronę Taos. Poinformował nas, że policja drogowa od godziny drugiej do czwartej ma wolne i jak się uwiniemy, nie powinniśmy napotkać żadnych przeszkód. Siebie mianował kapitanem grupy zmierzającej na północ, a trzy auta - własne, pani Kenwick i moje - wyznaczył do transportu tej grupy.

- Spotkamy się przy Wielbłądzie - powiedział do mnie i do pani Kenwick.

Wielbłąd to ogromna skała znajdująca się na zachód od szosy, o kilkanaście mil na północ od Santa Fe; dzięki erozji ma tak przedziwny kształt, że do złudzenia przypomina wielbłąda na opakowaniu „Cameli“.

Była ładna noc majowa. Przed domem tłum ludzi, uzbrojonych w siekiery i piły, upychał się do aut. Panowało takie podniecenie jak w wigilię Wszystkich Świętych w czasach mojego dzieciństwa. Z Solveig u boku i czterema czy pięcioma osobami na tylnych siedzeniach przejechałem ulicami Santa Fe i po chwili znalazłem się na szosie prowadzącej ku Taos. Góry wydawały się dalekie i tajemnicze nad tym pustkowiem, nad którym był tylko księżyc. Solveig przytuliła się do mnie. Był to gest przyjacielski, ale chyba nigdy nie czułem się jej bliższy, nawet wtedy, w moim mieszkaniu. Obecność innych osób w aucie jeszcze bardziej wyodrębniła nasz własny mały świat. Jak wszyscy kochankowie i my mieliśmy swój tajemniczy język, pełen licznych niedomówień i przenośni, toteż kiedy napomknęła o „tych papierach“, które jej pokazałem, od razu wiedziałem, że chodzi o moje wiersze. Już raz mówiła mi, że bardzo jej się podobają, treść więc byłem zdziwiony, dlaczego znowu o nich wspomina.

- I naprawdę nie chcesz ich opublikować? - spytała.

- Naprawdę.

- To po prostu wstyd, są przecież takie dobre. Mógłbyś je wydać anonimowo.

- Nie. Napisałem je, żeby wyrzucić z siebie to wszystko, co było ich natchnieniem. Teraz chcę o nich zapomnieć. Nie powinienem był ci ich pokazywać.

Przez chwilę milczała, po czym znowu odezwała się:

- Peter...

- Słucham?

- Muszę ci coś wyznać.

- Świetnie. A może sprzedałabyś to do serii sławnych wyznań w wydawnictwie MacFaddena?

- Nie, Peter, mówię poważnie. Stało się coś, na co nie powinnam była pozwolić. Boję się, że będziesz na mnie zły.

- Co takiego?

- Nie mogę teraz powiedzieć. Aż będziemy sami.

- Ale o co chodzi?

- Nie teraz. Ale nie będziesz się na mnie gniewał, prawda?

- Oczywiście, że nie. Ścisnęła mnie za rękę i przysunęła się bliżej. Pomyślałem, że gdyby nie ci w aucie, pewno zrezygnowałbym z ataku na tablice i zawróciłbym do domu.

Kiedy dojechaliśmy do Wielbłąda, pozostałe dwa auta były już na miejscu i po chwili Royce zapoznał nas z taktyką działania. Kobiety miały być na zwiadach i jeździć z Arseniem w aucie pani Kenwick, kursując po szosie tam i z powrotem, a gdyby zaczęło się coś dziać nie tak, jak trzeba, albo zjawiała się policja, Arsenio miał trzy razy nacisnąć klakson, z krótkimi przerwami. Tymczasem Vern i jeszcze paru mieli wracać w kierunku Santa Fe i zwałać po drodze wszystkie tablice. Pozostałym i mnie wraz z nimi przypadło w udziale to samo, tylko w kierunku do Pojoaque. Wszyscy najpóźniej za piętnaście czwarta mieliśmy się znowu spotkać przy Wielbłądzie.

Solveig zaprotestowała; chciała brać aktywniejszy udział. Ja byłbym jej pozwolił, ale pani Kenwick i Vern nie chcieli o tym słyszeć. Jeżeli policja nas zaskoczy, może dojść do utarczki, a Vern, zawsze pełen galanterii, aż wzdragał się na myśl, że kobieta mogłaby być narażona na niebezpieczeństwo.

- Ale ja lubię niebezpieczeństwo - powiedziała Solveig.

- A ja nie! - wykrzyknęła pani Kenwick. - Już jestem tak zdenerwowana, że aż się cała trzęsę. Przecież to byłoby okropne, gdyby ciebie aresztowano.

Więc Solveig z nią została.

Jakieś ćwierć mili za Wielbłądem dałem hasło i zaatakowaliśmy pierwszą wielką jaskrawą tablicę, na której rozkoszna kusicielka namawiała ludzi na jej metodę uzyskania raka płuc. Tablicę wspierało pięć słupów, wcale niełatwych do przepiłowania. Wreszcie po jakichś dwudziestu minutach tablica zachwiała się i runęła, a my ruszyliśmy dalej, borykać się z następną i jeszcze następną. W ten sposób zrobiła się już godzina wpół do czwartej, zdrowy rozsądek nakazywał więc zbierać się do powrotu. Ale trochę dalej, jak wszyscyśmy dobrze pamiętali, znajdowała się szczególnie uprzykrzona reklama, zwłaszcza że stała na ziemi należącej do puebla Indian Tesuque. Byliśmy ogromnie podnieceni i nie chcieliśmy odjeżdżać nie przewróciwszy jej do kompletu, mimo że zrobiło się już bardzo późno. Wtedy to przyszedł mi do głowy nowy pomysł.

Przypomniałem sobie bramę i boczny trakt, który prowadził od szosy poprzez pola Indian aż do rzeki Tesuque. Moglibyśmy więc pojechać kawałek drogi i zaparkować wóz tak, żeby nie był widoczny z szosy. Potem można by wrócić ukradkiem do tablicy - był to znowu mały Johnny, który namawia swego starego, żeby kupił nowe auto - i zabrać się do dzieła. W razie gdyby pokazała się policja, należałoby położyć się plackiem, aż minie niebezpieczeństwo, albo też ukryć się w pobliskim arroyo. Postanowiliśmy zaryzykować.

Metalowe pręty służące do grodzenia pastwisk zadrżały pod kołami, gdy skręciłem z szosy, a zarośnięta droga, po której zwykle jeździły tylko indiańskie wozy, była tak poślizgnięta koleinami, że musiałem zwolnić chyba do pięciu mil na godzinę i przy nikłym blasku księżycy wolno jechałem w stronę rzeki. Prawie wszystkie rzeki na zachodzie są do siebie podobne: rozległe piaski i po nich wijąca się kręta srebrzysta strużka. Zaparkowałem wóz niedaleko nawisu, w miejscu, gdzie piasek był suchy. Potem ruszyliśmy z powrotem przez



chaszce łobody i mydlnicy; kiedyśmy wreszcie dotarli do celu, na moim zegarku było pięć po wpół do czwartej. Szosa świeciła pustką. Zrobiło się zimno, od gór nadciągał wiatr. Zabraliśmy się do roboty.

Było nas pięciu, a mieliśmy trzy piły. Podzieliliśmy się na dwie grupy: jedna stała na warcie, druga zabrała się do dzieła. Siedem przed czwartą ten, co tak zaciekle walczył ze starym a godnym życiem; ten, co unicestwił stajnie aromatycznie pachnące sianem i końskim nawozem; ten, co przyniósł ze sobą hałas, gazy spalinowe, brudne garaże i wypadki śmiertelne na szosach; ten, co komplikuje budżety rodzinne; ten, co zrodził poczwaryciężarówki; ten, co zachęca do wolnej miłości w ustronnych alejkach; ten dorobkiewicz mający tylu natrętnych sprzedawców i tylu milionerów o pustych głowach - amerykański przemysł automobilowy - utracił swoją tablicę. Dumni z dobrze wykonanej roboty skierowaliśmy się w stronę Tesuque. Wiedzieliśmy, że spóźnimy się na nasze *rendez-vous* przy Wielbłądzie.

Nie mieliśmy jednak pojęcia, że jest aż tak późno. W dodatku sporo czasu zajęła nam jazda od rzeki Tesuque; bo gdy nacisnąłem na gaz, tylne koła ugrzęzły w piasku. Miałem zawsze na takie okoliczności łopatę w bagażniku; zaczęliśmy kopać i podnosić koła, a następnie ścinać gałęzie wierzy, żeby dać kołom opór; wreszcie, z pomocą czterech ludzi, Plymouth wy dostał się na twardy grunt. Tymczasem zbliżał się już świt, zimny, czysty, upojny świt Nowego Meksyku. A kiedy zęby szcękają, krew szybciej krąży i po ciele przebiegają mrówki, ma się wtedy ochotę na gorącą kawę i solidne wiejskie śniadanie.

Kiedy dojechaliśmy do Wielbłąda, niebo nad Sangre de Cristo barwiła już czerwień. Oczywiście nikogo tam nie zastaliśmy. Skierowałem się więc w stronę Santa Fe, wkrótce jednak zauważyłem auto policyjne zaparkowane na skraju szosy; hiszpański policjant w mundurze podniósł rękę, dłonią w naszą stronę. Na skroniach włosy już miał posiwiałe, a na twarzy ten charakterystyczny zgorzkniały wyraz, jaki się często spotyka u hiszpańsko-amerykańskich przedstawicieli prawa.

- *Buenos dias, caballeros* - powitał nas.

- *Buenos dias, primo* - odparłem. - *Como esta?*

- *Muy bien, gracias.* - I nadal po hiszpańsku zapytał: - Widzieli panowie tablice reklamowe?

- Jakie tablice, kuzynie?

- Tablice, które jeszcze niedawno stały, a teraz leżą na ziemi.

- Jakoś nie zauważyliśmy, kuzynie - błagowałem.

Wzruszył ramionami.

- Ale co się z nimi stało? - ciągnął dalej.

- Nie mam pojęcia. Wszystkie leżą na ziemi.

- Jak tak można!

- *Si*. To zresztą często się zdarza. Ktoś będzie za to odpowiadał. Ale ja jestem policjantem drogowym, a tablice nie stały na drodze, tylko na polach obok. Więc nie ja mam obowiązek ich strzec. Ale ktoś na pewno będzie za to odpowiadał.

- Cóż robić, kuzynie - powiedziałem. - Świat pełen jest niemądrych ludzi.

- *Si*, mówi pan szczerą prawdę.

- Przedstawiciele prawa mają za dużo obowiązków - dodałem. - Ludzie by chcieli, żeby byli równocześnie w paru miejscach.

- Szczerą prawdą, *señor*. Ale myślę, że te zwalone tablice od razu zostaną zauważone i na mnie zepchną całą winę.

- A może to wiatr je przewracał, kuzynie? Wzruszył ramionami. - Możliwe, *si*, możliwe. - Czy byłby pan tak łaskaw i podał mi swoje nazwisko, kuzynie?

- Juan Jose Torivio Sánchez, *señor*, do usług.

- Aha, czy to nie *señor* Sánchez, który ma tyle ładnych *muchachos* y *muchachas*?

- *Si*, *señor*, dziesięcioro, a jedenaste w drodze. Żona płodna jak królik.

- Kuzynie, czy popełniłbym nietakt, gdybym przekazał jakiś drobiazg pańskiej czcigodnej małżonce na chrzciny jedenastego błogosławieństwa z niebios?

- Nie, *señor*, nie sądzę, żeby to miał być nietakt. Wetknąłem mu w garść dziesięć dolarów.

- Och, *gracias*, *señor*. Moja żona ofiaruje modlitwy za pańskie zdrowie. *Si*, i ja też. Dziękuję, *señor*, za upominek dla noworodka.

- *De nada*, *primo* - odpowiedziałem.

- Szczęśliwej drogi, *señor*.

- I wam wszystkiego dobrego, kuzynie.

- *Hasta luego*, *señor*.

- *Hasta luego*, *primo*. Odjechałem.

W Santa Fe podrzuciłem każdego z towarzyszy do jego domu, a sam pojechałem wzdłuż Alamedy. Wszystko dokoła tchnęło dziewczęcą świeżością majowego poranka; drozdy dziobały dżdżownicę na śniadanie; dom pani Kenwick w blasku porannego słońca miał odcień czerwonawy. I pomyślałem, że Solveig śpi w tym domu, na poduszce złoconej bujnymi włosami, i ogarnął mnie żal, że nie jestem z nią razem.

Spałem tak, jakby ten zatraceniec z „Jeźdźców znad Rio Grande“ rozbił butelkę whisky o moją głowę - często przy trafiało się to mojemu Celnemu Hemingwayowi. Kiedy się zbudziłem, było już późne popołudnie, a pod drzwiami leżała wieczorna gazeta. Sprawa przewróconych tablic zajmowała prawie całą pierwszą stronę, zamieszczono też liczne

zdjęcia. Rozmaici obiecujący biznesmeni, którzy chcieli przerobić Santa Fe na typowe średnie miasto amerykańskie, mówili dużo o tym, że własność prywatna jest nietykalna; policja drogowa zrzekła się odpowiedzialności twierdząc, że ochrona tablic należy do obowiązków szeryfa; szeryf zaś oznajmił, że większość tablic stała na ziemi indiańskiej, sprawą tą więc powinna się zająć policja stanowa. W gazecie wydrukowano oświadczenie policjanta drogowego Sancheza, który miał tego wieczoru służbę. Stwierdził, że nie widział ani nie słyszał żywego ducha na szosie na północ od miasta.

Zadzwoiłem do Solveig, była ogromnie podniecona wiadomościami w prasie, no i oczywiście chciała wiedzieć, jak wywiązaliśmy się na naszym odcinku; bardzo się o mnie niepokoiła. Opowiedziałem jej wszystko i dodałem:

- Ja też się o ciebie niepokoiłem. Jak dostałaś się do domu?

Roześmiała się. - Och, Peter, było strasznie dużo zamieszania. Kiedy o czwartej jeszcze was nie było, zaczęliśmy się niepokoić. Potem usłyszeliśmy warkot motoru i ktoś krzyknął, że to pewno patrol, i wtedy wszyscy wskakiwali, gdzie kto mógł. Przywiózł mnie do domu pan Royce. Zmęczony jesteś, Peter?

- Ależ skąd. Spałem dziesięć bitych godzin. A ty?

- Ja też nie. Podniecenie zawsze dobrze mi robi.

- Nie zjadłabyś ze mną kolacji?

- Z rozkoszą. Tylko że... och, mój drogi, teraz sobie przypomniałam.

- Co sobie przypomniałaś? Inną randkę?

- Nie bądź taki głuptas, Peter! Przypomniałam sobie, że muszę ci coś wyznać.

- Co takiego?

- Nie przez telefon. To... no... boję się, że będziesz na mnie zły. Stało się to tak nagle, że nie mogłam poradzić, ale boję się, że będziesz zły.

- Nie, na pewno nie będę.

- Obiecujesz?

- Oczywiście.

- Jesteś strasznie kochany, Peter.

A jednak byłem zły, kiedy wyznała mi prawdę.

Każda miłość, tak mi się wydaje, zawiera w sobie ziarna własnego rozkładu, chyba że przetrwa okres zalotów i powiedzie do ołtarza. (Nie, nie będę się wypowiadał na temat małżeńskiej miłości.) Spotykasz dziewczynę, wydaje ci się atrakcyjna, ty jej też, i przez jakiś czas czujecie się jak nowo narodzeni, a świat cały promienieje szczęściem. Ale każdy ma swoje odrębne cechy charakteru, na które nic poradzić nie może, bo są albo wrodzone, albo

uwarunkowane przez środowisko, i wkrótce owe cechy zaczynają się ścierać, a więzy miłości jakoś dziwnie rozluźniać. I właśnie więzy miłości Skovgaard - McCabe zaraz po akcji ścinania tablic zaczęły się rozluźniać.

Już wtedy pod wieczór, gdy do niej zadzwoniłem, wydała mi się inna niż zwykle. Nie wiem właściwie dlaczego, po prostu tak czułem. Była jakaś dziwnie zamyślona. Zachowywała się jak zmartwiona dziewczynka, która pod maską uśmiechu i wesela chce ukryć swoje troski.

Pojechaliśmy do „La Fondy“. Przy martini odważyłem się wreszcie spytać, czy coś się stało.

- Och, nie - odparła. - Jestem tylko trochę zmęczona teraz, kiedy minęło już napięcie ubiegłej nocy, to wszystko. A poza tym myślę o książce. Tej o moim życiu na wyspach. Jaki dać tytuł, Peter?

- Może „Dziewczę z pirackiej wyspy“?

- Peter! Wspaniale. Mogę tak zatytułować?

- Oczywiście, jak najbardziej.

- Właśnie taki tytuł był mi potrzebny. Brzmi doskonale. Chcę, żeby książka trochę przerastała rzeczywistość. Wiesz, poszukiwanie zatopionych skarbów albo coś takiego. Żeby domatorom dostarczyła dreszczyku emocji.

- A szukałaś kiedy zatopionych skarbów?

- Ja sama nie. Ale ojczym często mi o nich opowiadał. W pobliżu wyspy było mnóstwo zatopionych statków. Książka moja, co prawda, nie będzie powieścią, ale chciałabym dać jeden rozdział o nurkowaniu po pirackie złoto. A może nie powinnam, jak myślisz?

- Dlaczego nie? Fikcja i prawda są coraz bliższe. Wyobrażam sobie, że któregoś dnia nastąpi zamiana. Niewątpliwie możesz to zrobić. Solveig Skovgaard wraz ze swą ekipą zanurza się w głębinę i wypatruje wraku. Potem, po omacku natrafia na kabinę rachmistrza, a tam... skarbów pilnuje wielka ośmiornica.

- Peter, to świetne!

- Jeżeli gdzieś na statku jest skarb, to musi być też ośmiornica - ciągnąłem dalej. - To nieodłączna część ekwipunku. Czasami zastanawiam się, kiedy te ośmiornice mogą robić cokolwiek innego, skoro ciągle tylko strzegą skarbów?

- Nie żartuj, Peter. To świetny pomysł.

- Świetny, choć nienowy.

- Ale tam naprawdę jest pełno ośmiornic. Widziałam je, tylko że malutkie. Czasami wylazą na plażę. Tubylcy nazywają je morskimi kotami. Panuje przesąd, że dziewczyna, którą pogoni ośmiornica, będzie miała dziecko.

- Małą ośmiornicę?

- Peter! Ty ciągle żartujesz, a to dla mnie sprawa ogromnie ważna.

Kazałem jeszcze podać martini.

Solveig przez cały czas mówiła o swojej książce, z zachwytem przyjmując każdą moją sugestię. Nie ulegało wątpliwości, że jest to dla niej sprawa ogromnie ważna. Za wszelką cenę chciała być bogata i sławna. Wyobrażała sobie zapewne, że jeśli tysiące pięknych dziewcząt zdobywa fortunę mając do zaoferowania tylko urodę, to cóż dopiero, gdy dziewczyna ma za sobą egzotyczne dzieciństwo i może napisać o nim fascynującą autobiografię? Jakoś nie potrafiłem ustosunkować się poważnie do jej książki. Może dlatego, że wiele już znałem ludzi, którzy zamierzali pisać, ale nigdy tego zamiaru nie zrealizowali. I co z tego, że miała tak ciekawe dzieciństwo? Albo że napisała parę dobrych wierszy? Aby napisać wiersz, trzeba chwili natchnienia, jak powiedziałyby pani Kenwick, natomiast do napisania książki potrzebna jest długa i ciężka praca dzień w dzień, aby wreszcie wystukać na papierze osiemdziesiąt tysięcy słów. Poza tym często się zdarza, że dobry poeta wcale, nie umie pisać dobrą prozą. A książka, jaką zamierzała napisać Solveig, musiałaby mieć świetny styl. Pewien Francuz powiedział, że nie jest istotne to, co autor pisze, ale jak pisze. Nie bardzo się z tym zgadzam, ale jeśli chodzi o planowaną przez Solveig autobiografię, całkowicie podpisałbym się pod tą zasadą. Jeżeli jakaś książka wymagałaby szczególnie dobrego stylu, to na pewno „Dziewczyna z pirackiej wyspy“.

- A co z ojczymem i rekinem? Też byś to opisała? Solveig siedziała wpatrzona w martini.

- Tak, oczywiście. Przykre to wspomnienie, ale opiszę.

- Jak to się stało?

- Peter - odezwała się niskim, ochryplym głosem - nie wyobrażasz sobie, jakie to było okropne. Widzę to jak dziś. Pamiętam nawet datę i dzień tygodnia. Wtorek, 14 października 1930 roku. Wiosną skończyłam siedemnaście lat. Dwa lata wcześniej huragan roztrzaskał na kawałki „Jazz Bo“ i pan Webster - tak nazywał się mój ojczym, o ile pamiętasz - kupił nową żaglówkę, którą nazwał „Diabelski Młyn“ i która pochodziła z Tortoli. Wszystkie żaglówki budowane na Tortoli pływają jak marzenie, a ta była jeszcze na dodatek śliczna. Bardzo lubiłam nią sterować. W razie potrzeby miała motor i wszystko można było z nią zrobić. Obliczona była na dwuosobową załogę, a od biedy i jedna osoba mogła sobie poradzić.

A więc, wtedy we wtorek, wybrałam się z ojczymem na ryby. Bardzo lubił łowić, chociaż w zasadzie używał żaglówki tylko do przemytu. Na Wyspie Św. Tomasza jest osada, w której mieszkają ludzie pochodzenia francuskiego zwani Cha-Cha i przemycają alkohol z Martyniki i Gwadelupy. Te francuskie wyspy były trochę za daleko dla „Diabelskiego Młyna“, ale bez trudu za to mógł docierać do Wyspy Św. Tomasza. Ojczym więc jeździł do osady tych Cha-Cha, miał tam swoich kumpli, kupował alkohol, przywoził na Wyspę Św. Krzyża i przemycał dalej.

Ale w ten wtorek łowiliśmy ryby. Matka źle się czuła - chyba już wtedy miewała ataki wyrostka, tylko że nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy - więc popłynęliśmy sami. Ojczym lubił co jakiś czas wypływać na połów ryb, żeby zmylić agentów prohibicji. Byliśmy jakieś dwie mile od północnego brzegu Wyspy Św. Krzyża, kiedy po lunchu ojczym postanowił popływać. Oboje mieliśmy na sobie kostiumy kąpielowe, więc wskoczył do wody. Pływał świetnie, ale słabo nurkował - był bardzo tęgi - a wyskakując za burzę, zadrapał sobie nogę o barierkę. Nieszkodliwie, ale do krwi.

Otóż tam, gdzie są rekiny, można spokojnie pływać, o ile tylko nie ma się krwawiącej rany. Rekin poczuje krew na odległość mili. Ojczym, zadowolony z siebie, unosił się na falach na wznak, gdy nagle krzyknął strasznie. Zeszłam właśnie na dół do kabiny. Słyszac krzyk wyskoczyłam na pokład i oczom moim ukazał się okropny widok. Potwornie krzyczał, że już go dopadł, i widziałam, jak rzuca się i miota w wodzie. A rekin, rekin-młot, już go szarpał. Widziałam to. Ta paszcza, te zęby! A potem krzyk ucichł, morze uspokoiło się, nie pokazał się więcej.

I to wszystko.

Ogarnęła mnie nieomal histeria, ale jakoś udało mi się skierować żaglówkę w stronę Frederiksted. Wszyscy byli okropnie wstrząśnięci, gdy opowiedziałam całe zdarzenie. Egzekwie pogrzebowe odbywały się w kościele luterańskim, ale bez trumny pogrzeb wydawał się czymś nierealnym. W dwa tygodnie potem złapano rekina-młota w okolicach Frederiksted. Na wyspach panuje taki zwyczaj, że jak ktoś złapie rekina, to przede wszystkim rozcina mu brzuch, żeby zobaczyć, co znajduje się w środku. W tym rekinie znaleziono pierścionek, który zawsze nosił mój ojczym. Nie przedstawiał większej wartości, ale był dość oryginalny i ojczym bardzo go lubił. Kupił go parę lat przedtem na Trinidadzie. Hinduski pierścionek w kształcie węża, z ogonem wetkniętym w paszczę. Podobno w Indiach wąż jest symbolem życia, lecz dla mego ojczyma okazał się symbolem śmierci... Naley mi jeszcze, Peter. Jestem... okropnie zdenerwowana samym przypomnieniem tego wszystkiego.

Chyba naprawdę była zdenerwowana, bo nigdy nie widziałem jej tak bladej. Skinąłem na kelnerkę i pomyślałem sobie, że może naprawdę to „Dziewczę z pirackiej wyspy“ będzie czymś nadającym się do wydania.

Po kolacji pojechaliśmy do mnie, a dalej już było tak jak zwykle; chociaż może trochę inaczej. Solveig przez cały czas była... roztargniona. Oczywiście z tymi sprawami różnie bywa (czasem to tylko przyjemność, kiedy indziej prawdziwa rozkosz); wytłumaczyłem sobie, że Solveig to jednak poetka, a poeci miewają nastroje. Potem wypiliśmy whisky z wodą sodową i lodem i usadowiliśmy się wygodnie na kanapie, paląc papierosy i słuchając muzyki jazzowej z Nowego Orleanu. Mówiła niewiele. Nagle zobaczyłem, że łzy spływają jej po policzkach.

- Dziecinko, co ci jest?

Zakryła rękami twarz i wybuchnęła płaczem...

- Ty mnie znienawidzisz... - wykrztusiła w końcu.

- To niemożliwe. Ale o co chodzi, do diabła?

- O widzisz, już zaczynasz mnie wyklinać. Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam, że mnie znienawidzisz.

- Co ty pleciesz, dziewczyno! Wiesz przecież, że to niemożliwe.

- O, znienawidzisz. Będziesz wściekły, a potem nawet spojrzeć na mnie nie zechcesz.

Jeszcze przez kilka minut ciągnęła się dyskusja nie wiadomo o czym, aż wreszcie powiedziała:

- Chodzi o twoje wiersze, Peter.

- Wcale nie są takie ostatnie - rzekłem

- Och, są cudowne, Peter. Pomyśleć, że możesz pisać takie wiersze i... i...

- I tracić czas na westerny?

- Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że to wstyd, że już nie piszesz wierszy.

- Z pisaniem dla zarobku sprawa ma się podobnie jak z pokojem na świecie - objaśniłem. - Albo jest, albo go nie ma; można pisać dla czasopism albo tworzyć prawdziwą literaturę, ale nie i to, i to równocześnie. Przynajmniej ja nie potrafię. Musiałem zabić w sobie poetę, chcąc zarabiać na życie maszyną do pisania. Czy myślisz, że łatwo mi to przyszło? A może myślisz, że tak lubię pisać to, co piszę? Nie cierpię, dziewczyno! Mam z tego tylko jedną przyjemność, że coraz bardziej udosконаłam swoją technikę. Jestem rzemieślnikiem i nie muszę się wstydzic swojej roboty. Czasem jednak niedobrze mi się robi, jak pomyślę, że tę technikę marnuję na tak bzdurne tematy.

- A więc dlaczego...?

- Dla tej samej przyczyny, dla której subiekci pracują w sklepie z obuwem, inni znów pieką chleb i dźwigają wory z mąką rozwijając sobie bicepsy. Żeby zarobić na życie. Tyle tylko, że ja jestem zależny wyłącznie od siebie. Pracuję, kiedy mam ochotę, i odpoczywam, kiedy mi się podoba. I nie mam zamiaru doprowadzić się do tego, że pisząc wiersze prawą ręką, a westerny lewą, przestanę rozróżniać, co jest co.

- Przepraszam cię, Peter.

- Ja też.

- Więc naprawdę skończyłeś z poezją?

- Całkowicie.

- Trochę mi ulżyło - dodała. - Ale tylko trochę. To znaczy dlatego, że skończyłeś z poezją. Może więc tak strasznie nie będziesz się na mnie gniewał, jak ci wyznam prawdę.

- Skąd, u licha, cała ta historia z gniewem?

Skryła twarz w dłoniach:

- Peter.

- Jestem tutaj, przez cały czas.

- Zachwyciłam się twoją poezją. Zachwyciłam się tak, że zrobiłam to, co zwykle robię z wierszami, gdy mi bardzo przypadną do serca. Przepisałam je sobie na maszynie. Chciałam te

kopie mieć dla siebie, a poza tym zawsze mam takie wrażenie, że wiersz staje mi się bliższy, gdy go sobie przepiszę, i nawet lepiej potrafię wtedy ocenić. Przepisałam więc siedem z twoich wierszy. I rozumiesz...

- Co mam rozumieć?

- Bo widzisz, wtedy stało się coś zupełnie okropnego. Znalazła je pani Kenwick.

- O, Boże! - jęknąłem.

- Przepisywałam je w biurze „Niebiańskich Kamieni“. Kiedy skończyłam, zaniosiłam oryginały do swojego pokoju, żeby potem ci je oddać. I wtedy właśnie pani Kenwick znalazła kopie w biurze.

- I przypuszczam, że jak zwykle rozplynęła się w zachwytach.

- Mylisz się, Peter. Zrobiły na niej głębokie wrażenie. Uznała, że są cudowne. Nie było na nich twojego nazwiska - przepisywałam je tylko dla siebie i nigdy bym nie zapomniała, że ty jesteś ich autorem - ale pani Kenwick nawet do głowy nie przyszło, że mogą być twoje.

- Chwała Bogu.

- A ja nie powiedziałam jej, Peter, dotrzymałam przyrzeczenia. Pani Kenwick jednak, znalazłszy je przy mojej maszynie, uznała, że są moje. I co mogłam na to poradzić? Nie mogłam wyznać prawdy, nie łamiąc jednocześnie danego ci przyrzeczenia. Zupełnie nie wiedziałam, co robić. Rozwodziła się szeroko nad tym, jakie są dobre, zapowiedziała, że je wydrukuje w „Niebiańskich Kamieniach“, potem wzięła, żeby pokazać swojej sekretarce, a mnie... mnie jakby sparaliżowało, zamieniłam się w słup soli. Byłam zupełnie bezradna. Wkrótce sprawa posunęła się tak daleko, że już nie mogłam jej rozczarować i powiedzieć, że to nie moje wiersze. A poza tym wtedy chciałyby wiedzieć, kto je naprawdę napisał. Pewnie zgadłaby, że ty. I byłbyś wściekły. Zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Siedziałem i nie spuszczałem z niej oka. - To znaczy, że moje wiersze zostaną wydrukowane w „Niebiańskich Kamieniach“ pod twoim nazwiskiem?

- Peter, nie bądź zły.

- Nie jestem.

- A jednak widzę to. Ale co mogłam poradzić?

- Nic. Zrobiłaś, co było możliwe.

- Peter, proszę cię, nie bądź zły.

- Nie jestem.

Ale byłem zły i to bardzo.



## Rozdział 7

„Kłopot z tobą polega na tym - mawiała zwykle Inez Turner McCabe - że wpadasz w złość, ale nie pokazujesz tego po sobie od razu. Wybuchasz dopiero po tygodniu“.

„Kłopot z tobą polega na tym - mawiał mój ojciec - że często miewasz zły humor“.

Wydaje mi się, że przez kilka dni miałem zły humor. Pracowałem zawzięcie. Wyłączyłem telefon i wycofałem się tam, gdzie zwykle wycofuje się pisarz, gdy skrzywdzi go świat: do przybytku pracy. Harowałem jak wół. Pisałem w piekielnym tempie, aż powieść porządnie zyskała na objętości. Jednakże praca jest lekiem, który tylko przytłumia ból w okolicy mostka, lecz nie może go całkiem ukoić. W związku z panującą teorią, że ból tego rodzaju bywa symptomem przeciążenia pewnych gruczołów, zaprosiłem panią Gonzales. Niewiele to pomogło. Dwa miesiące temu taki wieczór byłby bardzo miły, ale teraz miałem przed oczami tylko Solveig. Wpadłem w nie lada kabałę.

Któregoś rana zupełnie już nie mogłem pracować. Zmuszałem się do pisania, ale słowa nie miały wcale sensu. Postanowiłem zrobić sobie święto - niewątpliwie zasiedziałem się, w tym cały kłopot. Pojechałem więc na Płaza, powąłęsałem się od księgarni do księgarni, następnie poszedłem coś zjeść do drugostoru, a lunch popiłem słodowanym mlekiem, a potem ruszyłem szosą w stronę Taos, bez określonego celu, ot, po prostu na przejażdżkę. Myśli o Solveig nie opuszczały mnie ani na chwilę.

„Miejże trochę rozumu - mówił mój głos rozsądku. - Przecież skradła ci wiersze. Co prawda przedstawiła wszystko jak należy, zręcznie się wytłumaczyła, ale to wcale nie zmienia faktu, że skradła ci wiersze“.

„Do licha, skończyłem z poezją“.

„Uciekasz od prawdy - mówił dalej głos rozsądku. - Przecież to twoje wiersze. Napisałeś je pod wpływem silnego przeżycia, ciągle jeszcze stanowią nieodłączną część ciebie samego. Nawet nie chciałeś ich nikomu pokazywać. A teraz będą wydrukowane. Twoje osobiste uczucia zostaną wystawione na widok publiczny w którymś numerze »Niebiańskich Kamieni«. Niezłe z niej ziółko. Tak ci zakręciła głowę, że dałeś jej te wiersze do przeczytania, a ona je po prostu skradła. Cóż za podłość! Jeżeli potrafiła ograbić cię z wierszy, potrafi to samo zrobić ze wszystkim, co tylko w życiu miałbyś cennego. O ile jej pozwolił“.

„To nie jest aż tak oczywiste - odparłem. - Przecież to jeszcze dziecko. Nie ma doświadczenia. Miała ciężkie życie. Może należy dać jej jeszcze szansę?“

„Jeszcze jedną szansę, żeby cię mogła zranić - trwał przy swoim głos rozsądku. - Lepiej uciekaj, póki czas“.

Zawróciłem w kierunku miasta. Po drodze minąłem małe rancho i Hiszpanów przeprowadzających wodę z rowu irygacyjnego na pole lucerny. Od czasu do czasu przejeżdżały szosą indiańskie rodziny w rozklekotanych drewnianych wozach na chwiejących się kołach. Ich szkapy były wychudzone, z tyłu wlokły się jeszcze bardziej wynędzniałe psy. Nad Sangre de Cristo nadszły burzowe chmury, lecz cała wielka dolina zalana była słońcem, niebo i ziemia przypominały teraz któryś z obrazów Goyi, jak się to często zdarza w

Nowym Meksyku. Odetchnąłem raźniej. Postanowiłem usłuchać głosu rozsądku i trzymać się z dala od Solveig; zerwać teraz będzie przykro, ale później byłoby na pewno gorzej, gdybym zostawił wszystko swemu biegowi.

Przed moim domem stał Cadillac z Arseniern przy kierownicy, a po chwili na ścieżce wiodącej od mego maleńkiego patio ukazała się pani Kenwick.

- Pete! Gdzieś ty się podziewał?

- Nigdzie - odrzekłem. - Przejechałem co prawda niemały kawał drogi, ale bez Solveig czułem się tak, jakbym nie był nigdzie.

- Telefonowałam niezliczoną ilość razy - mówiła. - Chcę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

- Oczywiście. Zaraz przygotuję cci do picia. Woli pani bourbon czy szkocką?

- Okropne z ciebie ladaco.

Usiadła w fotelu, w którym siedziała też Solveig owego wieczoru, kiedy wręczałem jej recenzje. Ja tymczasem tłukłem kostki lodu do whisky.

- Za twoją powieść, Pete! Jak ci idzie?

- Mam już z połowę.

- Za prędko piszesz, Pete, w tym cały kłopot.

- Same ze mną kłopoty - odparłem.

- Marzę o tym, byś wreszcie napisał porządną powieść, tak żeby ojciec mógł być z ciebie dumny. Czym on się zajmuje, Pete? Nigdy nie mogę zapamiętać.

- Ma sklep żelazny.

- Och, nie cierpię sklepów żelaznych. Śmierdzi w nich smarami. A twoja matka żyje?

- Umarła, kiedy miałem dwanaście lat. Guz macicy.

- Nie można było operować?

- Operowali.

- Och, to bardzo przejmujące, Pete. Musiałeś to ciężko przeżyć.

- Tak, nawet bardzo.

- A miałeś rodzeństwo, które by cię mogło pocieszyć?

- Małą siostrzyczkę, Jane. Miłe dziecko. Była też starsza córka, Nancy, ale zmarła na tyfus rok przed moim urodzeniem. Ojciec bardzo chciał mieć córkę, by zastąpiła Nancy, a tymczasem ja się urodziłem.

- Ożenił się po raz drugi?

- Oczywiście. Chyba w rok po śmierci matki. Wie pani, na czym polega podobieństwo między wdowcem a noworodkiem? Przez pół roku stale płacze, po czym siada i zaczyna się rozglądać.

- Wcale mi się to nie wydaje takie zabawne, Pete.

- Mnie też nie.

- Pewno nienawidziłeś macochy?

- Mówiąc szczerze, raczej nie. Ojciec miał pięćdziesiąt lat, ona dwadzieścia dziewięć. Mąż jej zginął na wojnie i żeby zapomnieć o swoim bólu, zaczęła uczyć w szkole w Litchfield. Ojciec był przewodniczącym komitetu szkolnego, ona zaś piękną, zgrabną blondynką. Byłem wtedy wyrostkiem i chyba musiałem się w niej podkochać.

- Miłość to piękna rzecz - westchnęła pani Kenwick, a po chwili spytała: - Jesteś zakochany w Solveig, Pete?

Wychyliłem szklankę do dna i znowu napelniłem.

- Powiedz, Pete.

- Może i tak.

- Właśnie to jej powiedziałam, Pete. Co prawda, ostatnimi czasy tak ją traktujesz, że wcale w to nie wierzy, ja jednak usiłowałam ją przekonać. Solveig, oczywiście, jest w tobie zakochana po uszy.

- Czyżby?

- Oczywiście, że tak. I ty doskonale o tym wiesz. A tu nagle przestajesz dzwonić, nigdzie jej nie zabierasz, w ogóle się nie pokazujesz. Coś jest nie w porządku. Wiesz, co ja myślę? Pokłóciliście się. Ona mi nie chce powiedzieć, ale pewna jestem, że tak. Mam rację?

- Nie całkiem. Zresztą może? Sam nie wiem. Po prostu tak jakoś się złożyło...

- Powiedz mi.

Potrząsnąłem głową.

- To zbyt skomplikowane. Jeżeli Solveig nie mówi, ja też nie mogę. Proszę ją zapytać.

- Och, przecież pytałam. Nie chce pisać ani słowa. Chodzi osowiała i coraz to popłakuje.

- Naprawdę?

Trochę mnie to podniosło na duchu.

- Tak, chodzi i popłakuje. Kłótnie między kochankami... jakie to przejmujące. Pamiętam, jak raz, jeszcze w narzeczeństwie, posprzeczałam się z moim mężem.

- Czyżby o papier toaletowy?

- Tak, właśnie o to. Wybieraliśmy się na bal. Aż tu nagle okazało się, że musi jechać do Chicago, żeby załatwić jakąś sprawę w związku z papierem toaletowym. Byłam tym okropnie dotknięta. Pamiętam, że powiedziałam wtedy: „Wilbur, jak wyjdę za ciebie, zawsze tak będzie. Ciągłe będzie stał między nami papier toaletowy“.

- I tak było?

- Ależ skąd. W dobrym małżeństwie są rzeczy istotniejsze niż papier toaletowy.

I mrugnęła. Roześmiałam się.

- Możesz się śmiać, Pete, ale tak jest. To wszystko dowodzi tylko, że sprzeczki zakochanych nie mają żadnego znaczenia. Zresztą prawdziwa miłość nie obędzie się bez wstrząsów.

- Nieprawdziwa także - powiedziałam.

- W każdym razie, Pete, nie mogę patrzeć obojętnie, kiedy tak osiedlicie na mieliznie. Przyjdź do nas jutro na obiad.

Aż mnie podrywało. Musiałem jednak czymś przekupić głos rozsądku.

- Jutro wieczorem nie mogę.

- No, to może pojutrze?

- Nie, może dzień później. Dobrze, przyjdę.

Rano zabrałem się do pracy ze wzmożoną energią, do godziny drugiej napisałem dwa tysiące czterysta słów. Wtedy dopiero włączyłem telefon. Właśnie kończyłem drugi sandwicz z masłem orzechowym, gdy rozległ się dzwonek i usłyszałem mocny kobiecy głos.

- Pete?

- Tak, słucham.

- Tu Cleo Royce.

- Halo, Cleo, jak się miewasz?

- Fatalnie w tym cholernym gipsie. Siedzę przecież w szpitalu. Telefonuję z łóżka. Nie słyszałeś, że złamałam nogę?

- Tak, słyszałem.

- Gdzieżeś się podziewał, Pete? Już od kilku dni usiłuję się dodzwonić.

- Cały czas pracowałem tu w domu, ale wyłączam telefon.
- Też pomysł! Ciągłe taki sam dziwak. I dalej zapatrzony w tego cholernego Roosevelta?
- Mam mu jedno tylko do zarzucenia: nigdy nie musiał zarabiać na życie.
- O tak, a do tego zdewaluował dolara. Zresztą robi tak, jak doradzają mu Żydzi. Nie wykluczone, że sam też jest Żydem.
- Jest na to wystarczająco inteligentny - odparłem.
- Wstrętne bydlę!
- Kochanie, co słowo to miłsze.
- W ten sposób do niczego nie dojdziemy - odezwała się Cleo. - Pete, chciałabym się z tobą zobaczyć. Mógłbyś mnie odwiedzić dzisiaj po południu?

Nic mi nie stało na przeszkodzie, a jednak powiedziałem:

- Jestem zajęty.
- A wieczorem?
- Tak, samo.
- Niech to licho! A jutro? Muszę się z tobą zobaczyć. Ważna sprawa.
- Może jutro po południu, tak około czwartej.
- Nie wcześniej? To naprawdę ważne.
- Niestety nie.
- No dobrze, więc jutro o czwartej. Tylko nie zapomnij.
- Niech żyje prezydent Hoover! - powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

Cleo Royce miała chyba najelegantszy pokój w szpitalu: telefon przy łóżku, radio, mnóstwo róż i stolik zawalony teksaskimi gazetami i innymi publikacjami, które stawiały sobie za cel zerwanie stosunków dyplomatycznych z Wielką Brytanią, nawiązanie ich z Hitlerem, przeforsowanie Lindbergha na prezydenta, obudzenie czujności w obliczu „żółtego niebezpieczeństwa“ oraz przekazanie poczty inicjatywie prywatnej.

- Nic mi nie trzeba - zwróciła się do pielęgniarki. - A teraz chcielibyśmy zostać sami.
- Mów za siebie, moja droga - rzekłem.
- Lewicujący teoretyk!

Leżała w łóżku wysoko podparta poduszkami i zerknęła na mnie poprzez dym z papierosa, który wydostawał się spomiędzy jej cienkich warg. Wyglądała tak jak zawsze, ten sam ostry nos i te same rozdęte nozdrza.

- Cleo, jesteś najmilszą ze wszystkich spadkobierczyń szybów naftowych. Jak się miewają twoje szyby?

- Nieźle by się miewały, gdyby rząd się tak nie wtrącał, ciągle te ograniczenia. Nie ma już wolności, niestety.

- Nigdy jej nie było.

- Akurat! Była, jak mój stary przeniósł się do Teksasu. Wyciągał tylko spluwę i nim pomyślał, już łup w takiego, co mu się nie podobał.

- Co się z nim stało?

- Kupił sobie Packarda, gdy odkryliśmy naftę. Jechał z szybkością dziewięćdziesięciu na godzinę i nie zauważył zakrętu. Nawet nie zdołano zebrać wszystkich kości.

- To bardzo przejmująca historia.

- Jeśli o mnie chodzi, to odetchnęłam. Walił nas, czym popadło.

- A jak tam złamana kończyna?

- Swędzi, a nie można się podrapać. Niech diabli wezmą tego konia. Przewrócił się mnie na złość. Okropnie dziki. Ale lubię takie ujeżdżać.

Dziękowałam niebiosom, że nie przypadło mi w udziale być jej koniem.

- Ja mu pokażę, niech tylko stąd wyjdę - groziła. - Odechce mu się takich koziołków, kiedy ja jestem na siodle.

- Jak tak dalej będziesz ujeżdżać dzikie konie, to w końcu naprawdę źle się to skończy.

Oczy jej zabłyśły:

- Chyba dla konia.

- Widzę, że jesteś prawdziwą miłośniczką koni.

- Jeszcze jaką. Wolę konie niż mężczyzn. Siadaj, Pete; zaraz ci powiem, po co cię tu ściągnęłam. Chodzi o Verna. Odesłałam go do Teksasu.

- No cóż, gratuluję.

- Mamy tam dom i w takim małym miasteczku będzie musiał się dobrze prowadzić. Wszyscy o sobie wszystko wiedzą, więc przyjaciele zaraz mi doniosą, jak tylko zacznie hasać. A mam mnóstwo przyjaciół.

- Nie jestem taki pewien.
- A czy wiesz, dlaczego go odesłałam?
- Skąd mam wiedzieć?
- Chodził sobie na randki po cichu. Co to za mąż? Ja złamałam nogę, a on mnie zdradza!
- To doprawdy pech.
- Tak, ale nie tylko dla mnie, dla ciebie też. Wyczyniał to z twoją dziewczyną. Z tą ladacznicą Solveig.
- Zaraz, chwileczkę! - zawołałem, a krew uderzyła mi do głowy. - Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur.
- Lepiej wysłuchaj, dla własnego dobra.
- Jakim prawem nazywasz ją ladacznicą? Co możesz o niej wiedzieć? To porządna dziewczyna!

Cleo się roześmiała. Jej śmiech był rehotliwy, jakby dobywał się gdzieś z wnętrzości. - Na Boga, Pete - wykrzyknęła w końcu - musiałeś się chyba zakochać! Serdecznie ci współczuję.

- Nic przecież nie wiesz o Solveig.
- Nie wiem?
- No, co wiesz?
- Widziałam ją raz, nim jeszcze złamałam tę cholerną nogę. Przyprowadziła ją do nas pani Kenwick. Natychmiast się na niej poznałam. To od razu widać, że poluje na cudzych mężów. A poza tym jest łasa na pieniądze. Obrzuciła nasz salon, a potem Verna takim spojrzeniem, że od razu zorientowałam się, co to za jedna.
- Całkiem już zbzikowałaś. Byłaś zawsze chorobliwie zazdrosna o niego,
- I miałam rację. W każdym razie, kiedy zobaczyłam ich razem, powiedziałam sobie: „ho, ho“, i uznałam, że trzeba wnet wyjechać z Santa Fe. Vern lubi blondynki, zwłaszcza młode. Całkiem jak w tej piosence: „Im starsi, tym młodsze im się marzą“.
- Solveig nie chciałaby takiego starego faceta jak Vern.

Cleo znów się roześmiała. - Są tacy mężczyźni, którzy nigdy nie potrafią się poznać na kobietach. Widać ty do nich należysz. Tak naiwni, że dają się nabrać na niewinne oczy.

Z największą przyjemnością bym ją czymś trzepnął.

- Ale nie wyjechaliśmy z Santa Fe, ponieważ złamałam tę cholerną nogę. I wiesz, co Vern zrobił, gdy tylko mnie wpakował do szpitala? Z miejsca rozpoczął zaloty do tej dziewczyny.

Poleciał niby to do pani Kenwick z nowiną, a ją poprosił, żeby pomogła mu kupić dla mnie prezent.

- Skąd wiesz to wszystko? Przecież byłaś w szpitalu przez cały czas.

- Nim wyjechał do Teksasu, wszystko mi dokładnie wyśpiewał. Wzięłam go w krzyżowy ogień pytań i przyznał się do wszystkiego. Klęczał przy moim łóżku i szlochał. Natalia go szpiegowała, byłam więc poinformowana i dobrze sobie wszystko przygotowałam.

- Kto to jest Natalia?

- Na Boga, Pete, czy ty w ogóle coś wiesz? Natalia to moja służąca w Santa Fe. I wcale nie jakaś tam hiszpańska geś. To Indianka z plemienia Tesuque, sprytna jak nie wiem co. I bardzo mi oddana. W każdym razie Vern wybrał się z Solveig do sklepów na Plaza, gdzie pomogła mu wybrać dla mnie pas z muszelek. A jako skromny dowód wdzięczności za tę pomoc kupił jej srebrny grzebyk z turkusami i bransoletkę do kompletu. Jakieś ładne turkusy. Nie taka tandeta, jaką Indianie sprzedają pod Pałacem Gubernatora. Widziałeś to u niej?

Kiwnąłem głową.

- Jedźmy dalej: w dzień czy dwa później Vern umówił się z nią na Plaza. Ona niby była czymś zajęta w drukarni w związku z tym głupim czasopismem. Pojechali do jednej z górskich wiosek i kupili mi sonto. Nie wyobrażasz sobie przypadkiem, co nastąpiło podczas tej przejażdżki? Bo ja tak, doskonale mogę to sobie wyobrazić. Tylko że nie muszę, bo sam Vern mi wszystko powiedział.

- Nie wierzę! - krzyknąłem.

- Nie? Proszę bardzo. Chcesz być nadal oseskiem, to bądź. Ale jeszcze nie wysłuchałeś do końca. Nasz dom znajduje się w sąsiedztwie pani Kenwick - z tym już musisz się zgodzić. Nic więc nie stało na przeszkodzie, aby Solveig Skovgaard odwiedzała nasz dom w piękne wiosenne poranki! Oczywiście, przychodziła tylko po to, żeby się dowiedzieć o moje zdrowie. A w naszym salonie jest wygodna szeroka kanapa.

To mi wystarczyło. Mogłem już wyjść. Ale Cleo nie dała się pokonać, ciągnęła dalej tym swoim teksaskim akcentem:

- Potem Vern wymyślił to zwalanie tablic. Gdybym ja tam była, nigdy by do tego nie doszło. Ja nawet lubię tablice reklamowe. Więc naprzód wymyślił to, a potem tak wszystko zorganizował, żeby Solveig z nim wróciła do domu od Wielbłąda. Spędzili dwie godziny w moim domu, tylko we dwoje, w naszej wspólnej sypialni. A potem Solveig prześliznęła się do domu pani Kenwick, jak gdyby nigdy nic. Natalia złożyła mi jeszcze tego samego dnia dokładne sprawozdanie. No i z Verna także wydusiłam prawdę. I co na to powiesz?

Siedziałem i ze zdenerwowania wyginałem sobie palce. Było mi tak niedobrze, jakbym rozgniół pluskwę. Wreszcie odezwałem się:

- Chyba się z nim rozwiedziesz?

- Kto, ja? Rozwiode się z Vernem? Ależ skąd! To nie pierwsza historia, już wiele razy tak było. A poza tym kocham tego głupka. Gdybym się z nim rozwiodła, mogłabym nie znaleźć



drugiego męża. A gdybym nawet znalazła, to pewno byłoby tak samo. Do licha, skądże! Wcale nie mam zamiaru się rozwodzić. Niełatwo znaleźć porządnego faceta na tym świecie.

Było mi tak niedobrze jak po przepiciu. A gdy łykałem ślinę, przeszkadzało mi jabłko Adama.

- Nie rozumiem, po co mi to wszystko mówisz.

- Zdenerwowałaś się trochę, Pete? Tak, widzę, że jesteś całkiem wypompowany. No cóż, powiedziałam to wszystko wcale nie dlatego, że tak strasznie za tobą przepadam. Dla mnie mógłbyś się z tą dziewczyną ożenić, wcale bym się tym nie przejęła. Ale chciałam przerwać jej grę, załatwić swoje porachunki. Taka kobieta jest gorsza niż grzechotnik. Grzechotnik przynajmniej daje jakieś ostrzeżenie. A takie kobiety są łagodne, pieśczośliwe i śliczne, mają duże, niewinne oczy, a naprawdę są zepsute do szpiku kości. Łgają jak najęte. Sam widok mężczyzny, który należy do innej kobiety, jest dla nich wyzwaniem. Nie spoczną, póki go nie zdobędą, po to tylko, żeby pokazać swoje możliwości. Wiedzą dobrze, czego chcą. Najczęściej pieniędzy, czasem po prostu mężczyzny... wielu mężczyzn... i nie przebierają w środkach.

- Powiedziałaś to pani Kenwick?

- Oczywiście. Tylko że mi nie uwierzyła. Co prawda, . nigdy nie cieszyłam się jej sympatią, a Solveig owinęła ją sobie koło małego palca. Zresztą pani Kenwick żyje w obłokach: „Ależ moja droga - powiedziała - musiała to sobie pani wyimagować. Dawali pani pewno zastrzyki albo jakieś inne lekarstwa i teraz ma pani urojenia. Solveig to cudowna dziewczyna. A jaka wzniosła. I jakie piękne wiersze pisze. Ktoś, kto pisze takie wiersze, nie mógłby być taki... taki zmysłowy“. Do diabła z panią Kenwick. Ale ty mi wierzysz, prawda, Pete?

- Tak - odparłem - wierzę.

Tak, Cleo uwierzyłem, we wszystko uwierzyłem, w każdziuteńkie słowo. Zgadzało się to bowiem z tym, co przez cały czas widać tkwiło w mojej podświadomości; razem z tym wiernym koniem ze starego westernu, co tę nie chciał w ciemną noc skoczyć z jeźdźcem w przepaść, żeby nie zgotować mu losu gorszego od śmierci. Tak, tak, uwierzyłem we wszystko.

Sam nie wiem, jak wyszedłem ze szpitala i jechałem po malowniczych starych uliczkach Santa Fe, w Nowym Meksyku, zwanym Zaczarowaną Krainą. Dość że znalazłem się u siebie w mieszkaniu i spakowałem manatki, gdyż postanowiłem wyjechać na parę dni, Bóg wie dokąd; naprawdę nie wiedziałem dokąd, więc pewno Bóg będzie wiedział. Pieniądze. Potrzebowałem pieniędzy. W portfelu nie miałem nawet dwudziestu dolarów, stanowczo za mało, a banki już były zamknięte; znalazłem się jednak w moim stałym drugstorze na Plaza i właściciel spytał: Ile potrzebujesz, Pete? - a ja spytałem, czy może wymienić mi czek na kilkaset. - Zaraz zobaczę, tak, myślę, że tak. A może jeszcze coś więcej? - Powiedziałem, że trzy paczki „Chesterfieldów“.

- Napełnić, proszę pana? - spytał obsługujący stację benzynową, w której zawsze zaopatrywałem się w paliwo.

- Tak, proszę napełnić, ile tylko wejdzie.

Potem było już całkiem ciemno, a ja jechałem na południe w kierunku Albuquerque, tylko że teraz już wiedziałem, dokąd zmierzam; jechałem wprost ku granicy, meksykańskiej w stronę El Paso w Teksasie, a potem może na drugą stronę do Juarez, bowiem ani w El Paso, ani w Juarez nic nie mogło mi przypominać niejkiej panny Skovgaard.

Z całego Albuquerque widziałem najpierw tylko światła, a po chwili neon reklamujący „Posiłki“ i jaskrawo pomalowany bufet, przy którym kierowcy ciężarówek popijali kawę, wcinali szarlotkę i dowcipkowali z pulchną kelnerką, która pewno dawała na prawo i lewo. No cóż, świetnie, Joycelene, jeżeli tak ci na imię, albo Lorrene, albo Nadine, proszę bardzo, dawaj, dawaj, dziewczyna musi do czegoś w życiu dojść, a napiwki nie są duże tam, gdzie można dostać tylko „posiłki“; jedne dają za lepszy napiwek, inne za recenzje albo za turkusowe bransoletki, nawet za wiersze; tak, tak, dziewczyna musi coś w życiu osiągnąć. Potem jakiś facet wrzucił monetę do graj-szafy i trębacz Harry James zagrzmiał „Musiałem cię kochać“, więc prędko stamtąd uciekłem. Ale to prędiutko, jak pewno powiedziałyby Vern Royce.

Na południe od Albuquerque całymi milami nie było nic, tylko kawałek szosy widoczny w świetle przednich reflektorów i ciemność po obu stronach, i jeszcze gwiazdy w górze. Mój Plymouth, tak jak i każdy z nas, nie robił się młodszy, ale zawsze zdawało mu się, że ma duszę Mercedesa - Benza, więc dzisiaj puściłem go na pełny gaz... i pędziliśmy sobie, tak, mój panie, tak, bracie, naprawdę pędziliśmy; a potem zatrzymałem się przed czynną całą noc stacją benzynową w ponurym starym miasteczku Socorro. W dawnych czasach, kiedy Nowy Meksyk stanowił terytorium, a nie jeden ze stanów, była to strasznie wrzaskliwa miejscina i wałęsało się tu mnóstwo różnych typów z ciężkimi pistoletami na rzemieniu. Teraz obsługujący stację spytał: - Napelnić, proszę pana? - Tak - odparłem - napelnić, ile tylko się zmieści.

Za Socorro znowu nie było nic, może jeszcze większe pustkowie. Jechałem i jechałem, przez Bóg wie jak długi czas i zdaje się, że nie minęło mnie po drodze ani jedno auto. Znajdowałem się teraz pośród rozległych przestrzeni, na których nie było widać światła żadnego domu, na pustyni, w owej krainie konkwistadorów, na wymarzonej Zachodzie „Jeźdźców z Rio Grande“. Późno w nocy wysunął się na horyzont nadłamany kawałek księżyca, a w jego niewyraźnym świetle wszystko dookoła - ogromne połacie piasków, ciągnące się aż po posepny daleki płaskowyż, jakiś łańcuch górski rysujący się hen, na zachodzie - wyglądało jak początek i koniec wszelkiego istnienia. W dziesięć lat później miał nadejść lipcowy świt, kiedy stało się coś, co okolicznych rancherów wyciągnęło z łóżek, co spowodowało, że sierść ich kotów posiwiła nagle i nawet głupie krowy wpadły w przerażenie, bo to właśnie tutaj naukowcy z Los Alamos postanowili zabawić się swoją nową zabawką. Mieli nadzieję, że zabawka ta wybuchnie, ale jednocześnie mieli też trochę nadziei, że to jednak nie nastąpi; a przecież wybuchła, ta piekielna rzecz zdała egzamin, i dzięki temu sąsiednie miasto Alamogordo rankiem obudziło się sławne. Ale wtedy, gdy ja przejeżdżałem przez tę krainę, obchodził mnie tylko tamten wybuch, mniej groźny, choć też łajdacki, jaki w swym pokoju szpitalnym spowodowała Cleo.

Nim dojechałem do El Paso, zrobił się już jasny dzień, słońce prażyło z wysoka i wiał gorący wiatr. W centrum El Paso znajduje się plaża z trawnikiem i chińskimi więzami. Dawniej nazywano je rosyjskimi więzami, ale od czasu, jak poróżniliśmy się z Rosjanami, otrzymały nazwę chińskich więzów. Jak się dobrze zastanowić, to i z Chińczykami nie jesteśmy teraz w wielkiej przyjaźni, tylko pewno już zabrakło im nazw. W samym środku plaża jest sadzawka, a w niej prawdziwe aligatory. Bardzo mi się ten widok spodobał. To ogromnie łagodzi nerwy,

gdy w taki gorący ranek usiąść sobie w parku na ławce i obserwować aligatory, leniwe i pozbawione ambicji - to właśnie najbardziej mi się w nich podobało. Na plaża roilo się także od wróbli - moich ulubionych ptaszków, tak jak mniszek jest moim ulubionym kwiatem. Oczywiście, wiem, że gusta są różne.

Chyba musiałem się zdrzemnąć na ławce, gdyż przeniosłem się do Litchfield w Iowie, rok 1915, a D. R. McCabe mówił podniesionym głosem, żebym dał spokój z tymi wróblami, wszędzie napaskudzą, a ciemnowłosa kobieta, pani McCabe - jego pierwsza żona - usiłowała mnie bronić, że nic nie szkodzi, niech sobie ma te swoje wróble, czy zawsze musisz się czepiać? Ale D. R. McCabe zapowiadał, że jeżeli nie wyrzucę wróbli do południa, to poukręca im głowy.

Poprzedniego popołudnia, podczas burzy, wiatr zrzucił gniazdko, więc wziąłem je, i cztery małe, nie opierzone jeszcze pisklęta z zamkniętymi ślepkami, o szeroko rozchylnych żółtych dziobkach. Wsadziłem je do skrzynki i zaniósłem na duży tylny ganek naszego domu. Gniazdko bardzo przypadło mi do serca, takie byle jak sklecone, takie wróblowate, zupełnie inne niż te porządnie zbudowane gniazda drożdów - ot, po prostu płatanina suchych źdźbeł trawy, ostu i kawałków sznurka.

D. R. McCabe poszedł do swojego umiłowanego sklepu z artykułami żelaznymi, a matka powiedziała wtedy: „Nie płacz, Peter, mam pomysł, nie płacz, Peter.“

Zawsze tak mnie nazywała. Potem, po latach, ktoś jeszcze tak samo do mnie się zwracał: „Jestem ambitna, Peter“.

Ale tą pierwszą osobą, która mówiła do mnie Peter, była moja matka. Już wtedy wyglądała tak, jakby była w czwartym miesiącu ciąży, z powodu guza na macicy. Bała się jednak operacji. Pewnego razu podsłuchałem, jak mówiła, że chciałaby mnie podchować chociaż do trzynastu lat, i spełniło się jej życzenie, bo tylko dwa miesiące brakowało mi do trzynastu, gdy operowano ją w Szpitalu Metodystów w Des Moines, w stanie Iowa, znanym z wysokiej pięknej kukurydzy.

Wtedy, w roku 1915, powiedziała: „Peter, spytam moich“. Tak mówiła zawsze o swoich rodzicach, którzy mieszkali o dwie ulice dalej. Babcia zgodziła się: „Dlaczego nie, oczywiście, niech je tutaj przyniesie“.

Więc zaniósłem skrzynkę z pisklętami do dziadków i postawiłem w stodole. Przez cały tydzień jak opętany wykopywałem robaki, gdzie się dało, i wtykałem do tych szeroko otwartych żółtych dziobków. Karmione tłustymi robakami szybko pokrywały się piórkami, a także otworzyły ślepki, ale wtedy przeżyłem jedną z większych tragedii mojego dzieciństwa: wróbelki były przerażone moim widokiem. Kiedy zbliżałem się do nich, wszystkie gromadziły się w jednym kącie skrzynki, zbite w ciasną gromadkę. Jeść nawet nie chciały z przerażenia, więc wyniosłem skrzynkę ze stodoły, a moje wróbelki jeden po drugim rozwinęły skrzydełka i pofrunęły, nisko i niezdarnie, jeden na płot, inne na starą jabłoń, a ćwierkały przy tym jak oszalałe. Nagle, nie wiadomo skąd, zjawili się kilka dorosłych wróbli; niemal słyszałem, jak jeden pyta drugiego, skąd, u licha, wzięły się te małe? Skryłem się w stodole i obserwowałem, jak dorosłe wróble przejmują władzę. Co prawda, wydziwiała dalej, ale wróbla solidarność zwyciężyła. Nim zapadł zmierzch, moje wróbelki dobrze nauczyły się fruwać i zniknęły. Patrzyłem na puste niechlujne gniazdko, a z oczu płynęły mi łzy.

Wszystko to jednak działo się dawno temu i nie powinienem drzemać na ławce w parku, jak jakiś włóczęga, tylko iść spać do hotelu, w którym się zatrzymałem. Powlokłem się więc do hotelu, ale przedtem jeszcze w hallu nadałem telegram do panny Solveig Skovgaard, Santa Fe, Nowy Meksyk, tej treści:

Wyjechałem w swoich sprawach na południe Na obiedzie nie będę Przepraszam Ucałowania Peter.

„Tak, panno Solveig Skovgaard - myślałem zapadając w sen - bardzo mi przykro. Chciałbym być dzisiaj z tobą na obiedzie u pani Kenwick, lecz to nie byłoby już to samo. Byłby to bukiet kwiatów, ale zwiędły, paczka papierosów, z których pozostały tylko niedopałki i popiół w popielniczce, pusta butelka po bourbonie wyrzucona na śmietnik. A może nigdy nie było tak, jak wydawało imi się wtedy po południu, na stacji w Lamy? Kapitan starego frachtowca był bardzo sympatyczny dla ciebie, wysyłając telegram o zarezerwowanie pokoju. A kim był Hannibal Baker? Ktoś, kogo znałaś jako jasnowłosa dziewczynka w szkole luterańskiej we Frederiksted? Jakiś człowiek z Charlotte Amalie, z którego skrytki pocztowej korzystałaś. Także ktoś bardzo ci oddany, a może... vice versa? Już nigdy nie wróci to, co było, panno Solveig, bo zaufanie to rzecz delikatna. Jak pajęczyna.

Matka aktorka. Wesoła, piękna, urocza Disa Larsen, »perli się jak szampan w złotym pucharze«. Aktorka... Och, daj spokój, Peter McCabe, to twoje drobnomieszczańskie wychowanie ze środkowego zachodu dowodzi... A jednak Niels Nordentoft zobaczył to, co w końcu musiał zobaczyć, kiedy niespodziewanie powrócił o północy. Zastrzelił się. Wiem, jak się musiał czuć. To już nie tylko sprawa obyczajów, ale etyki, która pod tym względem jest niewzruszalna jak skała, mimo że wszystko wokół stale się zmienia“.

Spałem i śniłem, lecz sny moje były dziwnie splątane. Dublony w blasku karaibskiego księżyca i pani Gonzales podziwiająca obrazy Everetta Alcotta, i gorące tropiki, a w nich dziewczęta, które rozkwitają wcześniej i wcześniej pragną rozkwitu. Wszystkiego po trochu.

Dochodziła siódma wieczór, gdy się zbudziłem. Ogoliłem się, wziąłem prysznic, a potem przysłała mi ochota, żeby się czegoś napić, ale w barze na dole sprzedawali tylko wino i piwo. Taka teksaska prohibicja. Barman uświadomił mnie, że jeżeli chcę się napić czegoś mocniejszego, muszę pojechać do Juarez, na drugą stronę granicy.

Wyszedłem więc i wziąłem taksówkę; auto moje było wprawdzie zaparkowane w pobliżu, nie miałem jednak meksykańskiego ubezpieczenia, a słyszałem, że tamtejsze dzieci lubią kraść dekle. Zapadł już zmierzch. Jechaliśmy po wyboistej jezdni, pośród rozmigotanych neonów i dzwoniących tramwajów w kierunku Międzynarodowego Mostu na Rio Grande.

„To jedna z najślawniejszych rzek świata, prawda, Peter?“ ,

Nie ulega wątpliwości, panno Skovgaard. Może nie tak szeroka jak rzeka Des Moines, ale o wiele sławniejsza. A więc jesteśmy w Meksyku.

Ale to jeszcze nie prawdziwy Meksyk. W Santa Fe chłopcy i dziewczęta, pozujący na artystów, mówili, że Juarez to nic szczególnego, po prostu brudne przygraniczne miasto; aby zahaczyć prawdziwy Meksyk, trzeba jechać dalej na południe. Jak wszyscy pseudointelektualiści, tak i oni snobują się na zupełny prymitywizm i wpadają w dziki entuzjizm, gdy uda im się odkryć jakieś pueбло żyjące w takim zacofaniu, że mieszkańcy

kąpią się i siusiają do tego samego malowniczego strumyka, z którego piją też wodę. Cóż, dalej na południu można też spotkać o wiele ciekawsze przypadki dyzenterii.

Może dla tych samych przyczyn, dla jakich lubiłem wróble i mniszek, polubiłem też Juarez. Było jaskrawe, wrzaskliwe i męczące, tanie nocne lokale działały już pełną parą i wszędzie cuchnęły wyziewy kanalizacyjne, jak zresztą w całym Meksyku. Niegdyś miasto to należało do Pancho Villi, gdy jego oberwani, ale twardzi żołnierze odbili je armii pod dowództwem obwieszonych złotem generałów. I teraz odnosiłem wrażenie, że Juarez wciąż należy do Pancho Villi, było tak brudne, wesołe i rozspane. Nie uszedłem nawet do połowy ulicy, a już zaczepił mnie jakiś facet w ogromnych przeciwsłonecznych okularach.

- Może ma pan ochotę na coś pikantnego?

- Do jedzenia?

- Skąd, do oglądania albo i do spania. Chce pan dziewczuszkę?

- Już mam.

- A może poznałbym pana z moją żoną. Jest bardzo ładna.

- Nie dzisiaj.

- Jest ładna i tłusta, panie.

Szedłem dalej.

- Moja żona na pewno się panu spodoba! - wołał za mną. - Ładna i czysta. Sam z nią śpię, panie.

Wstąpiłem do jednego z większych nocnych lokali, który miał przyćmione światła, a kuchnię tak słynną z czystości, że bardzo rzadko dostawało się tam dyzenterii. Zamówiłem duży befsztyk, a czekając wypilem parę drinków.. Występy miały się zacząć dopiero o wpół do jedenastej, czym się szczerze ucieszyłem, bo te rzeczy śmiertelnie mnie nudzą; orkiestra się jeszcze nie zjawiała, a i gości było mało, więc było to miejsce w sam raz odpowiednie do medytacji.

Pomyliłem się tylko co do jednego; że El Paso i Juarez pomogą mi zapomnieć o Solveig - wspomnienia nie opuszczały mnie na krok. I pewnie długo jeszcze nie zechcą opuścić. Wypilem whisky pół na pół z wodą, po czym zamówiłem następną i jeszcze następną. I zacząłem się zastanawiać, co robić dalej.

Wnioski, do jakich doszedłem, były wcale nie pokrzepiające, ale przecież starałem się, a trudno za to człowieka potępiać. A może tak? Małżeństwo w każdym razie wykluczone. Spróbowałem już tego z Inez i przekonałem się, że miłość wcale nie przechodzi, gdy się dziewczynę poślubi. Nie miałem też zamiaru oskarżać Solveig o zdradę. Nie cierpię scen, chyba że we własnej powieści, a jeżeli Solveig jest już taka, no to jest, i choćby nie wiem ile rozprawiać na ten temat, nic się nie zmieni. Nie ma też sensu przestać się z nią nagle widywać, na to zdobyć się nie mogę. A więc co pozostało? Oto, co pozostało do zrobienia - ucinać psu ogon po kawałku.

W lokalu takim jak ten nie spieszą się z podawaniem jedzenia, dzięki temu ruch jest większy w barze, toteż dokończyłem swój befszytk chyba dopiero około dziesiątej. Do tego czasu zeszło się już sporo turystów, jakaś nowo zaślubiona para z El Paso, a także kilku amerykańskich oficerów z żonami przybyłych z Fort Bliss. Jedna z nich, smukła blondynka, przypomniała mi panią Carol Nelson. Myślałem potem o niej - o pani Nelson - w taksówce, wracając do El Paso, i jeszcze potem w hotelu.

W 1918 roku szkoły publiczne w Litchfield rozpoczęły naukę w pierwszy poniedziałek września, nie zwracając uwagi na to, że tego dnia było Święto Pracy. Zresztą większość obywateli Litchfield uważała, że wszyscy członkowie związków zawodowych to wywrotowcy i anarchiści. 10 sierpnia skończyłem trzynaste lat i wstąpiłem do pierwszej klasy szkoły średniej. Po raz pierwszy miałem na sobie długie spodnie. Kurator szkolny - patriota taki, że zrobiłby wszystko, by zwyciężyć *Kaisera*, z wyjątkiem zgłoszenia się na ochotnika do armii - przewodniczył na otwarciu roku szkolnego i między innymi do jego obowiązków należało przedstawienie nowych nauczycieli.

- A to jest pani Carol Nelson - oznajmił. - Wdowa po poruczniku Nelsonie, który wiosną tego roku bohatersko zginął we Francji.

Wyglądała ujmująco i kobieco, miała zgrabne nogi, słodką twarz i piękne ręce, którymi delikatnie poruszała; z miejsca zakochałem się w niej, w obliczu Boga i setek zgromadzonych uczniów; zadurzyłem się po uszy, bez pamięci i bezpowrotnie. Jak tylko może zadurzyć się taki wyrostek w kimś starszym i zupełnie nieosiągalnym. Kto z nas nie pamięta, jak się wtedy marzy o okazji do popisania się bohaterskim wyczynem; a jeśli obiekt miłości jest nauczycielką, o tym, że zatrzyma cię w szkole po lekcjach. Tak samo było i ze mną. Miała uczyć nas łaciny i literatury angielskiej; od tego czasu nikt już nie musiał mnie napędzać, abym wychodząc do szkoły wyszorował ręce, umył twarz i wyczyścił buty.

Pani Carol Nelson zawdzięczam więc wszelkie sukcesy, jakie potem w życiu zdołałem osiągnąć na polu łaciny (żadne). A także wszelkie sukcesy w zakresie literatury angielskiej (żadne). Jednakże uczyłem się. Nigdy nie zaniedbywałem zadań domowych z tych przedmiotów i byłem jednym z najlepszych uczniów. Nie będę wspominał, na którym miejscu stałem z przedmiotów takich jak historia, algebra i jeszcze innych, jakich tyle zwała się wtedy na zakochanego młodzieńca. W każdym bądź razie, gdy uczyłem się łacińskiej koniugacji albo pisałem wypracowanie, w moim pojęciu zalecałem się do pani Nelson. A ilekroć za wspaniałą recytację wiersza pochwaliła mnie, czułem się niby dzielny młody rycerz, który zdobył uznanie pięknej księżniczki.

Ojciec mój, jak już wspominałem, był wtedy przewodniczącym komitetu szkolnego, toteż ilekroć spotykano go pogrążonego w rozmowie z jakimś nauczycielem na ulicy, w sklepie albo przed kościołem po nabożeństwie, każdy był przekonany, że mówią o sprawach szkolnych. Stąd ani mnie, ani mojej siostrze Jane nie wydało się podejrzane, że latem następnego roku ojciec tak często jeździł do Des Moines, odległego o sześćdziesiąt kilometrów. W Des Moines zaś mieszkała z rodzicami pani Nelson, ale jakoś sobie tego wcale nie kojarzyliśmy.

I nagle obiegła Litchfield najbardziej chyba niezwykła nowina w historii tego miasta.

Rankiem w sobotę, 11 października 1919 roku, D.R. McCabe pojechał do Des Moines. Pani Nelson też tam pojechała, ale poprzedniego dnia wieczorem. A „Sunday Register“ z 12 października doniósł w rubryce towarzyskiej, że w sobotę po południu odbył się ślub Carol

Nelson i D.R. McCabe'a, znanego kupca z Litchfield w stanie Iowa. Po weselnym przyjęciu w domu rodziców pani Nelson młoda para wyjechała w podróż poślubną do Chicago.

Moja siostra Jane, która miała wtedy prawie jedenaście lat, wpadła w złość, po czym zalała się łzami, i nie bez powodu, bo dotąd ona była pupilką ojca. Służąca chodziła zgnębiona przewidując, że wnet zostanie bez pracy. Dyrektor szkoły musiał dobrze kręcić głową, aby inni nauczyciele zastąpili panią Nelson - już teraz panią McCabe - do czasu, aż wróci z podróży poślubnej: zwłaszcza że nie wiedział, kiedy to nastąpi. Moje uczucia były dość mieszane. Zachwycony byłem myślą, że zyskałem tak uroczą macochę, ale z drugiej strony świadom już byłem seksualnych powiązań małżeńskich. Pani Nelson, wyobrażałem sobie, jest niewinna i nieuświadomiona (nie wiem, jak to się działo, że pomijałem jej pierwsze małżeństwo), natomiast o ojcu swoim myślałem jako o przebiegłym i zdeprawowanym potworze.

Małżeństwo to jednak okazało się bardzo udane, gdyż pani Carol Nelson McCabe była osobą taktowną i życzliwą; pod koniec semestru zrezygnowała z nauczania i poświęciła się domowi; zdobyła sobie Jane, a pozbyła się naszej służącej, która zresztą była do niczego; a gdy ja zacząłem pisać i chciałem iść na uniwersytet, ona jedna zachęcała mnie do tego; czasem nawet, jak już byłem w Iowa City, przysyłała mi pieniądze. Kiedy po rozwodzie i przebytej gruźlicy przyjechałem do Litchfield na dziesięć miesięcy, żeby odpocząć i odzyskać siły, to ona powitała mnie serdeczniej niż ojciec, który nadal uważał, że powinienem pracować u niego w sklepie.

Teraz więc, siedząc w hotelu w El Paso, przez cały czas myślałem o niej i pragnąłem, aby Solveig była bardziej podobna do niej niż do Inez Turner McCabe. Ale pragnąc to jeszcze nie wszystko. Rzadko kiedy pragnienia się spełnia ją.

Następnego dnia wróciłem do Santa Fe, lecz o takiej porze, że już nie mogłem zadzwonić do Solveig. Zrobiłem to dopiero następnego dnia.

- Och, Peter, okropnie się za tobą stęskniłam.

Jej głos, głęboki i lekko zachrypnięty, całkiem mnie rozbroił.

Kiedy pojechałem do pani Kenwick i do pokoju weszła Solveig w letniej sukni, młoda, śliczna i dziewicza, o oczach brązowych i pełnych wyrazu, natychmiast padliśmy sobie w objęcia. Przekonałem się wtedy, że niełatwo będzie obcinać psu ogon po kawałku.

## Rozdział 8

Skończyłem „Jeźdźców znad Rio Grande“ na początku lipca; zmieniałem i poprawiałem chyba jeszcze przez miesiąc, wreszcie czysty już maszynopis wysłałem z dwoma kopiami do Walla Ingersolla w Nowym Jorku. Nie mogłem już na tę książkę patrzeć; po napisaniu siedemdziesięciu tysięcy wyrazów całość wydała mi się pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Byłem przekonany, iż Wally przyzna rację memu ojcu: że o wiele lepiej nadają się do handlu żelaznymi wyrobami. A jednak spodobała mu się. Nawet się entuzjasmował. Uważał, że ma wszelkie szanse na wydanie książkowe, a także na druk w odcinkach. I doskonale nadaje się, uważał, do filmu. Ale nie pokładaj w tym, Pefe, zbyt wielkiej nadziei: napisz teraz parę

opowiadań takich jak zwykle; „Szafirowe Romanse“ chciałyby jakąś nowelę zupełnie oryginalną, na przykład o bandzie koniokradów z dziewczyną na czele, ale teraz niechby była córką szeryfa...

Świetnie. Okey, bracie. Niech będzie „Sally-Pędziwiatr“ (okazało się jednak, że „Szafirowe Romanse“ mi ją odrzuciły; natomiast spodobała się w innym piśmie, „Serce Zachodu“, które zamówiło całą serię odcinków o Sally. Dostarczałem im Sally wedle zapotrzebowania przez parę następnych lat, co mnie ogromnie podciągnęło, może nie artystycznie, ale na pewno finansowo).

Zaczynam jednak zbyt daleko wybiegać naprzód. Wróćmy do owego lata w roku 1935, kiedy to Solveig i ja - jak powiadają autorzy piosenek - złamaliśmy sobie serca.

Przynajmniej ona złamała moje, wedle tej popularnej a mętnej metafory, ona zaś mówiła, że i ja też złamałem jej serce. Możliwe; cóż mam na to powiedzieć?

A jednak, mimo tych złamanych serc, nie narzekaliśmy sobie na brak rozrywek; chodziliśmy na przyjęcia organizowane w pracowniach malarskich, jedli razem obiady, tańczyli, nie mówiąc już o rzeczach podstawowych. Ani razu nie wspomnieliśmy o Vernie Royce'ie, żył sobie w jakiejś dziurze w Teksasie. Czwartego Lipca zostaliśmy zaproszeni na garden-party, urządzone przez świetnego malarza, który całkiem przypadkowo zdobył majątek, a to dlatego, że sprytnie wybrał na jednego z dziadków wynalazcę kolei żelaznej czy czegoś w tym rodzaju. Na przyjęciu tym zjawiała się Cleo, już bez gipsu, ale z laską. Kiedy zobaczyła mnie razem z Solveig, oczy jej rozblęsnęły jak sześciostrzałowe Colty, które były takim uprzykrzeniem dla Celnego Hemingwaya (ilekroć zawitał do baru „Pod Długim Rogiem“ w Coronado, Nowy Meksyk). Omijając z dala Cleo ulotniliśmy się szybko do mego mieszkania na lepszą zabawę. Przytuleni na kanapie paliliśmy papierosy, gdy Solveig się odezwała:

- Widziałeś, jak Cleo na mnie spojrzała?

- Tak, na razie wzrok mi dopisuje.

- Dziwna z niej kobieta, Peter. Zdaje się, że od pierwszego spotkania zapalała do mnie głęboką niechęcią.

- A kiedy to było? - spytałem pamiętając, jak wtedy wieczorem, gdy spotkaliśmy się z Everettem i Vernem w „La Fondzie“, powiedziała, że nie zna żony Verna.

- Och, już nie pamiętam. Chyba na początku maja. Państwo Royce właśnie przyjechali do Santa. Fe z Brentwood na sezon letni. Pani Kenwick poszła ich wtedy przywitać i zabrała mnie ze sobą.

Przypomniało mi się, co powiedział Lincoln na temat kłarnoóws że powinni mieć dobrą pamięć. Ale tylko dodałem:

- Dziwne, że tak ciebie nie lubi.

- Naprawdę, nie rozumiem dlaczego. Byłam dla niej zawsze uprzejma. A wiesz, co ona zrobiła, Peter?

- Wiem, złamała nogę.



- Nie, potem. Jak już była w szpitalu. Zatelefonowała do pani Kenwick, żeby ją odwiedziła. I zaczęła na mnie gadać niestworzone rzeczy, Peter. Pani Kenwick aż płakała, gdy wróciła do domu. Ta Cleo straszliwie mnie oczerniła. Nie powtórzyłabym tego nikomu - nawet tobie. Szczęściem dla mnie pani Kenwick wcale w to nie uwierzyła. Cleo ma chyba jakieś patologiczne skłonności do kłamstwa.

Usiłowałem przypomnieć sobie wykłady z zakresu psychologii i jaki to psycholog powiedział, że każdy człowiek podejrzewa drugiego o te same cechy, które sam posiada. Nie pamiętam, ale ma to chyba jakąś naukową nazwę. A może opuściłem wykład na ten temat?

- Nie przejmuj się.

- Wiem, nic mi to przecież nie pomoże. Ale to okropne mieć wroga z takim oszczerzym językiem. Zapowiedziała nawet pani Kenwick, że i do ciebie zadzwoni i powtórzy ci te same kłamstwa. Zrobiła to?

- Tak, dzwoniła do mnie. Ale ja nie miałem ochoty iść do szpitala. Nie lubię Cleo. Nazywa mnie czerwonym albo różowym, dlatego tylko, że jestem indywidualistą. Ja praktykuję to, w co wierzę. Nigdy nie biorę forsy rządowej za nienapisane opowiadania, nie ma też dotąd - stwierdzam to z zadowoleniem - takiego cła prohibicyjnego za powieści zagraniczne jak za zagraniczną ropę.

I wcale nie mam ułatwień podatkowych. Piszączerpię z nagromadzonego przez siebie materiału twórczego, podobnie jak szyby Royce'ow ciągną naftę pod ziemią. Ale nie korzystam dzięki temu z żadnych ulg i nie mam o to pretensji. Jestem uczniem Thomasa Jeffersona. Toteż do wściekłości doprowadza mnie to, co taka wiedźma wygaduje.

- Nic się nie znam na polityce - wtrąciła Solveig.

- Cleo też się nie zna. Interesuje się nią tylko ze względu na konto.

- Peter, czy wiesz, dlaczego ona rozpowiada o mnie te kłamstwa?

- Palenie wiedźm wyszło już z mody, więc nie musi powstrzymywać własnego języka.

- Peter, nie żartuj. Wiesz, co ja myślę? Mnie się zdaje, że jest o nas zazdrosna i dlatego rozgłasza te oszczerstwa. Chyba dlatego mnie nienawidzi, że kocha się w tobie.

- Ho, ho!

- Tak mi się zdaje. Wszystko za tym przemawia. Aby ciebie zdobyć, chce nas wpierw poróżnić i rozgłasza takie oszczerstwa.

Zastanawiałem się już, co Solveig odpowiedziała pani Kenwick na zarzuty Cleo. Teraz wszystko było jasne. I nawet brzmiało całkiem logicznie. Chciałbym móc w to wierzyć. Nie potrafiłem jednak zapomnieć o turkusowym grzebyku i bransoletce, które kupił jej Vern, a ja myślałem, że pani Kenwick, i nie kto inny, jak właśnie Solveig utwierdzała mnie w tym przekonaniu. Nie potrafiłem zapomnieć o recenzjach, jakie napisałem, i o przyrzeczeniu, że dochowam sekretu, o moich wierszach, które - co tu gadać - ukradła. Dla tych wszystkich powodów nie mogłem też zapomnieć, że postanowiłem z nią zerwać. A jednak nie zrywałem.

Jakoś nadal łączyła nas mocna więź. Chyba jednak mam słabość do kobiet. Męczyzna z charakterem od razu by z tym skończył. Przypuśćmy...

Bo Solveig Skovgaard była czarodziejką. Była moją syreną, kuszącą z grotu śpiewem, a ja marynarzem sterującym w stronę groźnych skał u wybrzeża. Była w niej jakaś magia. Szaleństwo. Omotała mnie słodkim oddechem, upojną wonią włosów, jedwabistym miodowym czarem. Stanowiła dla mnie uosobienie kobiecości, pokusę, którą można zwyciężyć tylko tym, jak mówił Wilde, że się jej ulegnie.

Tak więc wyglądały moje sprawy uczuciowe owego lata i nawet, wiedząc o tym wszystkim - a było jeszcze piekielnie dużo innych rzeczy, o których dowiedzieć się miałem dopiero później - o mało co nie poślubiłem Solveig; nawet nie dlatego, że dobrze było z nią w łóżku, a naprawdę było dobrze, ale dlatego też, że równie dobrze było i potem; a to znaczy, że jesteś naprawdę zakochany i że dziewczyna jest dla ciebie wszystkim, czym tylko może być druga płeć: prawdziwą kobietą.

Nie poślubiłem jej, bo wystąpiła z prośbą, której spełnić nie mogłem - co więcej, uparła się, że tym mam dowieść swojej miłości. Mówiąc krótko, chciała, abym jej napisał „Dziewczę z pirackiej wyspy“, tak, by ona figurowała jako autorka.

Wydaje mi się, że wszyscy mamy swoje zasady, jakieś swoje granice nie do przekroczenia. Nawet taki nędzny autor westernów, jak Pete McCabe, też miał swój własny kodeks. A oto te moje zasady: nigdy nie pisać skryptu radiowego; żadnych własnych poufnych zwierzeń, żadnych tekstów reklamowych, a także czegokolwiek, co firmowałby kto inny. W pozostałych, dziedzinach tylko niebo było mi granicą. W cielecych latach pisałem świątobliwe opowiadania do gazetki niedzielnej; pisałem też opowieści grozy, nowele kryminalne i miłosne, a nawet jakąś sentymentalną historyjkę, którą natychmiast chwyciło jedno z czołowych czasopism literackich; rzecz działa się w małym miasteczku, gdzie mieszkał właściciel sklepu żelaznego, człowiek o złotym sercu. Między nim i jego synem wynikło jakieś paskudne nieporozumienie, mimo że obaj bardzo się kochali. Był też wplątany w tę historyjkę pies i doktor, i nawet portret Lincolna wisiał na ścianie, a ostatnie kilkanaście linijek to już naprawdę chwytają za serce. Ale za nikogo pisać nie będę. Wykluczone. Nie Pete McCabe. Koniec, kropka.

Przez cały czerwiec i lipiec Solveig próbowała mnie do tego nakłonić. Przekonywała, że nie zajmie mi to dużo czasu, co nawet mogło być prawdą, że podzielilibyśmy dochód po połowie, co też mogło być prawdą, ale niekoniecznie. Zapewniała, że posiada ogromny materiał do tej książki - co było zgodne z prawdą - i że wszystkie swoje wspomnienia zdoła wtłoczyć do mojej głowy, ja zaś bardzo łatwo nadam im formę literacką - co mogło być też zgodne z prawdą. Mówiła jeszcze wiele innych rzeczy.

A ja uparcie powtarzałem: „nie“.

Jej natarczywość wzmogła się jeszcze bardziej, gdy skończyłem „Jeźdźców z Rio Grande“, i muszę przyznać, że niezłe potrafiła kusić. Siadywaliśmy w sierpniowe wieczory przy stoliku w patio „La Fondy“ albo w przydrożnym zajeździe „Tesuque“, albo w „La Placita“ w starej części Albuquerque, czy nawet w mieszkaniu, popijając meksykańskie piwo lub poncz, i Solveig zagłębiała się w swoje dzieciństwo czerpiąc z niego najrozmaitsze wspomnienia. Książka dzięki nim mogłaby się rzeczywiście stać bestsellerem. Ogromnie się tym entuzjasmowała, jak tylko może entuzjasmować się pisarz, który spodziewa się zachwyty ze strony czytelników. A był to materiał świeży i do tego okraszony jej osobowością.

Przymknawszy oczy, widziałem ulice Christiansted zalane, upalnym południowym słońcem, a na nich uczennice, w granatowych spódniczkach i białych bluzeczkach z marynarskim kołnierzem; na zboczu tropikalnego wzgórza zrywałem - w wyobraźni - liście laurowe, by zgniótłszy w palcach upajać się ich aromatem; razem z Solveig, Louisem Websterem i Disą Larsen Nordentoft Skovgaard Webster wybrałem się w okresie Bożego Narodzenia na wyścigi konne w Port of Spain i zobaczyłem gwardię honorową na koniach, złożoną z samych Murzynów, eskortującą gubernatora wraz z małżonką do przystrojonej flagami łoży.

- Ojczym wszedł do paddocku między biegami - mówiła Solveig. - Działo się to w Nowy Rok i było strasznie gorąco. Wpadł mu w oko jakiś gość, który ciągle wygrywał. Nagle z trybuny właścicieli pojawił się inny facet, do którego ten pierwszy zwrócił się z pytaniem: „I jak tam?“ Ten drugi odparł: „Jolly Girl“. No cóż, jak potem powiedział nam ojczym, mądryemu wystarczy jedno słowo. Poszedł do kasy i postawił wszystkie pieniądze na „Jolly Girl“. I właśnie ten koń zwyciężył. Pod koniec nawet ja krzyczałam na cały głos. Ojczym zebrał wtedy kilkaset dolarów. Tej nocy całe miasto było nasze. Nie sądzisz, że to świetny materiał, Peter?

Tak, jest świetny. Wszystko może stanowić świetny materiał, jeżeli pisarz jest tym przejęty. No i, oczywiście, jeżeli ma dostatecznie wydoskonaloną technikę pisarską, by to interesująco przekazać. Góra złotodajnej rudy to po prostu zwalisko skalne, dopóki nie zbudują tam skomplikowanej aparatury, by za jej pomocą oczyścić rudę tak, że zostanie samo złoto. Umiejętność i technika pisarska to właśnie ta aparatura. Wydawcy nie wypisują czeków za nieoczyszczoną rudę, ale za kruszec z niej wydobyty.

- Dlaczego nie chcesz mi pomóc, Peter?

- Chętnie ci pomogę w miarę swoich możliwości. Będę ci służył radą, przeczytam wszystko, co napiszesz. Postaram się potem sprzedać ci maszynopis.

- Nie o to mi chodzi, tylko... żebyś po prostu przejął ode mnie cały materiał i napisał. Ja nie jestem pisarką, lecz poetką. Ty masz więcej doświadczenia, potrafisz zrobić z tego znakomitą książkę. A ja nie. To wstyd, żeby taki świetny materiał się zmarnował. Mógłbyś już nawet pisać przez ten czas, jak będę w Wisconsin z panią Kenwick.

Muszę tu wyjaśnić, że pani Kenwick co roku we wrześniu jeździła do Bear Rapids. Tym razem postanowiła zabrać ze sobą Solveig; koniecznie chciała pokazać swojej protegowanej liściaste lasy stanu Wisconsin; Solveig, żyjąca dotąd w klimacie tropikalnym, nigdy nie widziała czerwonozłocistych barw amerykańskiej jesieni.

- Zrobisz to dla mnie, Peter?

- Nie mogę.

- Możesz. Jesteś takim zdolnym pisarzem.

- Ale nie mogę pisać za kogoś, nie mogę też pisać do spółki. Potrafię tylko pisać zupełnie sam, we własnej uprząży.

- Stalibyśmy się bogaci, Peter.

- Możliwe - odrzekłem; nie wierzyłem jednak ani przez moment, żeby ktokolwiek mógł się wzbogacić dzięki „Dziewczęciu z pirackiej wyspy“.

- Więc dlaczego...?

- Po prostu nie mogę.

Solveig miała swoje wady, nieraz już o nich wspominałem, ale aż do owego sierpniowego wieczora nie widziałem jej nigdy w złości. Toteż ze zdumieniem zobaczyłem, jak się zaczerwieniła, a potem powiedziała:

- Gdybyś mnie kochał naprawdę, to byś napisał dla mnie tę książkę.

A więc to tak... No cóż, wcześniej czy później zawsze tak się kończy z tymi czarującymi kobietkami: gdybyś mnie kochał... - resztę każdy sobie może wypełnić wedle doświadczenia - to byś mi kupił Rolls-Royce'a albo lody z wodą sodową, albo te kolczyki. Gdybyś naprawdę i szczerze mnie kochał, czyściłbyś sobie zawsze buty, był miły dla moich przyjaciół, zapisał się do klubu.

- Ależ kocham cię - zapewniłem ją.

- Nie, nie kochasz, bo napisałbyś „Dziewczę z pirackiej wyspy“. Dla ciebie to drobnostka. Mógłbyś to zrobić nawet mając ręce związane na plecach.

- Trudno by mi było pisać na maszynie.

Solveig wstała - działo się to wszystko w moim mieszkaniu - i poprosiła, abym ją odwiózł do domu.

Nie miałem na to ochoty, bo nie odbyła się jeszcze najważniejsza część wieczoru.

- Solveig, nie bądź taka niedobra, najdroższa - powiedziałem biorąc ją w ramiona.

Stała sztywna i odpychająca; próbowałem ją pocałować, lecz odchyliła głowę.

- Zawieź mnie do domu, Peter.

- Doskonale, proszę pani.

Tym razem pod domem pani Kenwick nie było czułych słów ani pocałunków na dobranoc.

W dzień Święta Pracy pani Kenwick i Solveig odjechały do Wisconsin, linią kolejową Atchison-Topeka-Santa Fe. Nie odwiózłem ich na dworzec. Prawdziwa miłość, jak powiedziała pani Kenwick, nie obywa się bez wstrząsów. Albo, mówiąc ściślej, Solveig ostatnio nie była dla mnie łaskawa. Gdybym ją kochał, napisałbym książkę, ponieważ nie chcę napisać książki, więc jej nie kocham; skoro jej nie kocham, nie będzie więcej spotkań w moim mieszkaniu - oto logiczny tok jej rozumowania.

A ja się, oczywiście, zawniłem. Skoro tak chce, proszę bardzo, istnieje jeszcze pani Gonzales. I mniej więcej w tym samym czasie, gdy odjeżdżał pociąg z Lamy, wioząc panią Kenwick i Solveig w kierunku Chicago, pani Gonzales gościła u mnie w domu. Muszę przyznać, że nawet ją lubiłem, ale jej poziom intelektualny nie był, niestety, bardzo wysoki. Na myśl, że Solveig odjechała z Santa Fe, i to na cały miesiąc, albo nawet dłużej, aż ścisnęło mnie w żołądku. Może jednak coś napisze?

Nie napisała. Otrzymałem tylko list od pani Kenwick już z pieczętą Bear Rapids, Wisconsin. W Chicago, gdzie spędziły z Solveig kilka dni, miała niezwykle interesujące spotkanie z moim starym przyjacielem. Był nim nie kto inny, tylko Gilbert Flagg. Pani Kenwick zatelefonowała do niego - był zastępcą naczelnego redaktora jakiegoś pisma handlowego, o którym nigdy w życiu nie słyszałem - i zaprosiła go na lunch. On z kolei zrewanżował się i zaprosił je na obiad. Wzięły ze sobą wrześnieowy, październikowy i listopadowy numer „Niebiańskich Kamieni“ - przez całe lato pracowały w tempie przyśpieszonym na konto tego urlopu - i na panu Flagg ogromne wrażenie zrobiło te siedem wierszy Solveig wydrukowanych w listopadowym numerze. Aż się skrzywiłem.

Jesień w Santa Fe nastaje wcześnie, a już szczególnie wcześnie nastąpiła tego roku, a może tylko tak mi się teraz wydaje. Nocami były przymrozki, topole pożółkły, wiatr świstał wokoło mego domku adobe; ja zaś bębniłem na maszynie coraz to nowe opowiadania o takich tytułach, jak na przykład „Strzelanina w Mieście Srebra“. Na temat mojej powieści nie usłyszałem już więcej ani słowa, zaległa kompletna cisza. Sprawy publikacji często posuwają się w żółtym tempie. Zawsze zżymam się na to i zgrzytam zębami. Miałem i tak szczęście od początku, wcale sobie z tego nie zdając sprawy, gdyż zaczęto mi drukować krótkie opowiadania w okresie kryzysu. Czasopisma miały wtedy obcięte budżety i redaktorzy skłonni byli przyjmować raczej krótkie historyjki od debiutantów, o ile byłyby na jakim takim poziomie, niż płacić wyższe stawki renomowanym pisarzom. W każdym razie finansowo wiodło mi się nie najgorzej. Czasy te należą już do przeszłości, podobnie jak było długorogie i Bill-Młokos. Dziś już nie ma prawdziwej literatury trzeciorzędnej. Ale w latach trzydziestych mogłem w dwa albo trzy dni napisać opowiadanie składające się z pięciu tysięcy słów i mieć na to cały zastęp nabywców. I byle opowiadanie było znośne, mogłem bez trudu dostać za nie pięćdziesiąt do dwustu dolarów. Komorne wynosiło dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, a w sobotę można było kupić mielone mięso za bezcen.

Bywało, że siedziałem przez cały tydzień nad czymś ambitniejszym do jakiegoś lepszego pisma i wtedy takie Opowiadanie przynosiło mi nawet do pięciuset dolarów. A teraz na powieść poświęciłem więcej niż trzy miesiące. I co? Jak już wspominałem, cisza.

Wcześnie spadł śnieg tego roku, czym wszyscy byli zdumieni, chociaż zwykle pierwszy śnieg w Santa Fe pada w połowie września, a ostatni w połowie maja. Niemniej jednak ten śnieg spadł w czwartek, 19 września, ohydny, mokry śnieg. Kiedy nadszedł około południa listonosz, wyglądał tak, jakby to była co najmniej połowa stycznia.

Dla pisarza pojawienie się listonosza jest zawsze wydarzeniem o szczególnym znaczeniu. Może przecież w swej torbie przynieść fortunę albo zapowiedź sławy. Albo też dziesięć dolarów za opowiadanie, które zamierzałeś wydrukować w „Wolności“, ale którego nie przyjęto, aż dopiero zainteresowało się nim jakieś podrzędne piśmido, robiące interes tylko na obietnicach i nadziejach. Tego dnia jednakże otrzymałem grubą kopertę od Wally Ingersolla. Pisał:

*Zalączę Ci list od wydawnictwa „Robbins, Lockworth and Company“. Nie sądzą, abyś chciał dokonać zmian, które Ci proponują, więc wysyłam maszynopis do innego wydawnictwa. „Collier’s“ wzięło jedną kopię na odcinki. Film zaczyna też się trochę interesować, o czym Cię jeszcze powiadomię.*

List z wydawnictwa „Robbins, Lockworth and Company“ do Wally’ego takiej był treści:

*Uprzejmie dziękujemy za przysłanie maszynopisu „Jeźdźców z Rio Grande“ Pete McCabe’a, który przeczytaliśmy z prawdziwym zainteresowaniem. McCabe pisze naprawdę wspaniale. Chętnie wydamy jego książkę, ale pod warunkiem, że zostaną wprowadzone zmiany. Maszynopis czytało sześciu redaktorów i wszyscy mają jednakowe zastrzeżenia. Po pierwsze, uważamy, że książka wydałaby się znacznie bardziej interesująca, gdyby akcja została umieszczona w Stanach Zjednoczonych, a nie w Meksyku. To rzecz podstawowa. Dlaczego by nie w Colorado albo w Oregonie? Doprawdy, odnosimy wrażenie, że autor dziwnie pomieszał geografię. W jednym miejscu wspomina Las Vegas, jakby to było pobliskie miasto. Las Vegas jest, oczywiście, w Nevadzie, a nie w Meksyku.*

*Autor musi też bliżej zapoznać się z klimatem Dalekiego Zachodu. Na stronie 117 bohater jedzie przez prawie pustynne obszary i nagle zrywa się burza śnieżna. I to w maju! W tym klimacie takie zjawisko jest wykluczone. Czytelnicy mają sokole oko do wylapywania podobnych kwiatków; autor musi być dokładny w najdrobniejszych szczegółach.*

*Książka najwyraźniej wiąże się z hodowlą bydła. Na nasz gust jednak tego bydła jest w niej o wiele za dużo. Wystarczyłoby kilka sztuk. W scenie, kiedy zwierzęta zapadają w popłoch - a to spory kawałek maszynopisu - jest chyba z dziesięć tysięcy krów. To po prostu śmieszne. Niewątpliwie doskonale zrobiony i pełen kolorytu jest ten fragment, gdy złodzieje pędzą bydło przez urwisko, ale żeby aż dziesięć tysięcy?! Czy nie uważa pan, że hodowla bydła w tym westernie została zbyt przesadnie potraktowana? A gdyby tak przenieść akcję do kopalni? Postacie - a wszystkie bardzo nam przypadły do gustu, zwłaszcza jasnowłosa dziewczyna duńskiego pochodzenia - mogłyby zostać, jak są, i główny wątek, szczególnie motyw zemsty, pokazany żywo i naprawdę mistrzowsko, też mógłby pozostać, tylko miejsce akcji warto by przenieść do kopalni w Colorado albo Kansas.*

*Z największym zainteresowaniem zobaczymy maszynopis, gdy pan Pete McCabe wprowadzi powyższe zmiany. Na specjalią uwagę, wydaje nam się, zasługuje jego styl. Trochę przypomina nam czyjś styl - tylko że nie możemy sobie przypomnieć czyj - jest zwarty i potoczny.*

*Niemniej jednak jest to dobra, trzymająca w napięciu książka i sądzymy, że po dokonaniu proponowanych przez nas zmian, będzie zupełnie odpowiednia dla naszego profilu wydawniczego.*

*Z poważaniem*

*Lawrence Lockiaorth  
Redaktor naczelny*

Podniosłem się, wyprostowałem i podszedłem do okna. Śnieg padał obficie niż kiedykolwiek.

Każdy pisarz mający wyobraźnię - nawet taki, co pisuje tylko do czasopism - ulega, w mniejszym lub większym stopniu, maniackalnym depresjom; tak więc ten weekend był dla mnie okropny. Zadzwoiłem do pani Gonzales po to, by dowiedzieć się, że razem z dziećmi wybiera się do Albuquerque na ślub jakiegoś kuzyna. Zatelefonowałem jeszcze do paru innych przyjaciół, lecz wszyscy byli tak czy inaczej zajęci. Do niedzieli śnieg zniknął, więc wybrałem się na przejażdżkę po mieście. Domy pani Kenwick i Royce'ów były zamknięte na cztery spusty. Zaraz po Świątce Pracy Cleo wyjechała z Santa Fe do Teksasu, żeby zabrać Verna do Brentwood. Zatrzymałem się na Plaza, ale nigdzie nie mogłem wypić nawet jednego kieliszka, bo w niedzielę obowiązuje w Nowym Meksyku prohibicja. Wystrojone hiszpańskie dziewczęta w całym splendorze przechadzały się po Plaza zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, podczas gdy młodzi caballeros spacerowali w kierunku odwrotnym. Jest to stary zwyczaj. A Santa Fe jest jeszcze bardziej hiszpańskie niż Meksyk; od siedemnastego wieku krew hiszpańska w Santa Fe nie pomieszała się ani z krwią indiańską, ani angielską.

Wróciwszy do domu próbowałem pisać, ale mi nie szło, więc nastawiłem gramofon, przygotowałem sobie cocktail i zacząłem rozmyślać o Solveig. Nawet Inez mi się przypomniała; ciekaw byłem, co się z nią dzieje. Wreszcie czas było iść do łóżka.

Życie niezależnego pisarza jest zdumiewające. Zawsze zdawało mi się, że przy swoich wzlotach i upadkach fortuny odzwierciedla ono i sławi życie przeciętnego człowieka. Ale z pisaniem to nigdy nie wiadomo. Czasami opowiadanie, to tylko zlepek dużej ilości słów; jedynie papier, na którym są napisane, przedstawia jakąś wartość, i to niewielką, bo jedna strona każdego arkusza już jest zapełniona maszynowym pismem. Po prostu przyszła ci do głowy jakaś historyjka i przelałeś ją na papier. Ale właściwie to jest tak, że zaczyna ona istnieć, nabierać życia - dopiero wtedy, gdy ktoś ją przeczyta i gdy w wyobraźni czytającego przyjmie jakiś kształt. A jeżeli tym czytelnikiem jest wydawca i jemu przypadnie do gustu, wówczas składa ofertę na coś, co istnieje tylko w twoim i jego umyśle. Kiedy zaczynasz się nad tym wszystkim zastanawiać, wydaje się to zupełną bzdurą.

W poniedziałek rano smażyłem sobie na śniadanie bekon, gdy zadzwonił telefon. Mówił Wally Ingersoll z Nowego Jorku.

- Pete, „Collier's“ decyduje się na „Jeźdźców znad Rio Grande“. Chcą tylko, żebyś dziewczynę wprowadził już w pierwszym rozdziale.

- Jasne, że wprowadzę. Ile płacą?

Wymienił taką sumę, że kolana się pode mną ugięły. Teraz już nie zrobiłoby to na mnie aż takiego wrażenia, bo przywykłem do dużych sum, ale wtedy był rok 1935.

- I jeszcze jedna sprawa, Pete. Prawdopodobnie będzie też coś z filmem. Sydney Levine z „Lee Productions“ zainteresował się tym i myślę, że będzie chciał nabyć, jak tylko namówi gwiazdę, na której mu zależy. Ukazanie się w odcinkach „Collier's“ powinno pomóc sprawie. Ale nie spodziewaj się, że to prędko nastąpi. Takie rzeczy wymagają czasu.

Nie bardzo rozumiałem wtedy, o czym on mówi, ale teraz wszystko jest dla mnie zrozumiałe, bo miałem już kontakty z Hollywood. Nakręcenie filmu kosztuje piekielnie dużo. Sydney Levine był to stary producent filmowy, ale bez zapasowych kapitałów. Przy nakręcaniu filmu potrzebował zastrzyku finansowego z banku. Ale bankierzy, udzielając pożyczki, lubią mieć pewność, że dostaną swoje pieniądze z powrotem. Toteż zanim udzielią pożyczki nawet

takiemu producentowi i z taką marką jak Levine, wolą widzieć już podpisany kontrakt z jakąś popularną gwiazdą, bo to gwarantuje kasę.

- A co z książką? - spytałem. - Myślisz, że ma jakieś szanse?

- Och, wydamy ją, wydamy - odrzekł Wally. - Nie martw się. W każdym razie nie licz na pieniądze z filmu. Nawet jeżeli Levine kupi, to dużo nie zapłaci. Ale zrobisz sobie markę w filmie. Może nawet postaram się dla ciebie o pracę przy scenariuszu na kilka tygodni. Teraz jednak zapomnij o wszystkim. W tej chwili ważne jest tylko jedno, żebyś wprowadził zmiany, jakie proponuje „Collier’s”. Chcą zacząć drukować możliwie jak najprędzej. Mają w tej chwili lukę, bo ostatni western, jaki otrzymali od swojego stałego pisarza, okazał się niedobry i musieli odrzucić. „Jeźdźcy” przypadli im do gustu. Podoba im się twój styl, Pete. Powiadają, że przypomina im czyjś styl, ale nie wiedzą czyj. No więc, kiedy bierzesz się do roboty?

- Pronto - rzekłem.

Tego dnia listonosz przyniósł mi czek od Wally Ingersolla za długą nowelę wydrukowaną w „Opowiadaniach z Dzikiego Zachodu”. Lubię takie pisać. Byle tylko mieć pomysł, to już potem równie łatwo mi napisać dwadzieścia tysięcy słów, jak pięć tysięcy. Czasem nawet dłuższe przychodzi mi łatwiej. A cheki za dłuższe opowiadania są odpowiednio większe. Poza tym pisma prawie zawsze umieszczają tytuł takiego dłuższego opowiadania i autora na okładce. Napisał Pete McCabe... Bardzo to lubiłem, nie żeby schlebiało mojej próżności - kiedyś podniecałem się swoim nazwiskiem w druku, ale już mi to dawno przeszło - ale po prostu chciałem, żeby moje nazwisko dobrze wbiło się w głowy tak czytelnikom, jak i wydawcom. Ludzie chętniej kupują utwory znanych pisarzy, podobnie jak wolą sos pomidorowy produkcji znanej firmy.

Czek był wystarczająco duży, aby mi pokryć komorne za cały rok, w porównaniu jednak z sumą, jaką miałem otrzymać od „Collier’s”, nie przedstawiał się zbyt imponująco. Nie trzeba wiele czasu, aby się przyzwyczaić do dużych cyfr.

Tego dnia otrzymałem jeszcze jedną kopertę z jakiegoś pisma handlowego w Chicago, czym byłem raczej zdumiony. Wyglądała tak, jakby w środku znajdował się czek, a przecież od lat nic nie pisałem dla żadnych pism handlowych. Okazało się, że był to list od Gilberta Flagga.

*Drogi Pedro,*

*Nie zwykłem pisać listów do sławnych pisarzy, a muszę powiedzieć, że dużo już czasu minęło od chwili, kiedy ostatni raz spotkaliśmy się przy barze. I od czasu, jak pokrzykiwałeś na mnie w „Registrze”. Nie pytam, co u Ciebie słychać, bo wszystko wiem. Jesteś uparty i cyniczny.*

*Kilka tygodni temu zjawiała się w Chicago pani Kenwick. Nie wiesz, zapewne, że próbowałem zdobyć sławę w poezji, posyłając swoje wiersze do loszyskich możliwych pism w całym kraju. Zamieszczono mi zresztą poszczególne wiersze w „Poezji” i „Niebiańskich Kamieniach”, i jeszcze w kilku innych pomniejszych czasopismach poetyckich.*

*Otóż pani Kenwick skontaktowała się ze mną telefonicznie i zaprosiła na lunch. Poszedłem. Okazało się, że towarzyszy jej najśliczniejsza dziewczę, jakie zdarzyło mi się widzieć, a ładne buzie to moje hobby, bądź co bądź jestem kawalerem. Lunch wypadł czarująco i jedyne, co mogłem zrobić, to zaprosić panią Kenwick i pannę Solveig (bo tak nazywa się ta młoda dama)*



*na obiad. A więc zjedliśmy razem obiad i tańczyliśmy. Pani Kenwick, oczywiście nie wchodzi w rachubę w tej ostatniej czynności.*

*Muszę Ci wyznać, Pedro, że stała się rzecz niesłychana. Otrzymałem dziś list od pani W. Hazslton Kenwick z Bear Rapids, Wisconsin, gdzie produkują wyroby papierowe w najlepszym gatunku, przeznaczone dla różnych części ciała. Pani Kenwick zaproponowała mi, co spadło na mnie jak grom z jasnego nieba, abym objął stanowisko redaktora w „Niebiańskich Kamieniach“ z uposażeniem sześćdziesięciu dolarów tygodniowo, to znaczy dwanaście i pół dolara więcej, niż mam teraz w tym szmatławym piśmie. Musiałbym się, oczywiście, przenieść do Santa Fe, co nie byłoby w moim interesie, bo przecież Ty tam jesteś. Muszę przyznać, że sama praca raczej mnie interesuje. Nie wyobrażasz sobie, jaki zbrzydzony jestem do swojej tutejszej roboty, jak mam dość wszelkich spraw związanych z drobnym handlem. Marzę o pracy w piśmie poetyckim, może miałbym wtedy szansę utorować sobie drogę w świecie literackim...*

*Co myślisz o tym, Pedro? To, bądź co bądź, kupowanie kota w worku. Moja robota tutaj jest nudna, ale przynajmniej pewna, tak samo jak forsa, którą dostaję. Mówiąc między nami, wydaje mi się, że pani Kenwick jest trochę stuknięta. A nuż przyjmie mnie, a po miesiącu wyrzuci? Można jej wierzyć? Polegać na tym, co mówi? I czy rzeczywiście ma tyle forsy? Co myślisz o tym wszystkim?*

*Nie proszę Cię bynajmniej, abys mi radził, czy mam wziąć tę posadę. Chciałbym tylko wiedzieć, czy pani Kenwick w Twojej opinii ma naprawdę duże i pewne konto bankowe, a także czy nagle, bez powodu, nie wymówi mi pracy.*

*Wszystkiego najlepszego, powodzenia w rozróbkach na sześć pistoletów.*

*Gil*

Odpisałem mu natychmiast, że pani Kenwick to kobieta o gołębicim sercu i wbrew pozorom niegłupia; że faktycznie ma mnóstwo tego, za co dziewczęta sprzedają swoje dusze, i że, według mnie, z całkowitym spokojem może przyjąć jej ofertę.

Czasem, chyba nawet dosyć często, wydaje mi się, że nie grzeszę bystrością. W każdym razie w tym przypadku myślałem stanowczo za wolno. Oczywiście, całą uwagę miałem wtedy skupioną na poprawieniu mojej książki dla „Collier’s“, niewiele więc myślałem o tym, co spowodowało te nowiny. Aż któregoś ranka obudziłem się nagle z pełną świadomością wszystkiego. Późniejsze wydarzenia potwierdziły w mniejszym lub większym stopniu to, czego się domyślałem.

Przed wyjazdem do Wisconsin pani Kenwick musiała wspomnieć Solveig o Gilbertcie Flaggu, obiecującym młodym poecie, który mieszka w Chicago, i że chyba powinny do niego zadzwonić. Solveig wtedy na pewno zajrzała do kartoteki autorów „Niebiańskich Kamieni“ i dowiedziała się, że Gilbert Flagg ma dwadzieścia pięć lat, jest zarówno pisarzem, jak i poetą, a do tego nieżonatym.

Wyobrażałem już sobie, co działo się podczas lunchu w Chicago, a potem w czasie tego rewanżowego obiadu. Solveig robiła wszystko, aby chwycić go w swoje sidła a zarazem otaksować, i to z dwóch punktów widzenia: jako współautora „Dziewczęcia z pirackiej

wyspy“ i jako mojego rywala. Jeżeli wzbudzi we mnie zazdrość, to wtedy może zgodzę się napisać jej książkę.

W Bear Rapids Solveig niewątpliwie rozwinęła całą kampanię, w której usiłowała przekonać panią Kenwick, że w „Niebiańskich Kamieniach“ potrzebny jest młody i zdolny mężczyzna z doświadczeniem edytorskim. Na pewno by się to opłaciło. A poza tym, jakie byłoby to szlachetne i wzniosłe, gdyby bogata protektorka sztuki dała młodemu poecie pracę znacznie bardziej odpowiednią niż wydawanie handlowego pisma. Pracując w „Niebiańskich Kamieniach“ miałby więcej czasu na własną twórczość; kto wie, może napisałby jakiś utwór epicki i z wdzięczności zadedykował go pani Kenwick? Czemu więc nie wysłać do niego listu i nie zaproponować mu posady w „Niebiańskich Kamieniach“? Z czasem pani Kenwick uwierzył, że cały ten projekt był jej pomysłem.

Zdaje mi się, że zdołałem chyba przejrzeć grę Solveig, chociaż teraz, a piszę to po przeszło dwudziestu latach, nie jestem pewny, czy wtedy naprawdę przejrzałem ją na wskroś. Może jeszcze nie całkiem. W każdym razie przestałem już wierzyć każdemu jej słowu, a musiałem, niestety, uwierzyć w to, co Cleo powiedziała mi wiosną w szpitalu. W chwilach przeblysku rozsądku widziałem, jak wykorzystuje wszystkie swoje możliwości - a miara ich raczej sporo - i pnie się coraz wyżej i wyżej, żeby coś zdobyć, ale co? Sławę? Poklask? Fortunę? Wszystko razem, i jeszcze coś więcej. Niechaj to jednak pokażą dalsze wydarzenia.

Mimo że nie było Solveig w Santa Fe, ciągle miałem ją przed oczami i nie przestawałem jej kochać. Co to jest miłość? No cóż, pociąg płciowy plus jeszcze inne rzeczy. A te inne rzeczy to właśnie to, dzięki czemu każdy romans przebiega inaczej. Z Solveig było po prostu cudownie. Była naprawdę podniecająca: razem z nią pojawiał się nastrój bajkowy, tropikalny i ten jej głęboki i pełen czaru aksamitny głos... była... no cóż... po prostu sobą. I nigdy się człowiek z nią nie nudził.

Tak więc kochałem ją, choć jednocześnie nią gardziłem. Wkrótce okaże się, że ta historia ma powracający motyw: historia miłości mężczyzny do pogardzanej kobiety. Tak, zgadza się. Ale to nie wszystko. Jest jeszcze coś więcej. Przecież to nie moja historia, tylko Solveig. A jej historia ma swój własny powracający motyw. Ale to wyjdzie na jaw w odpowiednim czasie.

Pani Kenwick i Solveig wrócili do Santa Fe w październiku. Do tego czasu „Collier’s“ zaakceptowało zmiany, jakie wprowadziłem, i przysłało czek. Rozpierała mnie dumą: kariera stoi przede mną otworem. Nie rozpuściłem pieniędzy natychmiast; nie przegrałem na wyścigach ani nie straciłem na dziewczynki. Ktoś, kto choć raz był pod wozem, a jeszcze do tego chory, i musiał, spuściwszy nos na kwintę, wracać do domu do Litchfield, ten po raz drugi nie zechce znaleźć się w takim położeniu. Część pieniędzy przelałem na książeczkę oszczędnościową, część zostawiłem na wydatki bieżące, a za resztę nabyłem kilka pewnych akcji. Na przyszłość, dla zabezpieczenia i stałego dochodu.

Po powrocie Solveig z podróży już przy pierwszym spotkaniu spostrzegłem w niej zmianę. Dosyć trudno mi to sprecyzować. Ale może spróbujmy w ten sposób. Wyobraźmy sobie, że mamy córkę i wysyłamy ją do szkół. Odjeżdża z domu jako dziecko, świeża i radośnie podniecona nowymi wrażeniami. A na Boże Narodzenie wraca już dorosła. Stała się opanowana, zagubiła gdzieś swój spontaniczny entuzjazm; nagle przeistoczyła się w kobietę. Tak samo mniej więcej wyglądała teraz Solveig. Już nie otwierała szeroko oczu ze zdziwienia; a w każdym razie nie podziwiała już Pete McCabe’a. Odkryła, że jest wielu innych mężczyzn, którzy też potrafią pisać; albo, mówiąc ściślej, drugi mężczyzna. Mieszkała w „Blackstone Hotel“ i wyprawiała się po zakupy w tłoczne, ruchliwe kaniony w Chicago;

jadała śniadania i obiady w wielkim mieście. W stosunku do mnie była... po prostu obojętna. Chociaż może to trochę za mocne słowo. Może raczej... odnosiła się z rezerwą. Niewątpliwie zachowywała się inaczej niż dotychczas. Byłem dla niej zbyt staroświecki, tak samo jak Santa Fe. I „La Fonda“. A gdy znaleźliśmy się u mnie w domu, nawet nie pozwoliła rni się pocałować.

- Co ci jest?

- Peter, myślę, że powinniśmy ze sobą porozmawisać i wyjaśnić wiele spraw.

- Proszę bardzo, nic nie stoi na przeszkodzie.

- Myślałam dużo, Peter, i uważam, że to nieładnie... w stosunku do mnie... że tak dalej... nie powinniśmy. Zresztą w takiej sytuacji zawsze najbardziej poszkodowana jest dziewczyna.

Ja, co prawda, pamiętałem czasy, kiedy nie uważała się za taką poszkodowaną, ale niech tam.

- Czy chcesz przez to powiedzieć - spytałem - że zawsze płaci kobieta?

Chyba nawet poczucie humoru ją opuściło.

- Chcę tylko powiedzieć, że to nie w porządku w stosunku do mnie.

- Może i masz rację. Chcesz więc zerwać ze mną?

- Nie chcę. Kocham cię, Peter. Ale nie widzę, żebyś ty mnie kochał. Gdybyś kochał, napisałbyś „Dziewczę z pirackiej wyspy“.

A więc wracamy do tego samego.

- Ja naprawdę nie mam czasu. Właśnie sprzedałem swoją książkę na odcinki dla „Collier’s“ i zabieram się do następnej...

- Co takiego?

- Tak, „Collier’s“ będzie drukować „Jeźdźców znad Rio Grande“. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Cudownie, Peter! Ile ci zapłacili?

Wymieniłem sumę; aż jej dech zaparło ze zdumienia.

I nagle, jakby odkręciła się jakaś sprężynka, stała się znowu sobą albo prawie sobą. Twarz jej rozpromieniła się, oczy zabłyśły. Zniknęła gdzieś powaga - a może była to tylko poza? - wyrafinowanej młodej damy; znów stała się dziewczęciem z odległych wysp tropikalnych. W podskokach przybiegła do mnie, zarzuciła mi ramiona na szyję i obsypała pocałunkami.

Później leżeliśmy po ciemku na kanapie z bourbonem w jednym ręku, a papierosem w drugim. Było przyjemnie; bardzo przyjemnie.

- Peter.

- Słucham?

- A może jednak napiszesz? Proszę cię, napisz.

Znowu zacząłem tłumaczyć, dlaczego nie mogę. Westchnęła.

- Dobrze, Peter, już więcej cię nie poproszę. To była twoja ostatnia szansa. Wobec tego zgodzę się, żeby Gilbert Flagg napisał.

- Myślisz, że zechce?

- Wiem, że zechce. Wracając z Bear Rapids zatrzymałyśmy się znowu w Chicago. Zaprosił mnie na dancing. Opowiedziałam mu o swojej książce, uznał, że ma ogromne możliwości. Powiedział, że będzie się czuł zaszczycony mogąc ją dla mnie napisać.

Musiałem się roześmiać, bo zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić Gila w takiej sytuacji. „Panno Solveig, będę się czuł zaszczycony mogąc dla pani napisać tę książkę“.

- Śmieję się, jak chcesz - odezwała się Solveig - ale to prawda. Właśnie kończy pracować w Chicago i na początku listopada przenosi się do Santa Fe. I zaraz zabierze się do pisania „Dziewczęcia z pirackiej wyspy“. Jego proza jest piękna. Pokazał mi kilka swoich opowiadań. To nie jest rzemieślnicza robota, to naprawdę piękne. Napisze za mnie i będzie to nadzwyczajna książka. Wiem, że tak będzie. Już to widzę. A jak moja książka stanie się bestsellerem, głośnym w całym kraju, żal ci będzie, że przepuściłeś taką szansę.

- Nie, nie będzie mi żal. Będę się cieszył ze względu na ciebie, lecz żałować, nie będę. Po prostu nie potrafię pisać za kogoś.

- Peter - powiedziała chłodno - ty mnie nie kochasz. Zależy ci tylko na moim ciele. To nie jest prawdziwa miłość. Chciałabym, żebyś mnie teraz odwiózł do domu.

- Proszę bardzo, ale może włożysz pas i pończochy.

Było to właściwie moje ostatnie spotkanie z Solveig. Potem, gdy zatelefonowałem i chciałem ją zaprosić na obiad, odmówiła.

- Chyba, że zmienisz zdanie w wiadomej ci sprawie - dodała.

Nie zmieniłem zdania. Zadzwoiłem do pani Gonzales, która nie miała żadnych literackich ambicji.

Gilbert Flagg przybył do Santa Fe na początku listopada, jak było przewidziane; chwilowo zamieszkał w gościnnym domku obok garażu pani Kenwick. Tego samego wieczoru, gdy przyjechał, pani Kenwick wydała na jego cześć małe przyjęcie.

Z przyjemnością zobaczyłem Gila. Nadal nosił okulary w stalowej oprawie, a oczy jego poza szklami były tak samo żywe i bystre jak dawniej. Blond włosy, ładnie falujące, zaczęły się trochę przeredzać nad jego intelektualnym czołem. Wyglądał jak nauczyciel języków

romańskich na pomniejszej uczelni; można go było sobie wyobrazić przy ocenianiu prac uczniów.

- Pedro - powiedział witając się ze mną w salonie pani Kenwick - wspaniale wyglądasz. „Collier’s“ drukuje twoją powieść. Gratulacje!

- Dziękuję, mój drogi.

- Pete - odezwała się pani Kenwick - tylko nie bądź zgorzkniały. Słyszałam, że dużo ci płacą.

- Trzeba dużo płacić za grzechy, także literackie - odparłem.

- Co za temat obrałeś, Pedro? - spytał Gil.

- Krowy, sześciostrzałowe pistolety, no i zemsta, a wszystko razem mniej więcej stylem Hemingwaya.

- Taka kombinacja musi dobrze wypaść - dodał Gil.

- Toteż nie chybiłem.

- Ja osobiście staram się wzorować na Faulknerze - oznajmił Gil.

- Och, mój drogi, Faulkner jest strasznie głęboki - wyraziła swoje zdanie pani Kenwick. - Nie mogę pojąć, co znaczy kaczan kukurydzy w „Azylu“, choć jestem pewna, że to wielki symbol. Co myślisz o tym, Pete?

- Nigdy tego nie używam - odrzekłem.

Do pokoju wkroczyła uroczą Solweig, uosobienie piękna o złocistych włosach zaczesanych do góry i ozdobionych turkusowo-srebrnym grzebykiem. W białej wieczorowej sukni wyglądała królewsko.

- Jak się masz, Peter! - przywitała mnie.

I natychmiast zwróciła się do Gila Flagga z czarującym uśmiechem i promiennymi oczami. Patrząc na Gila widziałem, co się z nim dzieje; na twarzy miał błogi wyraz tonącego, który coraz głębiej zapada w odmęty tropikalnych wód, świadom, że tam, w turkusowej głębinie, na złocistym dnie, wśród kołyszących się łagodnie roślin podmorskich czeka nań czarująca syrena.

Uroczą Solweig Skovgaard całkowicie opanowała sytuację; co zaplanowała, spełniło się; Gilbert był coraz bardziej zakochany, a gdzieś w głębi świadomości Petera wąż zazdrości wysuwał głowę i zaczynał syczeć.

„Spokojnie - powiedziałem do siebie. - Nie przejmuj się. Sam nie chcesz, daj drugiemu spróbować“.

Tymczasem zjawili się inni goście, wśród nich kilku artystów malarzy i paru kiepskich poetów, i pisarz, z którym już chyba z pięć razy zapoznawano mnie, odkąd mieszkam w Santa Fe.

- Ach tak, przypominam sobie. To pan pisze westerny?

- I sprzedaję.

Zawsze takie zgromadzenie literatów wyzwała we mnie najgorsze instynkty.

Tego wieczoru po skończonym, przyjęciu długo jeszcze rozmyślałem u siebie w domu. I wreszcie powziąłem decyzję: jeżeli Gil chce mieć Solveig, niech ją sobie bierze. Mogę być zazdrosny, ale nie mam zamiaru robić z siebie durnia walcząc o coś, czego nie chcę. A przecież, na takich warunkach, wcale jej nie chciałem. Wziąłem proszek nasenny i poszedłem do łóżka.

Wiadomo jednak, jak łatwo zdecydować coś rozsądnego w sprawach uczuciowych, a jak trudno potem przy tym wytrwać. Przez kilka dni żyłem jak w piekle. Pani Kenwick miała chyba racją mówiąc, że jestem zawzięty; tak, niewątpliwie miała. To samo mówił D.R. McCabe, gdy kazał mi wykopywać z trawnika mniszek, a ja nie chciałem, bo to moje ulubione kwiaty. A może właśnie dlatego, że ojciec kazał mi je wykopywać, stały się moimi ulubionymi kwiatami? W każdym razie nie tylko, że ich nie wykopałem, ale jeszcze więcej dosiałem. Przyjemnie było w piękne letnie poranki znajdować gdzieś w pobliżu dojrzałe dmuchawce - miałem wtedy dziesięć, jedenaście lat - a potem sypać nasionka na trawnik, z którego D.R. McCabe był tak dumny; byłby jeszcze bardziej dumny, gdyby mógł się pozbyć „tych przeklętych chwastów“.

Próbowałem pozbyć się zazdrości przy pomocy pani Gonzales. Widywałem się z nią co wieczór, niewiele to jednak pomagało. Mogliśmy się kochać, ale nie mieliśmy wspólnego języka, przy czym nie chodzi mi tu ani o język hiszpański, ani angielski. Po prostu potem przestawało być dobrze. Nadal ją lubiłem i dawałem prezenty, a także resztki jedzenia dla świń jej siostry. Siostra ta mieszkała gdzieś na wsi po drodze do Pecos i ilekroć przyjeżdżała do miasta, zawsze zabierała do domu mnóstwo odpadków.

- Czy świnia zjada skórki od grapefruitów? - spytałem kiedyś panią Gonzales.

- O tak, świnia zjada wszystko, co dostanie.

Innym razem opowiadała mi, jak odwiedza swego biednego męża w więzieniu.

- Matka zawsze nam przykazywała, że jeżeli ktoś jest w szpitalu albo w więzieniu, trzeba go odwiedzać.

Lubię w Hiszpanach to ich niezachwiane przekonanie o tym, co słuszne z punktu widzenia towarzyskiego.

Nie wiem, czy wytrzymałbym jeszcze długo w swoim postanowieniu co do Solveig, gdyby nie telefon od Wally Ingersolla rankiem dwunastego listopada. Pewno nie wytrzymałbym i sprzątnął ją Gilowi sprzed nosa albo przynajmniej próbował to zrobić. Mówię: „próbowałem“, bo do dziś nie mam pewności, czy kochała mnie, Flagga, czy kogokolwiek prócz siebie. Gdybym zaproponował jej małżeństwo i obiecał, że napiszę za nią książkę, albo tylko, że napiszę książkę, czy wtedy rzuciłaby Gila? Nie wiem. Zaczęłaby pewno ważyć, obliczać. Na jednej szalce umieściłaby Pete McCabe'a, pisarza zawodowego, który od lat sprzedaje swoje

utwory. Na drugiej Gilberta Flagga, świetnego poetę i autora pięknej prozy. Co lepsze dla „Dziewczęcia z pirackiej wyspy“?

Ale zadzwonił do mnie Wally. Sydney Levine z „Lee Productions“ kupił „Jeźdźców znad Rio Grande“ i chciał, abym się zjawił w Hollywood na dwudziestego listopada i zabrał się do pisania scenariusza. Tak to wygląda interes z filmem; najpierw zwlekają, a potem gwałt.

Aż wstyd się przyznać, jak mało zapłacił mi Levine. Za westerny rzadko zbiera się kokosy, a w 1935 roku wielu było takich, którzy skłonni byli sprzedać swego westerna za jedno tysiąc dolarów. Ja dostałem więcej, ale niedużo więcej. Oddzielnie jednak zapłacili mi za pracę nad scenariuszem: dwanaście tygodni po trzysta dolarów tygodniowo. Jak za scenariusz filmowy do westernu, była to w owych czasach raczej pokaźna suma. Z wynagrodzeniami autorskimi wszystko jest zawsze na opak; ale to już była sprawa Wally Ingersolla.

Spakowałem więc swoje manatki i umówiłem się jeszcze po raz ostatni z panią Gonzales - ostatni, bo mąż jej w czasie mojej nieobecności został warunkowo wypuszczony z więzienia, a był szybki we władaniu nożem - i w poniedziałek po południu, 18 listopada, znalazłem się na stacji w Lamy czekając na pociąg z Kalifornii. Przyjechali też, żeby mnie pożegnać, pani Kenwick, Solveig i Gilbert Flagg.

- Pete, tylko sprawuj się tam dobrze. Nie wiem dlaczego, ale pisarze w Hollywood stają się jacyś zgorzkniali i cyniczni.

- Dowiem się i powiadomię panią - odparłem.

- I nie marnuj talentu na dzikie hulanki. Pamiętaj, jaka przejmująca była ta historia z Fatty Arbucklem.

- Tak, a jaki miał subtelny talent!

- Naprawdę tak myślisz, Pete? Nie wiem, ale mnie on nigdy nie wydawał się bożyszczem kobiet. Na mój gust był trochę przyciężki.

- O tak, powinien był stosować dietę.

- Ja muszę to zrobić - wtrąciła Solveig - jeżeli ten kostium zrobi się jeszcze ciaśniejszy. Obawiam się, że jak głębiej odetchnę, szwy popękają. - Miała na sobie ten sam granatowy kostium, w którym przyjechała w kwietniu. Panna Skovgaard była zgrabna i doskonale tego świadoma; nic dziwnego, że Gil Flagg chodził jak lunatyk.

Dał się słyszeć gwizd lokomotywy w kanionie; w owych czasach lokomotywy były jeszcze parowe, a ich gwizd, melodyjny i smutny, przypominał o wszystkich w życiu pożegnaniach. Pociąg wynurzył się z kanionu; po chwili ukazał się na peronie bagażowy Indianin, a i stary przekupień pojawił się w nadziei, że coś sprzeda. Znowu maszynista nas przechytrzył, pociąg zatrzymał się dalej, niż staliśmy.

- Do widzenia. Do widzenia, Pete. Do widzenia, Peter. Do widzenia, Pedro. Nie zmień się zbyt, nie hulaj tam za dużo.

I nagle, całkiem bezwiednie, pocałowałem panią Kenwick. Pocałowałem też Solveig. W jej pięknych brązowych oczach wyraźnie można było wyczytać, że to nie pierwszy raz. Zdawało mi się, że zapach Bellodgii czułem jeszcze w pociągu.

## Rozdział 9

Czytelnik ma prawo spodziewać się w tym miejscu choćby krótkiego eseju o głupocie producentów filmowych, zmaterializowaniu Hollywood i gnębieniu talentu. Jak to bohater nasz z własnej i nieprzymuszonej woli jedzie do Hollywood, zbija tam grubszą forszę, a potem kasa rękę, która go karmiła.

Mnie jednak podobało się w Hollywood. Nie potrafiłbym wyjaśnić dlaczego, ale przypominało mi Des Moines w stanie Iowa. Ludzie wcześniej kładli się spać, wcześniej wstawali, zajęci cały dzień ciężką pracą. Szli do swojej fabryki, gdzie na celuloidowych paskach utrwalali owoce swej wyobraźni, po czym wracali do domu, kosili trawniki i kładli się spać. O tak zwanych „wyższych sferach“ nic powiedzieć nie mogę; nie chodziłem do wytwornych klubów, bo kluby nocne zawsze mnie nudziły; nie jeździłem nigdy białym Cadillakiem ani nie spałem z aktorką światowej sławy; mieszkalem na Hollywood Boulevard w hotelu „Roosevelt“, który przypominał mi „Fort Hotel“ w Des Moines; jadałem doskonale w restauracji „Musso & Frank’s“, przeglądałem książki w księgarniach i płyty, jednym słowem, prowadziłem się, jak należy.

Nawet Sydney Levine mi się spodobał. Był to wysoki, rudowłosy gość po pięćdziesiątce, który kiedyś zajmował się wyświetlaniem filmów, nim przeniósł się do produkcji w roku 1919. Okazało się, że prowadził nawet kino w Des Moines podczas I Wojny Światowej, ale gdy spytałem go, czy Hollywood nie przypomina mu Des Moines, potrzęsnał głową.

- Tutaj jest lepszy klimat. I więcej palm.

Co do tego musiałem się zgodzić.

Miał swoje biuro na Melrose, gdzie wynajmował całą wytwórnię z aparaturą, ilekroć nakręcał film. Był to raczej niewielki teren, z małymi domkami, w których pracowali pisarze. Ja siedziałem z Benem Titievem, zatrudnionym na stałe w „Lee Productions“, i pracowałem bardzo solidnie od ósmej rano do południa; lunch jadłem w stołówce samoobsługowej na terenie studio; potem znowu pracowałem aż do piątej. Moja artystyczna duma nie czułaby się bynajmniej dotknięta, gdyby i mnie - jak się to ponoć niejednokrotnie zdarzało pisarzom - zatrudniono tu, a potem zapomniano na długie miesiące; tylko że Sydney Levine z zasady nie zapominał o kimś, komu płacił trzysta dolarów tygodniowo.

Właściwie do tej pory nie rozumiem, dlaczego mnie zatrudnił. Titiev był przecież wysoko kwalifikowanym pisarzem scenariuszy filmowych i wszystko wskazywało na to, że Sydney Levine nie może się też skarżyć na brak pomysłu. Może nie były to jakieś błyskotliwe i oryginalne pomysły, ale i ja lepszymi nie grzeszyłem. Levine święcie wierzył, że w westernie musi być mnóstwo krów, niemało koni, no i kilka niezłych strzelanin w knajpach, a najlepsze zakończenie filmu stanowi długie ujęcie, ukazujące bohatera i bohaterkę, jak odjeżdżają w dal ku zachodzącemu słońcu. Może potrzebny im byłem dlatego, że mieszkalem w Nowym Meksyku, a terenem akcji „Jeźdźców“ był właśnie Nowy Meksyk; co prawda, wszystkie plenerowe zdjęcia zamierzali robić na bardzo uniwersalnym zapleczu wytwórni „Universal“.



W każdym razie byłem tam, wyciągałem trzysta dolarów tygodniowo, a Syd Levine co chwila wpadał do naszego domku, by sprawdzić, czy moja maszyna nie próżnuje.

Najpierw omawiałem z Titie'em jakąś scenę, potem zabieraliśmy się do pisania jej, każdy oddzielnie, a następnie zlepialiśmy to, co wypadło najlepiej u niego i u mnie. Potem Levine czytał całość i dopiero po jego uwagach na nowo poprawialiśmy tekst. Nie miałem nic przeciwko temu. Ostatecznie do Hollywood przyjechałem nie po to, żeby wyśpiewać to, co przepelnia mi duszę.

Przyjemnie wrócić myślami do tych lat, kiedy się było jeszcze młodym - w sierpniu owego roku skończyłem trzydziestkę - i kiedy jeszcze smog nie przesłaniał czystych promieni słońca w Los Angeles. Bywały co prawda ranki spowite gęstą mgłą znad oceanu, ale do jedenastej słońce zawsze zdążyło się z nią uporać, a w powietrzu, unosiła się woń eukaliptusów i kwiecica. A może tylko teraz tak mi się wydaje? Całe miasto pełne było pięknych dziewcząt, które zjeżdżały się tutaj ze wszystkich stron kraju. Pracowały jako windziarki, kelnerki lub urzędniczki i każda czekała, że jakiś Sydney Levine zwróci wreszcie na nią uwagę, stanie jak wryty, klepnie się w czoło i powie: „Oto dziewczyna, jakiej potrzebuję na bohaterkę następnego filmu“. Ale Sydney Levine zanadto był zaabsorbowany kosztami produkcji, aby mogły go interesować piękne kobiety w mieście, będącym najbogatszym rynkiem zbytu pięknych ciał kobiecych.

Mniej więcej w dziesięć dni po moim przyjeździe do Hollywood otrzymałem list od Wally Ingersolla z wiadomością, że jedno ze starych, znanych wydawnictw, G.L. Dreyspring and Company, przyjęło „Jeźdźców znad Rio Grande“ i ma zamiar wydać jesienią. Oczywiście proszą o kilka drobnych zmian, bo przecież nie ma na świecie wydawcy, który by nie był przekonany, że gdyby tylko mógł, napisałby każdą powieść lepiej niż autor. Proponowane zmiany nie były zresztą takie głupie; mogłem się z tym uporać w ciągu jednego ranka. W liście do Wally'ego, w którym zawiadamiali o przyjęciu mojej powieści, napisali, że podobał im się mój sposób pisania, a zwłaszcza styl „wartki, nie spotykany dotąd w westernach“; przypomina czyjś styl, tylko nie bardzo mogą sobie przypomnieć czyj. Najważniejsze jednak, że wydadzą mi książkę, a nawet pytają, czy nie mógłbym dostarczać im jednego westerna rocznie. Pomyślałem, że da się zrobić. Miałem już nawet tytuł dla następnej powieści - „Walka o miasto pogranicza“ - rzecz będzie się działa w mieście pełnym opryszków, w którym zjawia się porządny facet, ściągnięty tam przez nielicznych szlachetnych obywateli, i ma zamiar jako szeryf wprowadzić porządek.

Byłem więc w dobrym nastroju; „Collier's“ zacznie drukować w odcinkach zimą, i w ogóle całkiem mi idzie. Tylko że ciągle jeszcze czułem gdzieś pod zębem niewyraźny ból na myśl o Solveig; ból nieustanny, chwilami przytępiony, a chwilami ostry niby sztylet, zwłaszcza gdy przechodząc koło sklepu z płytami słyszałem trąbkę Harry Jamesa.

Nadszedł grudzień. Hollywood Boulevard ozdobiono świątecznymi dekoracjami, na każdej latarni zawieszono kartonową stylizowaną choinkę, nad całą ulicą rozciągnięto łańcuchy z szychu. O tej porze roku bulwar stawał się czarodziejską Aleją Św. Mikołaja. W gazetach wielkie domy towarowe przypominały, że już wkrótce Boże Narodzenie i tylko tyle a tyle dni pozostało na zakupy. Wszystko to jednak wydawało się zupełnie nierealne, tak jakby w Des Moines w maju rozwieszono gwiazdkowe dekoracje. Może jestem zacołany, ale uważam, że jak ma być Boże Narodzenie - a wszystko wskazuje na to, że tak - to lubiłbym zimno i śnieg, i prawdziwy mróz na szybach.

W poniedziałek wieczorem, 9 grudnia, byłem w hotelu. Ubrałem się właśnie, żeby iść na obiad, gdy zadzwonił telefon.

- Czy to pan Peter McCabe?

- Tak.

- Zamiejscowa z Santa Fe, Nowy Meksyk. Proszę mówić.

Dał się słyszeć głos Solveig.

- Peter? Dobry wieczór. Mówi Solveig Flagg.

Czterdzieści minut później szedłem Aleją Św. Mikołaja. Migotały neony, a wielkie reklamy dokonywały akrobatycznych wyczynów, by zachęcić do palenia Camel i picia Coca-Coli. Miałem jednak ochotę na coś mocniejszego niż Coca. W „Musso & Frank’s” znalazłem wolny stolik i zamówiłem podwójną szkocką oraz befsztyk z sałatką jarzynową. Zaczęły zjawiać się pary, mężczyźni z pięknymi dziewczętami, tylko ja nie miałem żadnej, z którą mógłbym porozmawiać, co szczególnie dzisiaj dawało mi się we znaki. Ja chyba zawsze byłem typem raczej samotniczym, całkowicie introwersyjnym. Ale wydaje mi się, że każdy w jakiś sposób jest samotnikiem, bo tak już jest w życiu, że we wszystkich ważniejszych chwilach - rodzenie się, - połknięcie ostrego, czy umieranie - każdą z tych rzeczy człowiek robi sam. A jednak nie wszystko. To, co Gil Flagg będzie robić dziś wieczór, nie będzie robił sam.

Rozbawiałem przez telefon z Gilem, Solveig i panią Kenwick, która uważała, że wesele było bardzo przejmujące. - Nie żeby było jakieś wystawne przyjęcie, ledwie sześć osób gościło w salonie pani Kenwick. Solveig oznajmiła mi, że ogromnie się z Gilem kochają. O małżeństwie rozmawiali już od kilku tygodni, ale dziś rano uznali, że nie ma sensu dłużej czekać. Na miodowy miesiąc jadą do Taos, a po powrocie zamieszkają w gościnnym domku pani Kenwick przy garażu, dopóki nie znajdą sobie stałego miejsca zamieszkania.

- I wiesz co, Peter, Gil napisze dla mnie tę książkę. Czy to nie cudownie?

- Cudownie - odparłem.

Nawet taki autorytet jak Szekspir twierdzi, że ludzie zawsze umierali i robaki ich gryzły, ale nigdy z miłości. Natomiast nie wspomina wcale o tym, że bywa robak czy coś innego, co gryzie człowieka za życia i to właśnie z miłości.

Ale jakoś się nie dałem. Życie samo w końcu uczy, że nie trzeba się poddawać. Nadeszło Boże Narodzenie i minęło; a potem Nowy Rok, i zdjęto dekoracje w Alei Św. Mikołaja. Skończyłem swoją robotę dla „Lee Productions”, mogłem wracać do Santa Fe. Postanowiłem jednak zostać. Wynająłem małą kawalerkę o jedną przecznicę na północ od Boulevard i zabrałem się do pisania. Poznałem też rozwódkę, która prowadziła małą księgarenkę na jakiejś bocznej ulicy, a Hollywood pod jednym względem podobne jest do Santa Fe: nikt nie interesuje się tym, co inni robią w nocy. Rozwódka jednak nie jest istotna w tym opowiadaniu; wspomniałem ją tylko dla porządku.

„Collier’s“ zaczęło już drukować „Jeźdźców“, a wydawnictwa „Dreyspring“ otrzymałem korektę szpaltową. Ilekroć pisanie powieści zaczynało mi nosem wychodzić, machałem dla urozmaicenia krótkie opowiadanka; jedno wydrukował „Collier’s“, drugie „Wolność“, a pozostałe umieściłem w kilku pomniejszych czasopismach. Całkiem dobrze mi się wiodło. Można nawet powiedzieć, że świetnie. Pod względem finansowym.

Późną wiosną skończyłem „Walkę o miasto pogranicza“ i wysłałem Wally’emu, któremu się nawet spodobała; wydawnictwo „Dreyspring“ także ją zaakceptowało. Odpowiedzieli, że z największą ochotą wydrukują tak, jak jest, tylko proponują kilka drobnych poprawek. Jednakże w odcinkach jej nie wydrukowano i filmu też z niej nie zrobili. No cóż, w takiej pracy jak moja trudno za każdym razem robić kokosy. W czerwcu wróciłem do Santa Fe, zamierzając zaraz zabrać się do nowej powieści pt. „Młokos z Del Rio“. Chciałem znowu posłużyć się motywem zemsty. Gdyby ktoś kiedyś pisał pracę krytyczną o moich książkach - a chyba ukazało się ich już około pięćdziesięciu, o ile się nie mylę - to z pewnością zauważyłby, że we wczesnych latach mojej twórczości zawsze występował albo motyw zemsty, albo też szlachetny facet stojący po stronie prawa i porządku i poskramiający opryszków, którym w głowie były tylko cudze konie i inne rozróby. Potem trochę poszerzyłem swój wachlarz motywów, chociaż niewiele.

Przez cały czas pobytu w Hollywood płaciłem za swoje mieszkanie w Santa Fe. Wyglądało swojsko, chociaż trochę dziwnie, tak jak zawsze wygląda mieszkanie po długiej nieobecności. Gdy otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że nic się nie zmieniło i wszystko jest takie same jak dawniej, poczułem się trochę głupio: jakby duchy gościły tu przez cały czas. Pierwszą osobą, do której zatelefonowałem, była pani Kenwick.

- Petel to naprawdę ty?

- Zaraz się uszczypnę, żeby stwierdzić na pewno.

- No, znowu zaczynasz, Pete. Przestań, proszę! Bardzo hulałeś?

- O tak, co noc. Wszystkie aktorki uważały, że ze mnie wykapany John Gilbert.

- To dziwne, Pete. Ja nie widzę ani trochę podobieństwa między tobą i Gilbertem. Przede wszystkim twój głos jest o wiele głębszy.

- Co słychać? - spytałem.

- Wszystko jak najlepiej, Pete. Solveig i Gilbert są bardzo szczęśliwi. Wynajęli chyba najpiękniejszy domek adobe i ciężko pracują nad jej książką. Wymyśliła wspaniały tytuł: „Dziewczę z pirackiej wyspy“. Podoba cię się?

- Bardzo.

- Ma prawdziwy talent do wymyślania tytułów, Pete. Napisali już prawie trzydzieści tysięcy słów, są więc strasznie zajęci, bo jeszcze przecież pracują w „Niebiańskich Kamieniach“. Nawet po nocach piszą.

- To ciekawe.

- Wiedziałam, że tak powiesz, Pete. A wiesz co? Wydaje mi się, że książka Solveig odniesie wielki sukces. Bardzo jest zajmująca. Styl piękny, mnóstwo egzotyki, piraci zakopują dublony i jeszcze wiele innych rzeczy. Na pewno będziesz chciał przeczytać.

- Oczywiście.

- Może byś wpadł dziś na obiad, Pete? Wiem, że nie lubisz moich poetów, więc będzie tylko Solveig i Gilbert. Przyjdiesz, Pete?

- No chyba.

- Wspaniale. Bardzo się za tobą stęskniliśmy, choć właściwie nie rozumiem dlaczego. Często bywasz szorstki, choćby wtedy z Cleo, gdy ją obraziłeś u mnie na pbiędzie, i do tego cyniczny, a mimo to cię lubimy.

- Bardzo mi to pochlebia. A co słyhać u Cleo Royce?

- Nic nowego, Pete. Przyjechała tutaj na lato i ujeżdża dzikie konie, ale Vern z nią nie przyjechał. Został w Teksasie. Cleo mówi, że klimat Santa Fe niedobrze mu robi na serce. To ogromnie czule małżeństwo, prawda?

- O tak, po prostu przejmujące.

Tego wieczoru przed wyjściem do pani Kenwick łyknąłem trochę whisky, bo najwyraźniej tego potrzebowałem; to ponoć znak, że człowiek staje się nałogowym alkoholikiem. Nie ma obawy, nie jestem alkoholikiem i nigdy nie będę; bardzo trudno, aby ktoś szkockiego pochodzenia stał się alkoholikiem, zwłaszcza gdy pije szkocką whisky. Po pierwsze, to trunek dość kosztowny, a po drugie, ma się przecież zaprawę wielu pokoleń.

Ciekaw byłem, czy małżeństwo zmieniło Solveig; czy utyla, czy schudła? A może jest w ciąży albo zrobiła się z niej sekutnica? Już siedem miesięcy jej nie widziałem, a dłużyły się one jak siedem lat; byłem pewien, że dostrzegę w niej jakieś ogromne zmiany.

- Jak się masz, Peter! - powitała mnie w salonie pani Kenwick. - Witaj!

Nic się nie zmieniła, chyba jeszcze wypiękniała. Miała na sobie turkusową suknię, lekką i świeżą, a na widok jej złocistych włosów poczułem się jak ćma, która leci do światła ku niechybnej zgubie.

- Witaj! - odparłem.

Uścisnąłem dłoń Gilberta, następnie objąłem czule panią Kenwick i znów byliśmy jedną szczęśliwą rodziną.

Zazwyczaj w takich chwilach jak ta, wszystko, co istotne, można dostrzec pod pokrywką dobrego wychowania, dziś jednak było inaczej. Przez cały czas, gdy siedzieliśmy popijając cocktaile, czujnie baczyłem, czy Solveig jakimś znakiem, spojrzeniem lub słowem nie okaże mi, że i ona pamięta owe popołudnia, kiedy zwiedzaliśmy okolice Santa Fe, i owe wieczory u mnie w mieszkaniu. Ale niestety, nie okazała. To, że tańczyliśmy przy „Gwiaździstej nocy“, że śmialiśmy się i kochali, zdawało się nieprawdą. Kobiety bardzo łatwo zapominają o tym, o czym nie chcą pamiętać, więc i Solveig zapomniała o wszystkim.

Widać było, że są w sobie ogromnie zakochani. Co chwila wymieniali spojrzenia pełne czułych wspomnień i wspólnych nadziei dobrego małżeństwa; oboje mieli na palcu obrączki; a czy zauważyliście, że obrączki zakochanych tak jakoś specjalnie i wyraźnie błyszczą? I że zakochani w towarzystwie uśmiechają się zawsze do siebie i z siebie tylko zrozumiałych żarcików? I że co chwila głaszczą się po rękach?

Chcieli dowiedzieć się wszystkiego o Hollywood, więc powiedziałem im, iż przypomina Des Moines.

- Och, Pete - wykrzyknęła pani Kenwick - co ty opowiadasz!

- Des Moines to całkiem przyjemne miasto - odparł Gil - tylko klimat ma nieznośny. Przynajmniej dla mnie.

Lody zostały przełamane. Zaczęliśmy wspominać z Gilem nasze dziennikarskie czasy śmiejąc się przy tym do rozpuku, jakie to zabawne i najczęściej sprośne omyłki drukarskie przedostawały się do pierwszego wydania gazety; wspominaliśmy dziwactwa redaktorów kroniki miejskiej i bezgraniczną głupotę lokalnych polityków, cały ten szaleńczy młyn, jakim było redagowanie gazety.

- Ale opowiedz nam o Hollywood, Peter, strasznie jestem ciekawa - wtrąciła Solveig.

Wiem, co ją najbardziej interesowało. Chciała, aby ktoś, kto był tam na miejscu, potwierdził legendę otaczającą to miasto. Już od lat rozmaici agenci reklamowi wypuszczają niezliczone historie o tym fantastycznym mieście, o tej Krainie Czarów; a rozmaite czasopisma filmowe i zdjęcia olśniewających dziewcząt potwierdzają tę legendę. Hollywood to baśniowa kraina przezrzystych negliżów, przyćmionych świateł i nagłych uśmiechów fortuny, kraina zmysłów, wampów i przystojnych mężczyzn. Kobiety w salonach piękności, dziewczęta w małych amerykańskich miasteczkach czy na wyspach tropikalnych - wszystkie z zachwytem słuchają tej barwnej legendy, bo przecież każdy musi wierzyć, że gdzieś - na brytyjskim dworze królewskim czy na Manhattanie, w dżungli Tarzana, czy na obozie kondycyjnym sławnego boksera - gdzieś tam życie jest ciekawsze, bardziej romantyczne i pełne przygód niż tu, w rodzinnym mieście. Może i jest; życie bywa ciekawsze; tylko że trzeba przywieźć ze sobą skłonność do przygód i romansów; to już są rzeczy subiektywne. Ja jednak pojechałem do Kalifornii w celach prozaicznych, żeby zrobić forszę, i pewno dlatego przypominało mi Des Moines.

Wyjaśniłem to Solveig, ale nie zrozumiała.

- Nie chcesz opowiadać, to nie. A zresztą jak tylko moja książka stanie się sławna, to sama tam pojadę i wszystko zobaczę.

Chyba nie zdołałem opanować uśmiechu. Początkującym pisarzom zawsze wydaje się, że zdobędą miliony.

- A skoro mowa o książce, to wiesz co, Pete, przynieśliśmy ze sobą maszynopis - odezwał się Gil Flagg. - Może byś zechciał przeczytać i szczerze powiedzieć, co myślisz.

„Niech to licho porwie!“ - zawołałem w duszy. Głośno zaś rzekłem:

- Naturalnie, wezmę ze sobą do domu.

A więc raz jeszcze zostałem obdarzony maszynopisem Solveig. Nim położyłem się spać, przygotowałem sobie cocktail i zabrałem się do czytania. Na karcie tytułowej było napisane: „Dziewczę z pirackiej wyspy“, wedle opowiadania Solveig Skovgaard spisał Gilbert Flagg. Na następnej stronie dedykacja: „Pani W. Hazelton Kenwick z głębokim uczuciem i wdzięcznością“. Zapaliłem papierosa i zabrałem się do czytania.

Już pierwsze zdanie urzekło mnie - znalazłem się nagle hen, daleko, w strefie podzwrotnikowej, gdzie blask jest upałem, a morze, ma kolor indygo. A w dodatku to miało styl. Całkiem dobrze napisane. W tej prozie był wdzięk, a jednocześnie pewność siebie. Niewątpliwie nadawało się to do wydania; było świeże, żywe i czarujące. Po przeczytaniu dwóch czy trzech stron w ogóle zapomniałem, że czytam; znalazłem się w Indiach Zachodnich, na Wyspie Św. Krzyża, i właśnie zbliżał się huragan. Oto wszystkie te osoby, o których opowiadała mi Solveig - Axel Skovgaard, Disa, Juliana, stary Eryk i Louis Webster - ale teraz już nie miałem wrażenia, że znam ich tylko z opowiadania; poznawałem prawdziwych, żywych ludzi. Żał mi się zrobiło, że skończyłem już czytać te trzydzieści tysięcy słów; gdyby było więcej, mógłbym siedzieć całą noc.

Zwykle po przeczytaniu maszynopisu człowiek głowi się, w jaki sposób nieszkodliwie usadzić danego pisarza; strach oblatuje na myśl o stawieniu mu czoła, gdyż każdy maszynopis, mały czy duży, odkrywa zawsze najtypowsze cechy autora, z czego ten najzupełniej nie zdaje sobie sprawy. Prawie wszystkie nieopublikowane maszynopisy cechuje niedorzeczność, braki warsztatowe, utarty i banalny sposób myślenia. „Dziewczę z pirackiej wyspy“ wzbudziło we mnie entuzjazm. Ta książka na pewno zostanie wydana, na pewno rozejdzie się - i to jakieś pięć do dziesięciu tysięcy - więc dużo jak na owe czasy i jak na książkę autobiograficzną.

Następnego dnia poszedłem z maszynopisem do redakcji „Niebiańskich Kamieni“, żeby zobaczyć się z Solveig i Gilem. Podzieliłem się z nimi swoim entuzjazmem.

- Gotów jestem się założyć, że dziesięć tysięcy jak nic pójdzie.

- Dziesięć tysięcy? - Solveig zmierzyła mnie chłodnym spojrzeniem. - Nie bądź śmieszny, Peter, gwarantuję milion.

Do miliona nie doszło, lecz Solveig bliższa była prawdy niż ja.

Tego lata skończyłem „Młokosa z Del Rio“, potem jesienią napisałem kilka nowelek i zabrałem się do kolejnej powieści „Za rzeką Pecos“. Nudny teraz prowadziłem żywot, jedynej rozrywki dostarczały mi tylko strzelaniny w moim maszynopisie, no i wizyty listonosza, który przynosił mi coraz więcej dobrych nowin. „Młokos“ zaczął ukazywać się w odcinkach, dwoma moimi pierwszymi książkami zainteresował się angielski wydawca, a potem także dwaj czy trzej inni z kontynentu. Czasem przychodził jeszcze czek za powtórny druk w odcinkach, a największe zdumienie ogarnęło mnie, kiedy przyszła wiadomość, że jakieś wydawnictwa australijskie i południowoafrykańskie zakupiły coś z mojej twórczości. Jedna z poważniejszych wytwórni filmowych zakupiła „Młokosa z Del Rio“ i chciała zaangażować do filmu najbardziej popularne gwiazdy i świetnego reżysera. Dostałem wtedy niezłą sumę, a moje konto bankowe pokaźnie wzrosło - nawet dyrektor banku nagle sobie przypomniał, że zna moje nazwisko. Po Nowym Roku postanowiłem jechać do Nowego Jorku. Co prawda,

napiisałem dopiero połowę „Za rzeką Pecos“, ale czułem, że przyrastam do krzesła i że ostatecznie czas już, by wydawcy postawili mi lunch.

Rzadko widywałem się z Solveig i Gilem ubiegłego lata i jesieni; wszyscy troje bardzo byliśmy zajęci pracą, a zresztą specjalnie unikałem wszelkich kontaktów towarzyskich, żeby nie spotkać Solveig. Ilekroć próbowałem pogodzić moje wspomnienia o Solveig, jaką znałem niegdyś - a może taka mi się wtedy tylko wydawała - z obecną panią Flagg, obojętną, pogardliwą, a nawet wrogo do mnie nastawioną, groził mi obłęd. Prawdopodobnie nie mogła mi wybaczyć, że moją „niepodzielność literacką“ - proszę wybaczyć to określenie - postawiłem wyżej niż miłość do niej. Kobiety są na tym punkcie bardzo wrażliwe. A może uważała, że ja lepiej napisałbym „Dziewczę z pirackiej wyspy“ niż Gil? Jeżeli tak, to myliła się bardzo. Wystukałbym na maszynie coś, co pewnie by się nadawało do wydania, lecz miałyby pełno banałów, bo przecież zrobiłbym to w pośpiechu, jak zresztą wszystkie swoje westerny. Zwykle mniej więcej około strony dwieście pięćdziesiątej widać już było ten mój pośpiech, ale czytelnicy pochłonięci treścią i tak tego nie zauważali. Gilbert Flagg był lepszym ode mnie pisarzem. Nie udało mu się dotąd, co prawda - a może nie próbował - sprzedać wiele z tego, co napisał, większym i popularnym wydawnictwom, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

W końcu listopada Solveig i Gil skończyli książkę i zwrócili się do mnie z prośbą, żebym przeczytał całość. Od początku do końca utrzymana była w pięknym stylu, tylko kilka fragmentów wydało mi się trochę naciągniętych. W jednym z nich panna Solveig, wyposażona w strój do nurkowania, zapuściła się w głąb morza, by szukać zatopionego statku. Znajduje skarb, ale pod strażą ośmiornicy, która pilnuje kasy przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny na dobę. Doskonale wiedziałem, że Gil Flagg nigdy nie walczył z ośmiornicą. Solveig zaś już dawno powiedziała mi, że nigdy nie nurkowała po skarb, toteż fragment ten zabrzmiał mi tak samo fałszywie, jak wszystkie takie opowiadki, w których najgorszy typ zmienia się nagle zupełnie po to, by skończyć całość szczęśliwie; czytelnik pozostanie dzięki temu w dobrym humorze i będzie mu się nawet chciało wyjść z domu i kupić specyfik na niedomogę wątroby, zachwalany na sąsiedniej kolumnie.

- Nie chciałem być zanadto czepliwy - zwróciłem się do Solveig i Gila w redakcji „Niebiańskich Kamieni“ - ale czy nie uważacie, że ten fragment z poszukiwaniem skarbu należałoby trochę stonować?

- Może - odrzekł Gil. - A co proponujesz?

- Zamęczacie po prostu tę ośmiornicę. Przecież od czasu do czasu musi chyba mieć wychodne. Co z jej życiem płciowym? Co ze świętami? Wygląda na to, że biedaczka nic innego nie robi, tylko wiecznie strzeże skarbu.

Gil uśmiechał się. - Mnie się zdawało, że każdy konflikt ożywia narrację. Gdyby ośmiornica była na randce gdzieś w innej części statku, a skarb pozostałby bez opieki, nie byłoby żadnego konfliktu w chwili, gdy pojawia się Solveig.

- A może tak: ośmiornica jest w kabinie, gdy Solveig zjawia się po raz pierwszy, więc Solveig się wycofuje. Po jakimś czasie Solveig nurkuje znowu i wtedy nie zastaje ośmiornicy, która opuściła kabinę, żeby sobie poromansować. Ale w momencie, gdy Solveig wykrada skarb, ośmiornica nadpływa i...

- Jeszcze się nad tym zastanowię - powiedział Gil. - Wpierw jednak muszę się dowiedzieć co nieco o życiu płciowym ośmiornic.

- I mam jeszcze drugie zastrzeżenie. Wąż gumowy zaopatrujący Solveig w tlen zaplątuje się akurat w momencie walki z ośmiornicą. To już za grubo szyte. Czy nie lepiej, żeby się to stało dzień albo dwa wcześniej? Dzięki temu, kiedy Solveig stacza walkę z ośmiornicą, czytelnik będzie cały czas w napięciu myśląc, że to się znowu zaplącze, a tymczasem wcale nie. Odrobina napięcia warta jest więcej niż cała masa akcji. Poza tym nie podoba mi się, że Solveig zabija ośmiornicę. Młoda dziewczyna pokonująca ośmiornicę... no cóż... to nieprawdopodobne. Ja bym się na to nie nabrał.

- A dlaczego byś się nie nabrał, Peter? - spytała lodowatym głosem Solveig.

- To po prostu nie pasuje - odparłem. - To...

Na twarzy Solveig pojawił się taki wyraz, że natychmiast przerwałem. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć młodej damy tak wściekłej, jak Solveig w tej chwili.

- Skończ już, Peter, dobrze? Pisz sobie o tych swoich wiecznie strzelających facetach, a Wyspy Karaibskie zostaw nam. Nie potrzebuję ci chyba przypominać, że tam nie byłeś.

- Bardzo przepraszam, chciałem tylko...

W oczach jej zabłyśły łzy.

- Jeżeli panowie dziennikarze mają ochotę bawić się kosztem mojej książki, to proszę bardzo. Ja jednak nie muszę tego słuchać. Do widzenia!

I już jej nie było.

Przez chwilę Gil patrzył na mnie, a ja na niego.

- Ach, te kobiety. Gdybyśmy tak mogli wpadać w ich ramiona nie wpadając pod pantofel - powiedział w końcu Gil.

- To stare jak świat - rzekłem.

- Tak, to prawda. Przepraszam, Pedro, że Solveig tak, zareagowała. Stała się okropnie drażliwa, odkąd siedzimy nad tym cholernym powieścidle.

- To wcale nie powieścidle, to naprawdę dobra książka. Ta scena, kiedy jej matka umiera w żagłowie, jest wstrząsająca. I samo zakończenie, gdy Solveig odpływa w stronę Wyspy św. Tomasza, nie wiadomo ku jakiej przyszłości, też jest świetne. Aż mnie coś ścisnęło w gardle. To czysta poezja. A już włosy jeżą się na głowie, gdy rekin pożera jej ojczyma. Wydaje mi się jednak, że powinniście coś zrobić z tą ośmiornicą.

- I ja tak myślę. Trzeba będzie. O ile Solveig pozwoli.

Mnie też ta scena wydawała się jakaś nieprawdziwa, ale ona się uparła. Naprawdę myślisz, że książka ma jakieś szanse?



- Oczywiście. W styczniu jadę do Nowego Jorku, jeżeli będziecie mieli gotowy maszynopis, zabiorę ze sobą. Dam Wally'emu Ingersollowi. To spec nad spece.

- Doskonale, Pedro, postaram się skończyć. Zresztą muszę, Solveig nie dałaby mi żyć. Chyba po tym Eryku umie tak żyłować niewolników. Czeka na mnie mnóstwo własnej pracy, ale nie mam na nic czasu, wszystko pochłania ta piekielna książka. Chwilami po prostu jej nienawidzę.

- To dobry znak - zapewniłem go. - Jeżeli pisarz, długo pracując nad książką, zaczyna w końcu jej nienawidzić, znaczy to zwykle, że jest dobra.

Tak więc Gil pisał „Dziewczę z pirackiej wyspy“ przez całe Boże Narodzenie i Nowy Rok. Jadąc do Nowego Jorku zabrałem ze sobą duże pudło z gotowym maszynopisem. Prawie nikt wtedy nie latał z Santa Fe do Nowego Jorku; zbyt niepewna była podróż samolotem.

W pociągu pomiędzy Chicago a Nowym Jorkiem wyciągnąłem z walizki maszynopis i zacząłem przerzucać kartki. Natknąłem się na scenę z nurkowaniem po zatopione skarby. Argumenty moje i Gila na nic się nie zdały; wszystko pozostało tak, jak było. Wzruszyłem ramionami. Początkującym pisarzom nie ma sensu nic doradzać. To strata czasu. Mimo że Solveig zdobyła nagrodę „Niebiańskich Kamieni“ za swoje wiersze - jakże to było dawno temu! - jednak w zakresie prozy była niewątpliwie nowicjuszem.

Nim odłożyłem maszynopis, spojrzałem jeszcze nakartę tytułową. „Dziewczę z pirackiej wyspy“, napisała Solveig Skovgaard. A więc nie „wedle opowiadania Solveig Skovgaard spisał Gil Flagg“. Byłem tym zaskoczony. Pewnie razem doszli do wniosku, że książka zrobi większe wrażenie, jeżeli autorką będzie tylko Solveig. Są ludzie, którzy z rezerwą odnoszą się do spółek autorskich.

Dalej to już osobna historia. Nie literacka, ale pasjonująca historia wydawnicza.

- Pete - powiedział Wally Ingersoll ze zwykłym sobie umiarem - ta książka ma szansę. Cieszę się, żeś mi pokazał. Już zacznym działać.

Wysłał maszynopis do „G.L. Dreyspring and Company“. W siedem tygodni, nim jeszcze wyjechałem z Nowego Jorku, przyjęli maszynopis i umieścili w planie wydawniczym na jesień. Moje akcje w wydawnictwie „Dreyspring“ chyba jeszcze bardziej wzrosły, bo przecież to ja przywiozłem maszynopis do Nowego Jorku.

- Jesteśmy po prostu zachwyceni - poinformował mnie jeden z redaktorów. - Zrobimy wszystko, żeby to była pozycja udana. Panna Skovgaard pięknie pisze, narracja poprowadzona jest doskonale. To jeszcze oczywiście nic pewnego, ale ma duże szanse, aby stać się bestsellerem. Teraz jest zapotrzebowanie na książki autobiograficzne, szczególnie młodych pisarzy.

- A jak się panu podobała scena z zatopionym skarbem? - spytałem.

- Najlepsza w całej książce.

- A więc pan uważa, że ośmiornica wypadła dobrze?

- Świetnie. Nie ma to jak ośmiornica w książce tego typu. To przecież lektura wypoczynkowa, a czytelnicy właśnie takich książek oczekują - i rzeczywiście potrzebują przy obecnym trybie życia. Ale że w naszym kraju nadal dominują tradycje purytańskie, więc część czytelników uważa, nawet całkiem podświadomie, że szkoda czasu na fikcję, natomiast nie szkoda na czytanie książek autentycznych, z życia, bowiem te, wedle nich, wzbogacają ludzkie umysły. Jeżeli taka książka okaże się absorbująca, tym lepiej. Świetnie się wtedy bawią, a ich purytańskie sumienie nie robi im wyrzutów, gdyż mają możliwość pogłębić swoją wiedzę. Z książki tej na przykład nauczą się dużo o zwyczajach ośmiornic.

- Do licha - rzekłem - przecież każdy, kto choćby raz w życiu widział film o poławiaczach skarbów, zna ich zwyczaje. Ośmiornica to super detektyw świata morskiego, a strzeżenie skarbu to najbardziej pasjonująca dla niej robota. Ośmiornica uważa, że nic się nie może równać z życiem detektywa. Choćby statek był zatopiony na największej głębini, ośmiornica zawsze go wykryje i odnajdzie kabinę rachmistrza.

- Co to znaczy? Nie podoba się panu ta scena?

- Ależ owszem, owszem - odparłem, bo sprzeczać się z wydawcą to tak, jakby uczeń sprzeczał się z nauczycielem; z góry wiadomo, że nie może mieć racji.

- Niech pan teraz opowie coś o pannie Skovgaard.

- Jest młoda i piękna - powiedziałem. - O ile lubi pan wspaniale zbudowane blondynki duńskiego pochodzenia - któż by nie lubił? - to spodoba się panu.

- Skąd nauczyła się tak pisać?

- Dwa lata temu zwyciężyła w konkursie poezji, organizowanym przez „Niebiańskie Kamienie“. A mąż jej - wie pan, poeta Gilbert Flagg - także pisze. Przypuszczalnie nawet tu i ówdzie jej pomagał.

- Chyba jednak stuszujemy tego męża - oznajmił. - Na tyle obwoluty umieścimy jej zdjęcie, i to jak najlepsze. Jeżeli jest tak piękna, jak pan mówi, to tylko książce pomoże. Krytycy już mają dosyć oglądania przeciętnych autorek.

- Nie grozi im to w odniesieniu do panny Skovgaard, zwłaszcza jeśli będzie w dopasowanej sukni.

Nie powinienem wybiegać naprzód, ale muszę przyznać, że fotografia Solveig rzeczywiście pomogła „Dziewczęciu z pirackiej wyspy“ w zdobyciu sukcesu. Wróciwszy do Santa Fe przekazałem jej wszystko, co powiedziano na ten temat u „Dreyspringa“.

- Nie, nie w obcisłej sukni - zaproponowała. - Nie chcę wyglądać jak podrzędna aktorka. Mam lepszy pomysł.

Nauczyłem się, że z Solveig nie należy się spierać, dobrze zresztą, że tym razem trzymałem język za zębami, bo naprawdę wiedziała, co kiedy włożyć, miała po prostu talent w tym kierunku - może dziedzictwo po Disie Larsen? A więc Solveig wraz z fotografem wybrała się w góry, gdzie za tło mieli olbrzymi przestwór nieba. Była w obcisłych dżinsach, trykotowej bluzce w paski i boso. Znaleźli jakieś powalone drzewo, z ogromną ilością bezlistnych,

szponiasto sterczących gałęzi. Solveig stała na pniu, trzymając w ręce grubą linę, której koniec ginął gdzieś po lewej stronie zdjęcia. Wyglądała niby walcząca z wiatrem dziewczyna-żeglarz o złocistych włosach, zalanych słońcem. Potem fotograf znalazł u siebie zdjęcie morza, nadbiegające spienione bałwany, i z obu zdjęć zrobił fotomontaż; w efekcie więc piękność duńska ciągnąca linę stała na pniu, który morze przyniosło na brzeg.

- Jak ci się podoba, Peter? - spytała któregoś dnia pokazując mi to zdjęcie w biurze „Niebiańskich Kamieni“.

- Niewątpliwie wszystko tu jest - odparłem. - Nic już nie trzeba sobie wyobrazać. Nasza heroina ma wszystkie walory fizyczne, a do tego nordycką urodę. A co jest na końcu liny?

- Ty, i pętla coraz mocniej zaciska ci się na szyi. Po tobie przyjdzie kolej na Gila. Jest w złym humorze.

- Dlaczego?

- Chce być współautorem mojej książki. Pamiętasz, że poprzednio napisałam „wedle opowiadania Solveig Skovgaard spisał Gilbert Flag“. Ale w dniu twojego wyjazdu do Nowego Jorku, tuż przed oddaniem ci maszynopisu, wspaniała myśl przyszła mi do głowy. Uznałam, że o wiele lepiej będzie dać tylko: „napisała Solveig Skovgaard“. Więc wystukałam nową stronę tytułową, a tamtą wyjęłam. I teraz się wścieka.

- Cóż za małostkowość!

- I ja tak myślę, Peter. Okropna małostkowość. Wiem doskonale, że książka lepiej pójdzie, jeżeli tylko ja sama będę autorem. A im lepiej będzie szła, tym więcej pieniędzy będziemy mieli. W małżeństwie to, co jest dobre dla jednej strony, automatycznie jest dobre i dla drugiej. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak można w małżeństwie być samolubnym. Okropnie pokłóciliśmy się, jak się dowiedział, co zrobiłam. Myślę, że to po prostu zazdrość zawodowa. Powinien się był nad tymi sprawami zastanowić, nim poprosił mnie o rękę. Wiedział przecież, że jestem pisarką. Jeżeli jego zazdrość zawodowa jest tak nieposkromiona, nie powinien był się ze mną żenić.

- Może i nie powinien - odparłem.

A w duchu dodałem: „I pomyśleć, że wszystko to byłoby mnie spotkało!“

„Za rzeką Pecos“ poszło w odcinkach, a w czerwcu pojechałem znowu-do Holly wood. Jedna z większych wytwórni zaangażowała mnie na bardzo dogodnych warunkach do napisania scenariusza - nie do westerna - ale do filmu przygodowego na pustyni Gobi. Nigdy nie zdołałem się dowiedzieć, dlaczego właśnie mnie wybrał sobie producent, bo przecież najbliższym pustyni Gobi miejscem, po którym stapały moje nogi, było wybrzeże kalifornijskie, ale tak bywa. Tym razem mój czek tygodniowy opiewał na sumę czterocyfrową - jeszcze nie zrobiłem fortuny w Hollywood, ale nieźle stałem - bo trzeba przyznać, że i w kontaktach z producentami Wally Ingersoil dobrze dbał o moje interesy. W porównaniu z „Lee Productions“ było tu o wiele większe tempo. Aż pięciu ludzi pracowało nad skrypcem, nim wreszcie scenariusz utknął w studio. Potem zaangażowano mnie do pisania scenariusza o życiu wyższych sfer na Manhattanie, - bo komuś przyszło do głowy, że ja zrobię dobry dialog; i tak zostałem w Hollywood aż do lutego. Przez ten czas, podczas

weekendów, a czasem nawet w wolniejszych chwilach w studio, napisałem nową powieść „Zemsta w Tularosa“. Poszła w odcinkach, za dobrą cenę. Jakiś pomniejszy producent kupił ją za grosze, ale to nieważne; zdobywałem rozgłos filmowy, a to tyle warte, co pieniądze w banku.

Tymczasem „Dziewczę z pirackiej wyspy“ obrastało w sławę. W lipcu jeden z czołowych Klubów Książki wybrał ją na najlepszą książkę października; to oznaczało grubą łosę zarówno dla autora, jak i dla wydawcy. A już jak Klub Książki dokona takiego wyboru, to wydawca ani trochę nie wątpi, że ma do czynienia z geniuszem; toteż „G. L. Dreyspring and Company“ zużytkowało całą swoją część przyszłego klubowego dochodu na jeszcze większe rozreklamowanie książki. Zorganizowali wielką kampanię reklamową, ponieważ dział propagandy w wydawnictwie Dreyspring postanowił, jak mówił Arnold Bennett, nie wydawać książki potajemnie. W sierpniu jedna z większych wytwórni filmowych kupiła „Dziewczę“ za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dzisiaj to suma niewielka, ale wtedy, w roku 1937, autor nie miał się co wstydzić takiego utargu. Dział reklamy wytwórni przyłączył się do ogólnego chóru i nim książka ukazała się na wystawie, Solveig była już prawie tak znana, jak pani Roosevelt. Zdjęcia jej zamieszczano w gazetach i czasopismach, przeprowadzano z nią liczne wywiady, co jakiś czas ukazywały się ciekawostki na jej temat w rubryce towarzyskiej - niczego nie pominięto. Może dwa razy wspomniano nawet, że jest żoną Gilberta Flagga, także pisarza.

Na tydzień przed ukazaniem się książki Dreyspring wydał w Nowym Jorku przyjęcie na cześć autorki, o czym dowiedziałem się z listu Gila Flagga, z nadrukiem starego hotelu „Ritz-Carlton“.

*Drogi Pedro,*

*Długo już się z Tobą nie widziałem. O wiele za długo. Jakże chciałbym, żebyś był tutaj ze mną teraz albo ja tam z Tobą, i żebyśmy mogli sobie usiąść wygodnie, tylko w skarpetkach, ot, tacy koledzy eksdziennikarze, no i to wszystko po kolei razem przetrwać. Na pewno słyszałeś, o ile słuchasz wywiadów radiowych albo czasem przerzucasz gazetę, że spółka Skovgaard Flagg (ten drugi to tylko cichy wspólnik) osiągnęła najwyższy sukces. Mamy kupę forsy. Solveig zbudziwszy się pewnego ranka stwierdziła, że jest sławna, a ja wlokę się za nią w ogonie.*

*Solveig dosłownie pławi się to sławie. Jak starcza jej sił na to, tego nie pojmuję. Ja jestem wykończony. Zostaję dziś w domu, ona zaś idzie do teatru z jakimś facetem z Klubu Książki; po teatrze, oczywiście, odbędzie się bankiet na jej cześć, na którym mają być jakieś grube ryby ze świata literackiego. Dzisiaj była na lunchu u „Sardiego“ i przeprowadzono z nią wywiad do mikrofonu. Ja słyszałem tylko przez radio. Mówiąc krótko, jestem wykończony, a poza tym mam już dość tego, że mówi się o mnie tylko jako o mężu Solveig Skovgaard. Co więcej, jedno z największych czasopism kobiecych chce, aby Solveig napisała całą serię reportaży ze swego dzieciństwa, o wydarzeniach, o których w książce nie wspomina, więc zbieram do tego resztki sił. Nasza współpraca układa się tak samo jak poprzednio: Solveig opowiada, ja natomiast słucham starając się w miarę swoich możliwości oddzielić prawdę od wyobraźni. Potem zaczynam pisać. Nasz pierwszy reportaż dla tego czasopisma otrzyma tytuł: „Baza galki muszkatołowej“. To takie miejsce na korzennej wyspie Grenadzie, gdzie hodowcy przywożą tę galkę, a potem, się ją sortuje i wreszcie ładuje na statki. Zachodzę w głowę, jakim by tu wydarzeniem ożywić całą tę historyjkę, bo inaczej będzie to najzwyczajniejszy reportaż z podróży.*

*Książka ukazała się dwa dni temu i wiesz zapewne, że krytyka przyjęła ją z entuzjazmem. Mniej więcej tydzień temu Dreyspring szarpnął się na cocktail-party tutaj w hotelu, które, jak się to mówi w Staunton w stanie Missouri, było wytworniaste. Pierwsza klasa. A jakie thumy! W wydawnictwie Dreyspringa powiadają, że takie rzeczy urządzi się po to, by zrobić wrażenie i napelnić entuzjazmem okolicznych księgarzy, ale zaprasza się też krytyków-literackich. Zwykle zresztą nie przychodzą, tym razem jednak wszyscy się zjawili. Przypuszczalnie tylko dlatego, żeby przekonać się, czy urocza panna Skovgaard jest tak samo piękna w rzeczywistości jak na zdjęciach. Solveig stanęła na wysokości zadania. Nawet i mnie olśniła, a jestem bądź co bądź jej mężem. Miała na sobie suknię cocktailową, która tak uwydatniała wszystkie jej wdzięki, aż tym literackim durniom oczy o mało nie powyłaziły. Jeden z krytyków, taki najbardziej wpływowy (wstrzymuję się od cytowania nazwisk, jeszcze by ci przyszło do głowy tego faceta szantażować), był specjalnie oczarowany „naszą panną Skovgaard“. I vice versa, oczywiście, choć Solveig utrzymuje, że flirtowała z nim jedynie po to, aby go usposobić do pochlebnej recenzji.*

*Wydaje mi się, że wszyscy brali mnie za zastępcę kierownika hotelu, a ci, co tak nie myśleli, to uważali, że, nazywam się pan Skovgaard. Oprócz jednej tylko recenzentki - dość wyblakłej niewiasty - z jakiegoś liberalnego tygodnika. Ona to, aż dziw! słyszała o mnie. Czytywała moje wiersze i opowiadania drukowane w pomniejszych czasopismach. Wypiłem za dużo martini. Mówiąc szczerze straciłem miarę, a chyba nic nie jest bardziej ryzykowne - nawet próba przepłynięcia w beczce Niagary - niż stracić miarę w picciu martini. Toteż w moich wspomnieniach przyjęcie to stanowi zamazany pejzaż papierosowego dymu i barwnych sukien. Udałem się więc do naszego pokoju i reszty nie pamiętam. Gdy obudziłem się, była już trzecia, a mojej małżonki jeszcze nie było. Znowu zapadłem w sen. O siódmej zbudził mnie odgłos otwieranych drzwi. Wchodziła Solveig.*

*W naszym Staunton w stanie Missouri mieliśmy kotkę. Nazywała się Kicia i była mocno romantyczna. Kiedy nadchodziła jej pora, staraliśmy się trzymać ją w zamknięciu, ale zawsze w jakiś sposób zdołała się wydostać i spędzała noc na mieście. Wracając chłodnym szarym świtem albo ciepłym szarym świtem (jeżeli akurat było lato), zaivsze wyglądała tak, jakby była z siebie bardzo zadowolona. Wiedzieliśmy wtedy, że czas rozglądać się za znajomymi, którym można będzie podarować kocięta. To wcale nie dygresja, jakby się mogło wydawać. Coś w wyglądzie Solveig i jej zachowaniu przypomniało mi naszą pocziwą Kicię, która od dawna już znajduje się w kocim niebie razem z milionem kocurów skorych do pieszczot.*

*Spytałem moją miłą, gdzie się podziewała. Odrzekła jakby nigdy nic, że po przyjęciu wyszła razem z kilkoma czołowymi literatami, wśród nich także panem N. O wpół do szóstej poszła z panem N. na kawę. A co robiła w tak zwanym międzyczasie? „Gil, najdroższy, nie bądź nudny. Obiecał mi wspaniałą recenzję“.*

*Dotrzymał obietnicy. Recenzja była taka, że sprzedano przynajmniej dziesięć tysięcy egzemplarzy więcej.*

*Dreyspring powiada, że napływają wciąż nowe zamówienia. Wygląda na to, że „Dziewczę z pirackiej wyspy“ stanie się bestsellerem stulecia. Wydają ją też w Anglii, 10 krajach skandynawskich i jeszcze w paru innych krajach europejskich. Dreyspring już namawia nas - właściwie Solveig, bo ja się nie liczę - do pisania następnej książki. Myślę, że w końcu napiszemy, choć teraz, jak jest trochę forszy, miałbym ogromną ochotę napisać o Staunton w stanie Missouri i o bankierze, któremu powinęła się noga i padł ofiarą swoich czasów. Najpierw jednak będę musiał zająć się książką Solveig, bo nie dałaby mi żyć. Mamy ją zatytułować „Dziecko szczęścia“ i opisać losy Solveig od chwili śmierci matki aż do*

*momentu, gdy natknęła się na mnie w nędznym handlowym czasopiśmie i zrobiła ze mnie człowieka.*

*To już mniej więcej wszystko, mój Pedro. Okropnie chciałbym z Tobą porozmawiać, czuję się jakoś dziwnie osamotniony. Ufam, że Twoi koniokradzi i czarne charaktery znajdują się na właściwych miejscach, to znaczy gryzą ziemię.*

*Twój Gil*

*PS. Zapomniałem Ci napisać, że Wally Ingersoll był też na przyjęciu i spił się, jak bela. Powiedział, że w szalonym tempie wybijasz się na czołowego pisarza westernów, co najdobitniej świadczy, jak musiał być pijany. Ja zaś powiedziałem mu, że Ty się boisz koni.*

Nie bardzo wiedziałem, jak odpisać na taki list. Chciałem to zrobić w sposób jak najbardziej delikatny. Pewnego wieczoru w restauracji na Beverly Hills natknąłem się na producenta filmowego z wytwórni, która kupiła „Dziewczę z pirackiej wyspy“. Oczywiście zgadało się na ten temat. - Zamierzamy - oznajmił - nagrywać karaibską historię tu na wyspie Catalina.

- A co ze sceną, w której jest ośmiornica? - spytałem.

- Świetna. Doskonale zrobiona.

- Frank Norris napisał „Ośmiornicę“. Nie boi się pan, że będzie to kłusownictwo na jego terenie?

- Nie, skądże! - zaprzeczył. - U Norrisa akcja dzieje się na morzach południowych. Tutaj mamy Morze Karaibskie. To coś zupełnie innego.

- A więc zostawi pan tę scenę z ośmiornicą?

- Czy zostawię?! Do licha, oczywiście. Nawet Hays uznał, że jest doskonała. To głównie ze względu na tę scenę kupiliśmy książkę.

Natychmiast powiadomiłem o tym Solveig i Gila.

## **Rozdział 10**

Właściwie to nikt nie wie, dlaczego książka staje się bestsellerem. Mam na myśli taki bestseller, który idzie jak woda, który w mig ludzie rozchwytyją i to nie tylko w okresie Bożego Narodzenia, ale i po Nowym Roku. Oczywiście wiele tu robi reklama, ale nie wszystko; pamiętam, jak ktoś u Dreyspringa opowiadał mi, że mieli kiedyś powieść, zdawałoby się, na medal. Prawie pięćdziesiąt tysięcy wydali na reklamę, a sprzedali pięćdziesiąt, tysięcy egzemplarzy - zarabiając po dolarze na egzemplarzu. Ale nie taki bestseller mam teraz na myśli, tylko taki, który zdobywa sobie prawdziwy rozgłos i którego sława rozchodzi się coraz szerzej. Chodzi mi o „Dziewczę z pirackiej wyspy“.

Sprzedawano ją w ilościach nieprawdopodobnych. Całkiem jak „Przeminęło z wiatrem”. Nadeszło drugie Boże Narodzenie i w dalszym ciągu była rozchwytywana. Potem wszedł na ekrany film, razem z ośmiornicą, co jeszcze bardziej zwiększyło popyt na książkę. Tymczasem coraz więcej piasku gromadziło się w klepsydrze odmierzającej godziny lat trzydziestych (była to piekielna dekada, pod każdym względem); Monachium i parasol Chamberlaina stały się teraz plugawymi słowami; ludzie coraz częściej nastawiali radio i słuchali sprawozdań europejskich Kaltenborna i Shirera. Potem wyłączali radio i wzruszywszy ramionami rozglądali się za czymś, co pozwoliłoby im o tym wszystkim zapomnieć. A „Dziewczę z pirackiej wyspy” dawało zapomnienie. Każdy wolał stoczyć walkę z ośmiornicą niż rozmyślać o Hitlerze.

Mimo tak alarmujących sygnałów w roku 1938 i 1939 nie chciało mi się wierzyć, aby miała wybuchnąć wojna; bądź co bądź I Wojna Światowa powinna być ludzi czegoś nauczyć. Ale okazuje się, że błędy i w tej dziedzinie, podobnie jak błędy w miłości, mało dla kogo bywają nauką.

Bardzo byłem zajęty w owych latach. Pisałem mnóstwo opowiadań i powieści, a poza tym co jakiś czas trafiała mi się jeszcze praca w Hollywood. Od Gila Flagga otrzymywałem listy, ale nie widywałem się ani z nim, ani z jego żoną. Solveig wyrosła ponad Santa Fe. Kiedy zaczęły napływać pieniądze za „Dziewczę z pirackiej wyspy”, Flaggowie zrezygnowali z pracy w „Niebiańskich Kamieniach”, zamieszkali w Connecticut. Zdaje mi się, że nawet spędzili parę tygodni w Hollywood, gdy filmowano książkę Solveig, ale w tym czasie byłem właśnie w Santa Fe.

- Tak bardzo tęsknię za Solveig - przyznała się pani Kenwick. - Była dla mnie jak córka. Wcale nie odpowiada na moje listy.

- I Solveig, i Gil są strasznie zajęci - próbowałem ich usprawiedliwiać.

- Ja też jestem zajęta, Peter, a jednak piszę do niej listy. Ona natomiast wcale nie odpisuje.

Solveig zamieszczała dużo opowiadań w rozmaitych czasopismach i muszę przyznać, że wszystkie odznaczały się pięknym stylem, choć w niektórych sam pomysł wydawał się trochę naciągany. A mimo to były zajmujące, napisane zręcznie i dowcipnie. W opowiadaniach swoich przeprowadzała najczęściej - to znaczy on przeprowadzał - ciekawe studium charakterologiczne; i tak wizyta w ogrodzie botanicznym w Port of Spain miała przede wszystkim świetną charakterystykę kierowcy taksówki; a wszyscy wiemy, jacy są kierowcy na całym świecie. Pamiętam też inne opowiadanie zatytułowane „Zielony odbłask”. Na Antylach, gdy słońce zachodzi za bezchmurny horyzont, jest taki moment, kiedy żółty blask słońca w połączeniu z niebieską barwą Morza Karaibskiego daje taki efekt zieleni, którego nie sposób zapomnieć.

Tylko że wedle tego opowiadania, podpisanego przez Solveig, horyzont o zachodzie słońca bardzo rzadko bywa tam bezchmurny. Stąd nieczęsto można zobaczyć ten cudowny odcień zieleni. I właściwie niewiele więcej treści miało to opowiadanie: tylko to, że choć taki efekt zieleni jest ogromnie rzadkim zjawiskiem, jednak warto go zobaczyć. Niewiele jak na dwa i pół tysiąca słów. Lecz autor sprytnie wywiązał się z zadania. Cała historia toczyła się wokół starszej pary będącej przejazdem na Wyspie Św. Tomasza, przy czym on niedawno przeszedł na emeryturę. Strasznie chcieli zobaczyć tę cudowną zieleń, aż było to wzruszające. Co prawda, na skutek nieporozumienia myśleli, że zobaczą kolor bursztynowy. Co wieczór o zachodzie słońca siedzieli na tarasie hotelu i cierpliwie czekali, lecz stale pojawiały się

chmury na horyzoncie. Mijał wieczór za wieczorem, a oni czekali. I nie było ani zielonego blasku, ani bursztynowego blasku.

Mimo to treść opowiadania nadal była uboga. W tym stanie rzeczy może udałoby się wydrukować je w jakimś tanim czasopiśmie: dwoje podstarzałych ludzi, którzy przez całe życie czekają na coś cudownego, choć nawet nie bardzo wiedzą, na co czekają, i nadaremnie. Ponure, zniechęcające, zbyt prawdziwe; w sam raz do antologii Edwarda J. O'Briena.

Lecz nie tak skończyło się to opowiadanie, wydrukowane zresztą w najpoczytniejszym czasopiśmie kobiecym o milionowym nakładzie. Gili Flagg dobrze pamiętał jakiego zakończenia życzyłyby sobie ciocia Minnie w Staunton w Etanie Missouri. Triumfującego. Warto jest żyć! *Vivat Homo Sapiens!* Dlatego właśnie pewnego wieczora, gdy zażywając wypoczynku starsza para siedziała na tarasie w hotelu, zniknęły wszystkie chmury. I w momencie gdy słońce zanurzało się w morzu, przepiękna zieleń zalała całą ziemię, wodę i niebo. Łzy stanęły im w oczach. A tak oto brzmiał ostatni akapit:

„To było cudowne, po prostu cudowne - westchnęła milutka starsza pani. - Powiedziano nam, że to kolor bursztynu, a to przecież zielony. Zielony jak szmaragd. No, a kolor zielony, jak się domyślacie - dodała pani Patrickowa Flaherty - jest naszym ulubionym kolorem“.

Opowiadanie to zostało wydrukowane w kilku czasopismach. Wielu Irlandczyków, zapewne, dopatrywało się w tym nawet ukrytej aluzji religijnej. Byle pisarz był sprytny i potrafił skomponować historyjkę sentymentalną, to jeżeli tylko nie przesłodzi jej zanadto, na pewno nie będzie cierpiał głodu.

„Dziecko szczęścia“, druga książka Solveig, ukazała się mniej więcej w dwa lata po pierwszej. Przyjęto ją z entuzjazmem, choć nie takim, jak „Dziewczę z pirackiej wyspy“. Nie została nagrodzona przez Klub Książki; nie została też sfilmowana. Była w czołówce bestsellerów, ale nie miała kariery tak rewelacyjnej. W Europie wybuchła wojna i ludzie interesowali się przede wszystkim tym, co tam się dzieje.

Westerny jednak nadal cieszyły się popularnością; aby podołać zapotrzebowaniu, musiałem pracować na zdwojonych obrotach. Bywały lata, że pisałem po trzy książki rocznie i jeszcze dwie dodatkowo pod pseudonimem. Wiodło mi się świetnie. Prezes mojego banku witał mnie: „Halo, Pete! Jak się masz, mój drogi?“ Wiosną roku 1940 zrezygnowałem ze swego dotychczasowego mieszkania i kupiłem dom w Santa Fe, na Camino del Monte Sol, przyjąłem też służącą i sekretarkę. Wkrótce, pewnego majowego popołudnia, urządziłem cocktail-party, żeby oblać mój dom. Nie wiem, po jakie licha - pewno żeby zaspokoić własną próżność - zaprosiłem wszystkich: zblazowanych poetów i prezesa banku, pisarzy, artystów, muzyków, dyletantów, panią Kenwick, Everetta Alcotta; naprawdę wszystkich. Nawet Royce'ow, którzy dopiero co przybyli z Brentwood; teraz, gdy Solveig wyjechała z Santa Fe, poprawił się stan serca Verna i Cleo pozwalała mu spędzać tutaj miesiące letnie.

Usposobienie Cleo wcale się nie zmieniło. Uważała, że nic na świecie nie jest tak ważne jak Ameryka, przyznawała, że Hitler, owszem, popełnił kilka błędów, ale z problemem żydowskim uwinął się bardzo zręcznie. Mnóstwo ludzi, i ja w ich liczbie, wściekało się, słysząc coś takiego; rozwinęła się ożywiona dyskusja, podsycana jeszcze alkoholem, a wtedy pani Royce ostentacyjnie opuściła przyjęcie; Vern, przystojny jak zawsze, ucisnął mi dłoń i oznajmił, że spędzili przemiły wieczór.



Około godziny wpół do dziewiątej - gdy wszyscy goście już poszli - zatrzymałem się w salonie. Był to ogromny pokój z kominkiem i belkowaniem u sufitu. Pani Baca, moja sześćdziesięcioletnia gospodyni, zbierała właśnie popielniczki, odnosząc jednocześnie kieliszki i butelki do kuchni. Nagle ogarnęła mnie chandra. Jak przyjemnie byłoby teraz, już po wszystkim, pogadać z kimś. Ja, niestety byłem sam i miałem prawie trzydzieści pięć lat; żałowałem, że nie jestem żonaty. Żałowałem, że nie mam kogoś z kim byłoby mi zawsze potem dobrze. Wyszedłem na taras; mój dom otoczony był ogrodzeniem adobe, lilie zaczynały już kwitnąć. Powietrze było ostre, niebo usiane gwiazdami. Czułem się piekielnie samotny.

Nazajutrz około dziesiątej rano w salonie zadzwonił telefon. Pracowałem właśnie w swoim gabinecie i nie wyszedłem. Wiedziałem, że panna Edmondson, moja sekretarka, na pewno odbierze. Miała pięćdziesiąt trzy lata i była wyjątkowo nieurodziwa; moim zdaniem, sekretarka powinna nasuwać myśl o maszynie do pisania, a nie o czymś zupełnie innym. Po chwili usłyszałem pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale do pana telefon, i to pilny.

W słuchawce rozległ się drżący głos Verna. Zawiadamiał mnie, że przed chwilą koń zrzucił Cleo; nie żyje, złamała kręgosłup.

Wiosna i lato, oprócz śmierci Cleo, obfitowały jeszcze w wiele innych wydarzeń, chociażby we Francji. Upadkiem Francji przejąłem się bardziej niż upadkiem Cleo. Francuzi - niech ich Bóg ma w swej opiece - wydawali mi westerny, lecz moja udręka płynęła z głębszych pobudek, nie tylko ekonomicznych. Myślałem o Voltairze, Rabelais' m, Flaubercie. Każdy człowiek cywilizowany ma, jak wiemy, dwie ojczyzny, swoją własną i Francję; no i jedna ojczyzna musiała się poddać. A potem jesienią bomby zaczęły spadać na Londyn i życie stało się już straszne. Pisałem - zbójce kradli konie i strzelali jak opętani; tylko że niewiele mnie to obchodziło. Za bardzo pochłaniały mnie wypadki na świecie...

W październiku Gil Flagg zatelefonował z Beverly Hills; rok temu sprzedali z Solveig dom w Connecticut i przenieśli się do Kalifornii. Pytał, czy nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby mnie odwiedził. Odparłem, że jak najchętniej, choćby zaraz.

- A jak się miewa Solveig?

- Puściła mnie.

- Na dobre?

- Tak, Pedro. Mieszka teraz w Reno i czeka na rozwód.

W kilka dni później po południu wybrałem się moim nowym Plymouthem do Lamy na spotkanie Gilberta Flagga.

- Pedro - zawołał - jak się cieszę, że po mnie przyjechałeś!

Nie był pijany, ale znać było, że pił, i wyglądał strasznie opuszczony. Po pierwsze, był nieogolony; po drugie miał na sobie ulubiony strój filmowców - szare flanelowe spodnie, brązową kurtkę, sportową koszulę i zniszczone zamszowe półbuty - a wszystko tak wymiętoszone, jakby co najmniej w tym spał. Ale nawet gdyby wyglądał świeżo, to i tak strój ten wcale by do niego nie pasował; żeby prezentować się jak należy, Gil powinien nosić takie spokojne zwykłe ubranie, jak nauczyciel czy lekarz. Nie miał kapelusza, a falujące niegdyś jasne włosy tak się przerzedziły, że można go było nazwać łysawym. Zamiast świetnie do niego pasujących okularów w metalowej oprawie, miał teraz, okulary w ciężkiej rogowej oprawie, typowo hollywoodzkie. Robił wrażenie młodego człowieka - właściwie młodzieńca, miał przecież dopiero trzydzieści jeden lat - który usiłował zrobić z siebie coś, co w ogóle nie wyszło.

W drodze do Santa Fe, po krótkich wstępnych powitaniach, zapytał:

- Bardzo się zdziwiłeś, że Solveig rozwodzi się ze mną?

- Mało co jest w stanie mnie zadziwić - odparłem.

- No, to posłuchaj, czy cię to jednak nie zadziwi, Pedro Wychodzi za Verna Royce'a.

- Nie?!

Patrz na drogę, Pedro, nie na mnie. Dobry kierowca nie spuszcza oka z drogi.

- Za Verna Royce'a?... Nie mogę uwierzyć.

- Nie ty jeden.

- Za Verna Royce'a? Jesteś pewien?

- Oczywiście. Sama mi to powiedziała. Vern jest teraz w Reno i tylko czeka, aż minie sześć tygodni, konieczne do uzyskania rozwodu.

- Przecież Cleo zabiła się w maju. Nie widziałem się z nim, ale byłem przekonany, że jest nadal w Santa Fe.

- O, nie. Zaraz po śmierci żony przyjechał do Kalifornii. Wiesz, że ma dom w Brentwood, a poza tym jest teraz bogatym nafciarzem. Znalazł Solveig w książce telefonicznej - nie chciała, żebyśmy figurowali jako Gilbert Flagg, tylko Solveig Skovgaard - no i zadzwonił. Zaczął przychodzić na cocktaile, a potem... no. cóż... właściwie już dawno przestałem interesować się jej życiem towarzyskim.

- Ale dlaczego za Verna? Przecież już mu chyba niedługo stuknie sześćdziesiątka.

- Grunt to forsa.

- Forsa? Zdawało mi się, że tarzaliście się w forsie, czyż nie tak?

- Słyszałeś kiedy o podatkach? Wiesz, ile kosztują stroje na Wilshire Boulevard? Albo wynajęcia domu w Beverly Hills z ogrodnikiem i czworgiem służby?

- To znaczy, że cała wasza forsa poszła?

- Nasza forsa? Nigdy nic nie było moje. Czeki były zawsze wystawione tylko na Solveig, a ona nie uznaje wspólnego konta bankowego.

- Do diabła, więc...

- Wiem, wiem. Chcesz powiedzieć, że jestem ostatnim głupcem. Sam to wiem. Głupcem to mało: skończonym idiotą! Ja pisałem, a ona zbierała forszę i wydzielała mi tylko na drobne wydatki. Nie do wiary, prawda?

- Nie do wiary.

- Tak, Pedro. Zupełny absurd.

- Dlaczego się nie zbuntowałeś?

- Czyżbyś nie słyszał nigdy o miłości?

- Może i kiedyś słyszałem.

- No, więc całkiem po prostu, kochałem ją. I teraz ją Kocham. Zawsze uważałem, że mam tyleż charakteru co każdy inny - a jednak okazało się, że nie. Moją piętą Achillesową stała się panna Skovgaard. Zakochałem się w niej, a potem ta choroba potęgowała się coraz bardziej i bardziej. Ona nigdy mnie nie kochała, to oczywiste. Po ślubie zdawało mi się, że tak, ale to była tylko gra. Matka jej, o ile wiesz, była aktorką.

- O tak, wiem.

- Wiedziałem, że jestem cholernym głupcem, a jednak nic nie potrafiłem na to poradzić. Ty nie możesz tego zrozumieć, bo nigdy nie kochałeś się w Solveig. Pozwól, że ci z tego powodu pogratuluję, Pedro.

- Dziękuję - mruknąłem.

Trudno to wyjaśnić - ciągnął dalej Gil. - Tak samo jak do dziś nie zostało wyjaśnione, co takiego miała w sobie Helena, że tysiące okrętów wyruszyło na Wojnę Trojańską. A Solveig właśnie miała w sobie to „coś”. Gotów byłbym na wszystko, byle tylko zrobić jej przyjemność. Byle utrzymać ją przy sobie. Śmiertelnie się bałem, że mnie porzuci. Więc pisałem za nią wszystko i pisałem tak, jak chciała. Straciłem całą swoją ambicję literacką, o ile kiedykolwiek ją miałem. Może przypadkiem czytałeś taki kawałek pod tytułem „Zielony odbłask“?

- Tak, czytałem.

- Pisałem to na maszynie jedną ręką, a drugą trzymałem się za nos. To jej pomysł. Dałem jej wolną rękę wiedząc, że ma doskonałe wyczucie, co podoba się publiczności. Zabawne jednak, że sama nie potrafi pisać, Pedro. Jest doskonałą poetką, choć, co prawda, już od lat nic nie

napisała. Ale te dawne wiersze są naprawdę świetne. Pamiętam takie siedem wierszy, które ukazały się w „Niebiańskich Kamieniach“, w tym czasie, kiedy ją poznałem. Czytałeś może?

- Zdaje mi się, że tak.

- Pierwszorzędne. Ale prozą pisać nie potrafi. Wie natomiast, że ja potrafię, i po pewnym czasie, zdaje się, zaczęła mnie z tego powodu nienawidzić. Jest potwornie ambitna, a ponieważ „Dziecko szczęścia“ nie miało takiego powodzenia i nie przyniosło miliona, mnie za to winiła. Strasznie pokłóciliśmy się wtedy. I świętego by to wyprowadziło z równowagi. Spytałem więc, czemu sama nie napisała, skoro uważa, że przeze mnie dostała mało pieniędzy. Odparła na to: „Właśnie zamierzam to zrobić“.

- No i co, napisała?

- Tak. Powieść. Muszę przyznać, że pracowała, i to bardzo solidnie. Dziesięć, a nawet dwanaście godzin dziennie. Po kilku miesiącach przyniosła mi maszynopis. „A więc, panie Niezastąpiony, nie jest pan jedyną sobą w tej rodzinie, która potrafi pisać“.

- I jaki był ten maszynopis? - spytałem.

- Okropny, tak okropny, że czytało się to jak parodię. Nie mogłem wprost uwierzyć swoim oczom. Ona jednak była przekonana, że zrobiła to genialnie. Kiedy zaproponowałem nieśmiało, żeby jeszcze trochę się wstrzymała z wysyłką, posądziła mnie o zazdrość. Posłała do Wally Ingersolla. On zareagował milczeniem. Przekazał natomiast Dreyspringowi. A redaktorzy Dreyspringa bynajmniej nie milczeli. Wręcz zatkało ich i aż trzy bite strony napisali o tym. Wiesz, jak to jest z wydawcami. Cenią pisarza tylko wedle jego ostatniej książki.

- Tak, wiem doskonale.

- Od tej chwili nasze małżeństwo popsuło się do reszty. Solveig zmieniła się, była nie tylko obojętna i wzgardliwa, ale zaczęła mnie nienawidzić. Albo tak mi się zdawało. Tak czy inaczej, mnie winiła za to, że odrzucono jej książkę.

- Gorsza niż piekło jest wściekłość pisarza - wtrąciłem - któremu odrzucono maszynopis.

- Tymczasem pieniędzy było coraz mniej, a wydatki rosły. Solveig zresztą ma jakiś obłądny sposób robienia zakupów. Zamiast kupić jedną parę albo sześć par pończoch, kupuje sześć tuzinów. Dwanaście, czternaście sukien. I osiem czy dziesięć kapeluszy. Licho wie, po co jej tyle. Żyje w ciągłej niepewności, która wywodzi się chyba jeszcze z dzieciństwa. Ciągłe szuka jakiejś stabilności, jakiegoś spokoju i nie może znaleźć. Nie znalazła go w sławie pisarskiej, może dlatego, że ja za nią pisałem. Nie znalazła w małżeństwie może dlatego, że mnie nie kochała. Nie znalazła w pieniądzu, ponieważ było ich za mało. Może znajdzie jako żona Verna, mając tyle szybów naftowych, ale też wątpię. Coś ją draży, powiedziałbym, coś, co wiąże się z przeszłością. Z Wyspami Karaibskimi. Może utrata palca, nie wiem. Zdaje mi się jednak, że gdzieś w głębi to najbardziej nieszczęśliwa istota na całym świecie, ze mną włącznie.

- A gdyby udała się, do psychiatry? - spytałem.

Gil uśmiechnął się. - Kiedyś jej to proponowałem.

- I nie podobał się jej ten pomysł?

- Nie - powiedział Gil - nie bardzo. Muszę ci powiedzieć, że panna Solveig Skovgaard, piękna i sławna pisarka, dostała wtedy takiego napadu, który graniczył z histerią. Byliśmy akurat w sypialni - jeszcze wówczas mieliśmy wspólną sypialnię - i zaczęła ciskać wszystkim, co jej wpadło pod rękę. Zwłaszcza butami. A miała siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt par.

Gil Flagg pozostał u mnie prawie tydzień; potem zamieszkał w tym samym gościnnym domku obok garażu pani Kenwick, w którym mieszkał już pięć lat temu, kiedy przybył do Santa Fe. Może objąłby także tę samą posesję w „Niebiańskich Kamieniach“, którą wtedy piastował, gdyby pani Kenwick nie zawiesiła publikacji swojego czasopisma na skutek konferencji, jaką odbyła z jegomościem z Urzędu Skarbowego. Urzędnik skarbowy zajął stanowisko, że „Niebiańskie Kamienie“ to tylko rozrywka i że pani Kenwick nie może domagać się, aby wydane przez nią na ten cel pieniądze mogły być zwolnione od podatku.

- Dziwny był ten młody człowiek - przekonywała mnie pani Kenwick. - Dostałam tylko zamęt w głowie od cyfr i tych wszystkich jego wywodów. Robił wrażenie, jakby zupełnie go nie obchodziły sprawy wyższego rzędu.

- Tylko wyższe dochody.

- Muszę zapłacić wstecz ogromne podatki, Pete. A poza, tym myślę, że jeżeli rząd aż tak mało dba o kulturę, to trzeba będzie zrezygnować z wydawania „Niebiańskich Kamieni“. Ale to taka przejmująca decyzja.

- Niech się pani nie zniechęca - poradziłem.

Gil Flagg zamierzał pisać powieść o swoim rodzinnym mieście w Missouri. Bez większego trudu udało mi się namówić panią Kenwick, aby zechciała go subsydiować do czasu, aż ją skończy pisać.

- Niech pani potraktuje to jako pożyczkę. Jeżeli nigdy nie zwróci, wtedy zaliczy to pani do pożyczek bezzwrotnych.

- Wspaniały pomysł, Pete. Oczywiście, że tak zrobię. Tak więc Gil przez cały rok otrzymywał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, ale ciężko mu szło z tą powieścią. Rozłąziła się. Mówił, że czasem całymi godzinami siedzi przy maszynie i nie może wystukać ani jednego słowa.

Praca twórcza ma wielu wrogów. (W tej chwili mam na myśli twórczość powieściopisarską.) Zewnętrznymi wrogami są redaktorzy, którzy nie zdążą się jeszcze zapoznać dobrze z maszynopisem, a już udzielają świątłych rad, jakie zmiany należy wprowadzić; następnie sami wydawcy, którzy skłonni byłiby skraść i prawa filmowe, i zagraniczne, i wszystkie inne, o ile pisarz nie potrafi strzec ich jak oka w głowie; graficy, którzy zdobyli edukację w nie najlepszych szkołach artystycznych; ilustratorzy uparcie pragnący wyrazić swoje surrealistyczne ciągoty, choćby nawet kosztem książki; głupi autorzy notatek reklamowych zapowiadający książkę; krytycy gotowi zaprzedać swoją prawdość, byle tylko zabłysnąć dowcipem; bibliotekarze, którzy nie lubią pseudonimów i nalegają, aby Marka Twaina umieszczać pod nazwiskiem Samuel L. Clemens; księgarze, którzy mogliby lepiej zachęcać do kupna książki, i klienci czekający, aż ukaże się w tańszym wydaniu. Wewnętrznymi wrogami pracy twórczej są: lenistwo, zamiłowanie do napojów wyskokowych, konieczność

szukania rynków zbytu, kłopoty z miłością we wszystkich jej przejawach, choroby i... kłopot chyba największy... zły warsztat.

Nawet wtedy, gdy pisarstwo można zaliczyć do sztuki, co jest zjawiskiem raczej rzadkim, i tak polega ono przede wszystkim na dobrym warsztacie. Powieść to długa narracja o losach bohatera. To nie esej, nie parabola ani traktat; to nie kazanie ani wykład; to nie rozprawa z dziedziny socjologii, biologii czy psychologii, chyba że przypadkowo; to nie poradnik techniki miłosnej; celem powieści nie jest popularyzowanie starych a pięknych słów języka rodzimego, tak aby nie poszły w zapomnienie; powieść to również nie autobiografia ani fragment czyjegoś życia, co dygoce i krwawi jeszcze na stronicach druku. Powieść to, niech mi wolno będzie powtórzyć, narracja o losach bohatera. A na to, żeby narracja była zajmująca, a losy bohatera ciekawe, trzeba naprawdę dobrego rzemiosła. Pisarz musi umieć zbudować akcję, bo inaczej nic nie potrafi wyrazić. Bohaterowie, których chce ukazać, muszą najpierw przybrać kształty w jego wyobraźni.

Po pewnym czasie zrozumiałem, dlaczego Gilbert Flagg ma takie trudności z napisaniem książki. W jego umyśle po prostu nie układała się żadna akcja. Miał materiał o wielkim i poważanym niegdyś w Missouri bankierze - który uległ pokusom amerykańskiego zmaterializowania i oportunizmowi, a potem podwinęła mu się noga i popełnił w stodole samobójstwo - ale materiał to jeszcze nie wszystko. Należy go uporządkować, przesiać, coś odrzucić, coś dodać; czasem trzeba kilku tygodni albo i miesięcy mozolnych trudów, aby wreszcie zbudować akcję jak należy. Bez akcji nie ma powieści, a bez powieści nie sposób ukazać losów bohatera.

Gil Flagg, jak się przekonałem, uważał, że zajmowanie się akcją to coś poniżej jego godności. Wielu pisarzy tak uważa. No cóż, Chaucer, Tołstoj, Balzac, Dostojewski, Flaubert, Conrad, Szekspir nie gardzili akcją. Nawet Hemingway, a także i Faulkner, którego Gil tak podziwiał. Było to jednak poniżej - a może powyżej - godności wielu pisarzy współpracujących z drobnymi czasopismami, na których zresztą Gil się wyszkolił.

Sprowadzało się to więc do jednego: Gil mógł pisać znakomicie, o ile miał o czym. Solveig Skovgaard, ze swoim egzotycznym dzieciństwem i żywą wyobraźnią, dostarczała mu mnóstwa materiału do pisania. Sam natomiast nie potrafił zbudować akcji. I nie próbował nawet uczyć się tego, tak że w rezultacie powieść jego wcale nie posuwała się naprzód. Jeżeli udało mu się napisać kilka stron, było to świetne, ale tylko jako fragment. Nie wiązało się z całością, co Gila doprowadzało do rozpacz.

Pił o wiele za dużo, przetrwał swoją rozpacz o wiele za dużo, zwłaszcza gdy po przeprowadzonym rozwodzie Solveig wyszła za Verna Royce'a.

- Obym nigdy jej nie był spotkał - mówił Gil. - Lepiej mi było siedzieć w tym handlowym czasopiśmie i w wolnych chwilach pisać wiersze i opowiadania. Na pewno byłem wtedy szczęśliwszy.

Minał rok; potem rok i dwa miesiące; powieść Gila była równie daleka od ukończenia jak w momencie, gdy wprowadził się do gościnnego domku pani Kenwick. Potem Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, a Gil pojechał do Albuquerque i zaciągnął się do piechoty morskiej.

Pearl Harbor doprowadziło mnie do wściekłości. Było to ostatnie pogwałcenie prawa w długiej liście wykroczeń, jakich dopuściła się dyktatura w stosunku do cywilizacji. Cóż oni sobie myślą, że niby kim my jesteśmy - jak powiedział Churchill.

- Pojechałem więc też do Albuquerque i próbowałem się zaciągnąć. Ale nikt mnie nie chciał. Lotnictwo, piechota morska, marynarka, armia lądowa, straż przybrzeżna - nikt. A wszystko dlatego, że chorowałem kiedyś na gruźlicę. Zdjęcia rentgenowskie ujawniły blizny w płucach i one przesądziły, że taki facet odpada. A w kilka miesięcy później, kiedy odgórnie zainteresowano się moją osobą, komisja poborowa też mnie odrzuciła. Zapewniłem ich, że jestem zdrow jak koń, wcale tego jednak nie uwzględnili. Powiedzieli, że wystarczy, abym przemoczył nogi, a gruźlica na nowo się rozwinie; potem będę tylko zajmował łóżko w szpitalu dla ex-wojskowych i do końca życia pobierał rentę inwalidzką.

Były to trudne lata, cały ten czas po zbombardowaniu Pearl Harbor. Nawet teraz, gdy patrzę wstecz, wydają mi się jakieś nierealne. Raejonowanie wszystkiego, zaciemnianie okien i to niezłomne przekonanie bijące z pierwszej strony każdej gazety, że przegramy wojnę. Do licha, wcale niełatwo było wtedy pisać książki rozrywkowe. Ale pisałem. W pracy szukałem zapomnienia. I chyba, z punktu widzenia handlowego, to, co pisałem, było dobre, bo w wielu cenionych czasopismach ukazywało się w odcinkach. Powtarzałem sobie, że to, co piszę, daje ludziom ucieczkę od okropności wojennych i stanowi mój wkład w dzieło wojny. Może i tak. Kilka moich dawnych powieści ukazało się w wydaniach dla wojska i one zamiast mnie powędrowały za morze.

Santa Fe w tych latach bardzo się zmieniło; krążyły plotki, że jakieś dziwne rzeczy, otoczone najwyższą tajemnicą, dzieją się w górach Jemez, gdzie byłem z Solveig podczas pierwszego naszego spotkania. W Los Alamos. Nikt nie wiedział, co się tam naprawdę dzieje, ale zwożono mnóstwo rozmaitego sprzętu, a na Plaża coraz to widywało się jakieś dziwne twarze. Naprawdę dziwne. Bo tak fizycy jak i poeci często bywają stuknięci.

Na początku maja w drugim roku po zbombardowaniu Pearl Harbor otrzymałem od macochy telegram z Litchfield. D. R. McCabe przeszedł zawał i stan jego zdrowia jest beznadziejny. Czy mógłbym przyjechać? Oczywiście, że mogłem i pojechałem.

W owych czasach cywil nie mógł dostać się na samolot bez uprzednich wielkich starań i licho wie czego, pojechałem więc pociągiem do Kansas City. Strasznie było tłoczno i w najlepszym razie mogłem dostać tylko górne łóżko. Ruch kolejowy już od lat zamierał, toteż ten nagły rozkwit ruchu pasażerskiego wydawał mi się jakiś nierealny, a zwłaszcza ten dworzec w Kansas City, rojący się od mundurów. Wcześniej rano wsiadłem do pociągu pospiesznego do Des Moines i przed oczami moimi zaczął się przesuwaciel sielankowy, uroczy krajobraz; tyle lat mieszkałem w suchym klimacie, że zdażyłem już zapomnieć, jak czarujący może być wiosenny poranek, gdy łąki zielenią się, nawilżane przez kręte strumyki. Zobaczyłem też krowy: nie te przekłete krowy z południowego zachodu, lecz zwykłe krowy mojego dzieciństwa, tłuste, o ciężkich wymionach, dające dużo mleka i każdej wiosny cielaka.

A więc znowu Des Moines. Stary brudny dworzec jakby przeniesiony z początku dziewiętnastego wieku. I tutaj pełno było mundurów; wszyscy ci chłopcy za miesiąc będą robili desanty na jakieś wyspy na Pacyfiku. Ale i kobiet w mundurach widziało się tutaj niemało, ponieważ odwieczne koszary kawalerii w Fort Des Moines zostały przeznaczone na obóz ćwiczebny.

Miałem wielu przyjaciół w Des Moines, nie byłem jednak w nastroju do składania wizyt; zależało mi tylko na dostaniu się do Litchfield. Kiedy usiłowałem wynająć taksówkę, spytano mnie tylko, czy nie wiem, że jest wojna. Pojechałem więc popołudniowym pociągami, poprzez ładnie pofalowany krajobraz zaoranych pól i pastwisk i tu, i ówdzie dobrze znanych drzew. Byłem na miejscu tuż po zachodzie słońca, a że zatelegrafowałem uprzednio, więc na stacji oczekiwał mnie szwagier.

Litchfield. Liczba ludności nadal wynosiła 807, mimo że przyrost był raczej wysoki, ale większość młodych ludzi po skończeniu szkoły średniej albo college'u wędrowała za pracą do innych miast. Szwagier przeprosił, że nie przyjechał samochodem - rozumiesz, benzyna tylko na przydział - niedaleko jednak było do domu, w którym spędziłem chłopięce lata; właściwie to w Litchfield nigdzie nie jest daleko. Szliśmy ze stacji pod górę, a potem ulicą gen. Granta (którą jednak wszyscy nazywali Ulicą Główną), minęliśmy sklep włókienniczy, kolonialny, a następnie „Sklep żelazny McCabe“. Wyglądał jak każdy inny sklep tej branży we wszystkich małych miasteczkach, a nie jak to ciężkie więzienie, z którego kiedyś udało mi się uciec. Minąwszy kilka przecznicy znaleźliśmy się w dzielnicy mieszkaniowej wysadzonej starymi klonami, których gałęzie splatały się ze sobą wysoko ponad ulicą; dzieci, jak zwykle w małym miasteczku pod wieczór, a szczególnie wiosną, bawiły się w rozmaite gry. Znaleźliśmy się wreszcie przy posesji D. R. McCabe'a, na której stoi okazały dom, z dużym trawnikiem od frontu, pełnym kwitnących mniszków, i równie dużym trawnikiem a także grządkami na tyłach domu. Trzeba przyznać takim małym miasteczkom jak Litchfield, że domy nie są tam nigdy stłoczone.

W drzwiach czekała moja siostra Jane i macocha. Carol Nelson McCabe była teraz starsza, znacznie starsza od tej, w której tamten uczeń zakochał się od pierwszego wejrzenia.

- Pete, jak się cieszę, że przyjechałeś. Pytał o ciebie.

- Pytał? - zdziwiłem się, bo jakoś nigdy nie potrafiłem myśleć o sobie i ojcu inaczej niż o dwóch wrogach.

- Oczywiście, że pytał. Jesteś przecież jego synem. I taki jest z ciebie dumny.

„Pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie“ - pomyślałem. Poszliśmy na górę.

D. R. McCabe skończył w kwietniu siedemdziesiąt cztery lata. Głowę miał łysą i brązową jak kasztan, ręce zniszczone, pokryte brązowymi plamami. Powinien leżeć na płask, ale, uparty jak zawsze, miał wysoko podłożoną poduszkę i prawie siedział.

- Halo, Pete! - powitał mnie.

- Halo, ojcze! Jak się czujesz?

- Można wytrzymać. Nie spodziewałem się, że przyjedziesz.

- Przyjechałem.

- Doceniam to. Naprawdę.

W taki sposób toczyła się nasza rozmowa; zawsze odczuwaliśmy wobec siebie skrępowanie, może dlatego, że byliśmy zanadto podobni.



W trzydzieści dwie godziny po moim przyjeździe zmarł we śnie.

A więc, jeżeli psychiatrzy mają rację twierdząc, że człowiek dopóty nie jest dorosły, póki żyje ojciec, to teraz byłem niewątpliwie dorosły, choć wcale nie czułem się inaczej; nie doznałem bynajmniej ulgi, wręcz przeciwnie, odczuwałem głęboki smutek. Był dobrym wrogiem, a paru dobrych wrogów zawsze się człowiekowi przydaje, ma wtedy bodźca. Bardzo możliwe, że właśnie ojcu zawdzięczałem swoje sukcesy, jeśli można to tak nazwać: jego ciągła opozycja zachęcała mnie zawsze do extra wysiłku.

Po pogrzebie zostałem jeszcze prawie tydzień w Litchfield, żeby macocha nie czuła się taka samotna. Któregoś wieczoru zadałem jej impertynenckie pytanie: dlaczego w ogóle wyszła za D. R. McCabe'a? Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Ależ, Pete, wyszłam za niego, bo go kochałam. Jakby mogło być inaczej?

- Po prostu zastanawiałem się nad tym. Miała mama dwadzieścia dziewięć lat, a on pięćdziesiąt, toteż po prostu byłem ciekaw.

- Bardzo go kochałam, Pete. Od pierwszego wejrzenia. To był najlepszy i najszlachetniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam.

- Och, więc to tak.

- A ty myślałeś inaczej, Pete?

- Dla mamy był pewnie taki i dla Jane. Na mnie jednak nigdy mu nie zależało.

- Był zwariowany na twoim punkcie, Pete.

Na twarzy mojej musiał się odbić wyraz niedowierzania.

- Kochał cię i był naprawdę z ciebie dumny - ciągnęła dalej. - Kupował wszystkie czasopisma, w których drukowano twoje opowiadania. Pamiętam szczególnie jedno, o tym człowieku, co miał sklep żelazny w małym miasteczku, i o jego synu. Były między nimi jakieś nieporozumienia, ale wszystko się dobrze skończyło. Łzy spływały mu po twarzy, gdy to czytał.

- Ale przecież był przeciwny temu, żebym pisał. Nawet nie chciał mnie posłać na studia.

- Pete, czy wiesz dużo o życiu swojego ojca, zwłaszcza w młodości?

- Bardzo mało. Nie miał zwyczaju o sobie opowiadać.

- Tak, nie opowiadał dużo. Był niesłychanie nieśmiały. Wiesz jednak, że urodził się w Galesburg w stanie Illinois, w roku 1869, i że ojciec jego brał udział w Wojnie Domowej.

- Tak, maszerował zwykle w pochodzie synów weteranów w Święto Poległych.

- A czy wiesz, że ojciec jego wykładał historię na Knox College?

- Może i wspominał o tym. Nie pamiętam.

- I że nazywał się Pete McCabe, a ty po nim otrzymałeś imię?

- Pewno słyszałem o tym, ale nie pamiętam.

- Tak jednak było. Ów Pete McCabe zmarł w roku 1882. Ojciec twój, najstarszy z pięciorga dzieci, miał wtedy trzynaście lat, a ubezpieczenia dostali tyle co nic. Chciał uczyć się, by potem pójść na uniwersytet, lecz w tej sytuacji nie miał żadnych możliwości, zaczął więc pracować w sklepie żelaznym w Galesburgu. Mówił mi, że nienawidził tej pracy. A gdy doszedł już do wieku, kiedy powinien by zacząć studia, z goryczą patrzył na młodych, szczęśliwych i beztrudnych studentów. Z czasem zaczął ich nienawidzić, a potem nienawiść swoją przeniósł w ogóle na wyższe wykształcenie. Wiesz dobrze, że nienawiść to miłość, tylko że odwrócona. Marzył o studiach i o tym, żeby pisać, musiał jednak stłumić w sobie te marzenia i zmusić się do handlu artykułami żelaznymi.

- Mój ojciec chciał być pisarzem?

- Tak, chciał pisać. Długie lata trwało, zanim mi to powiedział. Przyznał się nawet, że po nocach pisywał wiersze i opowiadania, ale wstydził się przed samym sobą i zaraz darł je na strzępy. Mając lat dwadzieścia jeden otrzymał posadę komiwojażera w hurtowni artykułów żelaznych. Dostawał dobrą prowizję, tak że nawet zaoszczędził trochę pieniędzy, ale możesz sobie wyobrazić, ile kosztowała go ta praca, przy jego nieśmiałości. Mówił, że nieraz długo chodził przed sklepem, nim wreszcie zebrał się na odwagę, by wejść do środka.

Kiedy miał dwadzieścia siedem lat, otworzył sklep tutaj, w Litchfield. Zaoszczędził na to trochę pieniędzy, a hurtownia dała mu poparcie. Pracował ciężko i jakoś mu się powiodło. Skończywszy trzydzieści jeden lat ożenił się z twoją matką i już prawie zapomniał, że kiedykolwiek marzył o pisaniu. Tylko nienawiść do wyższego wykształcenia i wszystkiego, co się z tym wiąże, nadal w nim tkwiła. Więc kiedy ty zacząłeś pisać i jeszcze na dodatek chciałeś studiować, całą swoją gorycz wylał na ciebie.

- Bardzo był dla mnie surowy - wtrąciłem.

- Tak, tu popełnił wielki błąd. I nie tylko ten jeden. Był nieśmiały, uparty i zawzięty, ale jednocześnie dobry i szlachetny. W każdym człowieku są takie sprzeczności.

Podobno wszystko zrozumieć, to wszystko wybaczyć. Możliwe. Na to jednak trzeba widać być lepszym niż ja; nie mogłem ojcu przebaczyć. Ale na pewno po tej rozmowie z macochą zacząłem trochę cieplej o nim myśleć. A nawet w stosunku do samego siebie poczułem się lepiej. Przypomniałem sobie, że kupił mi rower na Boże Narodzenia elektryczną kolejkę i że kupował mi zawsze porządne ubrania; nigdy nie musiałem nosić kombinezonu do szkoły, jak inne dzieci z Litchfield. A jeżeli pracowałem u niego w sklepie, płacił mi hojnie; zresztą zawsze miałem kieszonkowe.

Tego wieczoru wybrałem się na przechadzkę po Litchfield; siedłem koło domu, w którym mieszkali dziadkowie (już dawno nie żyli, a dom został sprzedany jakiemuś byłemu farmerowi), potem koło domu, w którym mieszkała moja siostra ze szwagrem; szwagier pracował u ojca w sklepie, a teraz miał go dalej prowadzić pod tą samą firmą. A więc sklep z artykułami żelaznymi McCabe'a będzie istniał w Litchfield. Wreszcie znalazłem się koło sklepu ojca, na Ulicy Głównej.

Zacząłem się zastanawiać, czy gdybym to ja był ojcem, a on moim synem, postępowałbym tak samo w stosunku do niego, jak on do mnie. Nie sądzę. Ale może. Ludzie - jak wiadomo - są dziwni. Wszyscy twierdzili zawsze, że byliśmy ogromnie do siebie podobni. W każdym razie ze zdziwieniem odkryłem, że płomień żalu, jaki żywiłem do ojca, całkiem wygasł i nawet rozwiały się gdzieś popioły. A więc przestałem nienawidzić ojca. Może psychiatrzy mają jednak rację, bo przecież nienawiść to uczucie zdecydowanie infantylne; im więcej pozbędziesz się nienawiści, tym doroślejszy się stajesz.

W mojej głowie zaczęła się formować opowieść o rancherze i synu, o konflikcie między nimi i o tym, jak w końcu nienawiść przeradza się w miłość. Powieść na ten temat napisałem w rok później pod tytułem „Serca, które łamiemy“. Cały nakład rozszedł się błyskawicznie; nazwano ją głęboko ludzkim westernem i doczekałem się wielu wydań; nawet film kupił ją za ciężkie pieniądze i zaangażował mnie do pisania scenariusza. A kiedy film został już zrealizowany, o mało nie zdobył Oscara. Wszystko to jednak należy do przyszłości, toteż wróćmy do wieczoru, kiedy to odbywałem przechadzkę po Litchfield.

Po powrocie do domu macocha powiedziała mi, że był do mnie zamiejskowy telefon. Zadzwoiłem więc do centrali telefonicznej. Otrzymałem po chwili połączenie, ale prawie nic nie było słychać. Wreszcie poznałem głos pani Kenwick.

- Pete? To ty?

- Tak, to ja.

- Chciałam ci powiedzieć o Gilbertcie Flaggu.

Rozległy się straszne trzaski.

- Nic nie słyszę! - krzyknąłem.

- Właśnie dowiedziałam się od siostry Gilberta z Missouri. Poniósł... Znowu trzaski.

- Co poniósł? Nie słyszę. Co się z nim dzieje? Nagle rozległ się wyraźny głos:

- Poniósł najwyższą ofiarę, Pete.

- Jaką?

- Zginął, Pete. Na jednej z tych wysp na Pacyfiku.

- Ale... ale... kiedy?

Tak jakby robiło to jakąkolwiek różnicę.

- Nie znam szczegółów, Pete. Jego siostra telefonowała do mnie z Missouri. „Właśnie otrzymała zawiadomienie urzędowe. Zadzwoiła dlatego, że Gilbert ją prosił, aby, w razie gdyby poniósł najwyższą ofiarę, powiadomiła ciebie i mnie. Powiedział jej, że jesteśmy jego najlepszymi przyjaciółmi. Sądzisz, że powinnam zadzwonić do Solveig do Kalifornii?

- Nie.

- A może powinnam, Pete? Mimo wszystko byli kiedyś małżeństwem.

Nie - odparłem. - Jeszcze czego. Można z tym poczekać.

- Cała ta historia - ciągnęła pani Kenwick - jest strasznie przejmująca. Wiem, że dziś w nocy oka nie zmrużę. Był takim obiecującym pisarzem. Nie sądzisz, że to bardzo przejmujące?

- Tak - powiedziałem - ma pani rację. Bardzo przejmujące.

## Rozdział 11

Aż wstyd mi się przyznać, ile pieniędzy zarobiłem w latach czterdziestych, więc nie będę się przyznawał. Lepszy pisarz ode mnie, dużo, dużo lepszy, przymierali głodem - tak zresztą zwykle bywa - lecz Pete McCabe miał już ustaloną markę i chyba w całym kraju nie było drugostoru, w którym nie sprzedawano by moich książek w broszurowym wydaniu. Oba pseudonimy, jakimi się posługiwałem, też zdobyły rozgłos i nawet parę osób powiedziało mi, że pod pseudonimem piszę lepsze książki niż pod prawdziwym nazwiskiem. Po wojnie zacząłem dyktować tekst od razu na maszynę i dorobiłem się już dwóch sekretarek. Najważniejsze to trzymać się zasadniczego wzoru. Miałem kilka podstawowych wątków, którymi posługiwałem się kolejno, zmieniając tylko nazwiska bohaterów, miejsce i szczegóły akcji. Tego zresztą chcieli ode mnie czytelnicy; ich umysły - z przykrością muszę to wyznać - były na poziomie dzieci, zwłaszcza przy czytaniu tego rodzaju beletrystyki. A wszyscy wiedzą, do jakiej wściekłości można doprowadzić dziecko, jeżeli zmieni się podstawowy wątek jakiejś bajki, powiedzmy, „O Czerwonym Kapturku“. Jeśli ktoś nie wierzy, niechaj kiedy spróbuje; na przykład, że wilk jest stworzeniem pocziwym i wcale nie ma zamiaru zjadać dziewczynki.

Czasami, gdy miałem już dość wałkowania wiecznie tych samych starych banialuków, przerywałem pracę i jechałem na wypoczynek do Hollywood, i mimo że czasy, jak powszechnie uważano, były ciężkie, często mój tygodniowy zarobek przekraczał wtedy roczny zarobek niejednego. Płaciłem, oczywiście, szalone podatki, ale nie narzekałem sobie, doszedłem bowiem do wniosku, że jeżeli Stany nie będą wydawały tyle forsy, aby wygrać tę wojnę i zabezpieczyć się przed następną, to może się skończyć na tym, że nie będzie Stanów takich, do jakich przywykliśmy, a ja będę tyrał w przymusowym obozie pracy pod władzą jakiegoś dyktatora, zamiast pisać opowiadania o Dzikim Zachodzie. Innymi słowy, wszystko, co dobre dla USA, było też dobre dla Pete McCabe'a.

Ale czy bogactwo dawało mi szczęście? Oczywiście, dawało. Wcale nie miałem ochoty jeździć ciężarówką, a w wolnych chwilach zajmować się literaturą przez duże L. A jak się układało moje życie osobiste? Z tym było trochę gorzej. Nadal byłem samotny i właściwie nie cierpiałem takiego życia. Zapewne wszyscy znają mnie już na tyle, aby wiedzieć, że nie zaniedbywałem życia erotycznego, ale nie ma sensu w te sprawy się zagłębiać. To nie były sprawy ważne. Wydaje mi się, że pisarz ma prawo całować się i pisać o tym tylko wtedy, gdy te pocałunki zostawiają blizny na jego psyche, tak jak na mojej zostawiły pocałunki Solveig. Gdyby można było prześwietlić rentgenem moją psyche, blizny te zarysowałyby się wyraźnie. Były jednak, w moim przekonaniu, zupełnie zaleczone.

Tymczasem na podstawie badań Instytutu Gallupa w 1948 wynikało, że prezydentem zostanie Thomas Dewey. Ludzie w rodzaju Cleo Royce, których najbardziej niepokoił łagodny liberalizm, wybrali McCarthy'ego na senatora z Wisconsin, a ludzie o dziecięcych umysłach, ci właśnie, co kupowali moje westerny, wykrzykiwali „I like Ike“. Tak więc w 1952 roku USA odtrąciły szansę wyboru wielkiego człowieka. Wkrótce potem poznałem Eloise Crawford.

Eloise Crawford całkiem mnie omotała, a właściwie omotało mnie uczucie, jakie we mnie wzbudziła. Spotkałem ją na cocktail-party u jakichś znajomych pód Santa Fe. Okazało się, że jest wspaniałą matematyczką. Miała dopiero dwadzieścia siedem lat, a już zrobiła doktorat i pracowała nad jakimś wynalazkiem w Los Alamos; nie pytajcie, nad jakim, bo nawet gdyby to nie było supertajne i poufne, to i tak nie zdołałbym tego zrozumieć; dla mnie z matematyką zawsze było tak, jakby za wysokim ogrodzeniem grali w baseball, przy którym panuje mnóstwo podniecenia, a ja stoję na zewnątrz i zupełnie nie pojmuję, o co chodzi; do dziś liczę na palcach. W każdym razie Eloise Crawford wzbudziła we mnie zainteresowanie. W kilka dni później zaprosiłem ją na obiad, nie odmówiła.

Mieszkała w Los Alamos, a w owych czasach Wzgórze - bo tak w Santa Fe nazywano wtedy Los Alamos - stanowiło teren zamknięty; niemało trudności musiałem więc pokonać, aby się dostać do środka.

- Ma pan jakieś sprawy urzędowe w Los Alamos? - spytał mnie urzędnik federalny przy bramie.

- Nie, tylko sercowe.

Nie rozumiał; urzędnicy federalni na ogół nie grzeszą poczuciem humoru. Chyba zrodziło się w nim podejrzenie, że ma przed sobą wywrotowca. Byłem już wtedy dobrze znany w całym Santa Fe, poręczyli więc za mnie gubernator stanu i jeszcze parę innych osób, no i wreszcie dostałem przepustkę. Działo się to w maju 1953 roku. Miałem wtedy Jaguara, uznałem bowiem, że należy mi się muszę spędzać na dyktowaniu przeróżnych historyjek o rosłych śmiałkach w skórzanych ubraniach, którzy, błyskawicznie chwytając za broń, rozsiewają kule po stronicach najwytworniejszych czasopism.

Zmieniło się trochę Los Alamos od owego popołudnia, gdy byłem tu z Solveig wiele lat temu moim starym Plymouthem i zagotowała mi, się woda w chłodnicy. Po pierwsze, naprawiono drogę, co prawda można by to zrobić lepiej, ale tak już jest, że rząd łatwiej przeznacza biliony na odkrycie nowego sposobu wysyłania nas na tamten świat, aniżeli niewielkie sumy na polepszenie dróg, budowę szpitali, szkół czy bibliotek. Los Alamos robiło teraz wrażenie luksusowego więzienia; dokoła rozciągał się wysoki mur, a przy bramie stała warta; młodzi mężczyźni w mundurach Komisji Energii Atomowej sprawdzali dokumenty przy wchodzeniu i wychodzeniu. W środku, w dużych odstępach, stały budynki, z których każdy z osobna otoczony był swoim murem i przy każdym znowu „stała straż, całkiem jak w powieści fantastyczno-naukowej. Tu i ówdzie widniały napisy informujące, kiedy zbiera się Rotary Club albo Lions Club, a także napisy zachęcające do odwiedzania kościołów w Los Alamos. Dość niesamowity był widok tego czternastotysięcznego miasta położonego wysoko w górach, dzielącego swoją energię pomiędzy badanie przedziwnych tajemnic atomowych, dobroczynną działalność rotarianów i czczenie Jehowy.

Eloise Crawford mieszkała na parterze jednego z wielu dwupiętrowych budynków, które przypominały koszary. Płaciło się tam nieduże komorne, bo rząd miał ojcowski stosunek do

swoich ludzi. Eloise jednak przyjemnie sobie urządziła mieszkanie. Miała dużo książek, wTspaniałe radio, a na ścianie portret Einsteina.

- Halo, Pete. Proszę, rozgość się, ja zaraz skończę się ubierać. Długo dziś siedziałam w laboratorium.

Była w szlafroku. Zniknęła z pokoju i po chwili usłyszałem odgłos prysznicu. Przeglądałem tymczasem, czasopisma „Harper’s“, „The Atlantic“ i „The Reporter“, żeby wzbogacić trochę swoją wiedzę, która niewątpliwie bardzo tego łaknęła. Eloise wróciła w szarym kostiumie, niebieskim sweterku pod szyję i w czarnych lakierkach.

Była tak inna od Solveig, jak tylko można sobie wyobrazić: średniego wzrostu, miała fioletowe oczy i czarne proste włosy, które wiązała w koński ogon. Figura jej nie budziła wątpliwości, że jest kobietą, lecz kobiecość ta nie rzucała się w oczy tak jak u Solveig; miała wszystko, co trzeba i gdzie trzeba, ale nie od razu zwracało się na to uwagę. Można było poczekać, nie myśleć bez przerwy o tych sprawach. Twarz miała ani ładną, ani piękną, mnie jednak wydała się pociągająca i bardzo inteligentna. Malowała tylko usta.

- Dokąd pojedziemy? - spytała.

- Gdzie sobie życzysz.

- No to jedźmy do Santa Fe. Wiesz, Pete, ciekawa rzecz, ale jak tylko skończę pracę, to mam ochotę stąd uciekać. To chyba nerwowa reakcja. Tak się tutaj człowiek czuje, jakby żył w powieści Raya Bradbury’ego.

Chciałbym powiedzieć coś o jej głosie, ale musiałby to zrobić pisarz o wiele lepszy ode mnie. Był głęboki i mocny jak głos solistki zespołu jazzowego, i od razu wyczuwało się w nim inteligencję. Może trochę za ostry, ale w sposób przyjemny, jak głos drozda w letni ranek, ostrzegający, by nie zbliżać się do gniazda.

Znowu sprawdzono nam dokumenty w bramie, po czym ruszyliśmy krętą, wijącą się drogą w dół. Przed nami migotały światła Santa Fe odległego prawie o czterdzieści mil, a zdawały się tak bliskie, że prawie w zasięgu ręki.

Eloise była córką profesora socjologii na jednym z najlepszych uniwersytetów kalifornijskich. Rodzice jej byli na tyle spostrzegawczy, że zauważyli jej fantastyczne zdolności do matematyki, a jednak wykazali dość zdrowego rozsądku, by nie pozwolić jej na przeskakiwanie klas, tak że nie straciła kontaktu z rówieśnikami, co często zdarza się cudownym dzieciom. Na uniwersytecie specjalizowała się w matematyce, ale chodziła też na wykłady z fizyki i pracę naukową - miała stypendium na uniwersytecie w Chicago - pisała właśnie z fizyki. Nie bardzo znam się na tych rzeczach, wydaje mi się jednak, że nie była fizykiem eksperymentalnym, tylko teoretycznym. Nie spędzała czasu przy maszynach Rube Goldberga zmuszając do wybuchu coś, co nie chce wybuchnąć; pracowała przy rozwiązywaniu działań matematycznych, które stanowiły wytyczne dla fizyków eksperymentalnych. Moje wywody może nie są zbyt dokładne, bo, jak już powiedziałem, gubię się przy najprostszym dzieleniu. Na studiach zajmowałem się naukami ścisłymi tylko o tyle, o ile to było konieczne, ale myślę, że wiadomości te wystarczą na moje potrzeby.

Pojechaliśmy do „La Fondy“, piliśmy bourbon w tym samym barze, w którym siedziałem z Solveig owego wieczoru, gdy kupiłem obraz od Everetta Alcotta. Teraz jednak Everett nie

zjawił się z obrazami pod pachą; przed kilku laty zmarł na zapalenie płuc. Czasy się zmieniają, a my się starzejemy; no cóż, przekroczyłem już czterdziestkę, właściwie dobiegałem pięćdziesiątki. Przechodząc do restauracji zerknąłem po drodze w lustro; wyglądałem wcale nie najmłódziej. Najwyższy czas ożenić się i ustabilizować życie, o ile w ogóle mam taki zamiar.

- Wiesz co, Pete - odezwała się Eloise, jak zamówiliśmy obiad - ja chyba nie czytałam ani jednej twojej książki.

- Nie dużo straciłaś. A jak się zastanowić, to żadna z twoich bomb też mnie jakoś do tej pory nie wysadziła w powietrze.

- Tam na Wzgórzu czytamy najczęściej literaturę fantastyczno-naukową. Czasami nawet dostarcza nam wspaniałych pomysłów.

- Tak jak policja czyta zawsze czasopisma detektywistyczne. - powiedziałem - ja zaś najbardziej entuzjastyczne listy otrzymuję od prawdziwych kowbojów. Jednym z celów sztuki - wybaczyć to określenie - jest wykazanie, że życie ma swój sens, dzięki czemu o wiele łatwiej je znosić.

- A ty tak nie uważasz?

- Nie, a ty?

- Sens życia polega na jego ciągłości - odparła. - Ale to, oczywiście, jest tylko hipoteza. Celem życia jest wytwarzanie następnego życia, i potem znowu następnego. Wszystko inne to nieprzenikniona ciemność.

- A twoim celem w Los Alamos - wtrąciłem - jest wytwarzanie śmierci.

- Niezupełnie, Pete. Celem naukowca, jak mówił Arystoteles, jest zgłębienie nieznanych tajemnic wiedzy. Mówiąc ściślej, naukowiec niewiele przejmuje się tym, jak zostanie wykorzystany. Jego wynalazek - to znaczy, praktycznie wykorzystany, jak powiedzieliby ludzie interesu. Natomiast jako człowiek wykazuje ogromne zainteresowanie losami swojego wynalazku. Przeżywa nawet chwile załamania.

Taką rozmowę prowadziliśmy przy obiedzie. Moje spotkania z panią Gonzales zdawały się już należeć do dawno minionej przeszłości.

Po obiedzie spytałem Eloise, czy nie chciałaby zobaczyć mojego domu.

- Bardzo chętnie.

A więc wszystko odbywało się, jak należy.

Wspomniałem już, że mieszkam w starym domu adobe. Został, co prawda, przerobiony, ale nadal zachował swój styl, co stanowiło interesujące zjawisko dla znawców nowomeksykańskiej sztuki. Eloise była właśnie takim znawcą, więc oprowadziłem ją po całym domu.

- Bardzo przyjemnie się urządziłeś - powiedziała, kiedy wróciliśmy do salonu. - A może byśmy teraz posłuchali płyty? Lubisz jazz?

- Bardzo.

- Ja też, ale tylko nowoorleański. Uważam, że Memphis i Chicago zajmują drugie, a nawet trzecie miejsce.

Jej ocena dokładnie zgadzała się z moją. Przez całą godzinę słuchaliśmy, grzmiących puzonów, szaleńczych dźwięków klarnetów i melancholijnych tonów, jakie dobywały z siebie saksofony, grając stare przeboje. Piliśmy też bourbon. Dziwne, ale coś mnie ciągnęło do tej matematycznej czarodziejki. Właściwie nie mógłbym nawet powiedzieć co. Inez Turner i Solveig Skovgaard były niby te jasne płomienie, ja zaś ofiara czuła na ich blaski. Ta dziewczyna zaś... Może tu już przesadzam... była jakimś ciemnym płomieniem. Była jak noc księżycowa, pełna matematycznych równań i tajemniczych labiryntów. Zaczęliśmy tańczyć.

A potem nadszedł moment, odpowiedni, aby podnieść igłę z płyty i zgasić światło. Podniosłem więc igłę, a wtedy Eloise powiedziała:

- Pete, porozmawiajmy chwilę.- Chciałbyś się teraz ze mną położyć?

- O niczym innym nie marzę.

- Proszę cię, nie róbmy tego.

- No cóż, trudno.

Usiadła i zapaliła papierosa.

- Ja też może miałabym ochotę, ale potem sprawy się tak komplikują, prawda?

- No tak, rzeczywiście się komplikują.

- Widzisz, Pete, miałam już kiedyś romans, jeszcze na studiach. On był profesorem i traktowaliśmy całą sprawę okropnie nowocześnie. Potem jednak wszystko się skomplikowało. Był żonaty i miał dzieci. Ja się zakochałam. Nie była to zręczna sytuacja. Należy już zresztą do przeszłości. Teraz wołałabym unikać wszystkiego, co może stwarzać takie komplikacje.

- No cóż, dobrze.

- Ale chętnie bym się jeszcze napiła.

Więc napełniłem szklanki, po czym znów zaczęliśmy tańczyć. A kiedy płyta się skończyła, podniosłem igłę. I nie wiercie, jeśli ktoś wam powie, że cierpliwość nie popłaca, tak nie jest. Tym razem Eloise nie mówiła już o komplikacjach, gdy zgasiłem światło. A sprawa naprawdę się skomplikowała.

Aż sam byłem zdumiony. Nagle, całkiem bezwiednie, powiedziałem:

- Eloise, wiesz co, stała się rzecz straszna. Zakochałem się w tobie.



- Naprawdę, Pete?

- Tak, sam nie wiem kiedy, ale się zakochałem. A może się pobierzmy?

- Nad tym trzeba by się namyślić - odparła.

Przez kilka następnych tygodni ja nalegałem, a Eloise myślała; aż wreszcie na początku lipca pojechaliśmy do Albuquerque i tam odbył się nasz ślub. Małżeństwo traktowaliśmy bardzo serio; pod koniec lata Eloise zrezygnowała z pracy, ponieważ spodziewała się dziecka, i zajęła się domem na Camino del Monte Sol. Czy byłem szczęśliwy? Też pytanie! Nie wyobrażałem sobie, że człowiek może być aż tak szczęśliwy...

Mógłbym pisać o naszym szczęściu jeszcze przez parę stron, ale to nie ma sensu, bo- kto zaznał szczęścia w małżeństwie, ten wie, jak to jest, a kto nie zaznał, i tak mi nie uwierzy. Powiem tylko, że było świetnie, wspaniale, pierwszorzędnie, jak zwykliśmy mówić w Litchfield, w 1922 roku.

Byliśmy bogaci. Znają mnie już wszyscy z tego, że nigdy nie lubiłem trwonić pieniędzy ani na wyścigi konne, ani na dziewczynki, a do tego jeszcze nazwisko Pete McCabe'a i jego pseudonimy coraz częściej pojawiały się na okładkach. Tej jesieni jeden z moich westernów ukazujący się w odcinkach został wydrukowany w nie notowanej dotąd ilości czasopism. Zakupiła go też poważna wytwórnia filmowa, która zamierzała zrobić na jego podstawie najbardziej fantastyczny film o Dzikim Zachodzie, jaki kiedykolwiek ukazał się na ekranach. Chcieli, żebym przyjechał do Hollywood zaraz po Nowym Roku i pomógł napisać scenariusz. A suma, jaką oferowali za moje usługi, była niebagatelna.

- Nie lubię Los Angeles - powiedziała Eloise na początku stycznia. - Pojedź sam, zrób, co masz do zrobienia, i wracaj.

- Przecież to całkiem przyjemne miasto - usiłowałem ją przekonać. - Bardzo przypomina Des Moines.

- Tak mi się zdaje, że i Des Moines by mi się nie podobało. W każdym razie wiem. na pewno, że nie podoba mi się Los Angeles. Niedobry tam klimat dla intelektualistów. Gdyby się dowiedzieli, że jestem naukowcem, pewno wtrąciliby mnie do więzienia jako wywrotowca.

Może i miała rację, był to przecież rok 1954 i panoszył się maccarthyzm.

- Zostanę tutaj i zajmę się tworzeniem mojego małego paskudztwa, a ty jedź i twórz superpaskudztwo.

Wylądowałem na lotnisku Los Angeles w połowie stycznia, a jazda taksówką do „Beverly Hills Hotel“ zajęła mi prawie tyle czasu, co lot samolotem z Albuquerque. Los Angeles bardzo się zmieniło, i to na gorsze; wcale już nie przypominało mi Des Moines. Gęsty smog przesłaniał widoczność gór, a woń oceanu, do którego ojcowie miasta skierowali wydzielinę paru milionów mieszkańców, była zupełnie koszmarna. Na ulicach panował niesamowity ruch, zatłoczone były autami z Oklahomy i Arkansas, których właściciele dorobili się w przemyśle samolotowym. Dzielnice mieszkalne wyglądały monotannie; ciasno stłoczone

domki w kształcie pudełek stały na małych parcelach, które tak pociachali kalifornijscy sprzedawcy nieruchomości. W czasopiśmie czytywało się takich pisarzy, jak Westbrook Pegler i Fulton Lewis Jr., natomiast autorzy artykułów wstępnych z całym entuzjazmem wspierali antyintelektualną politykę Eisenhowera; właściwie powinienem lubić Ike'a, bo chodziły słuchy, że czytuje westerny w przerwach między brydżem a golfem.

Pisanie scenariusza przebiegało normalnym trybem. Moi koledzy co chwila wpadali w entuzjastyczny zapał, każdy pomysł wydawał im się wspaniały, świeży i nowy; ale najczęściej okazywało się, że to trochę zmodyfikowany chwyt z któregoś z moich opowiadań z 1934 roku. Żeby znaleźć jakieś natchnienie, połowę czasu spędzaliśmy w kabinie projekcyjnej oglądając westerny z ubiegłego ćwierćwiecza. Nowatorstwo jest szalenie ważne dla filmu, tak samo zresztą dla czasopism, bo kiedy nie można wymieniać poglądów, a nie ma się ochoty czerpać z nieograniczonego skarbcza charakterów ludzkich, wtedy pozostaje tylko starać się o jakiś pseudonowy trick akcji. Do Eloise dzwoniłem prawie co wieczór.

Zbliżałem się już do końca z pisaniem scenariusza, gdy zjawił się u mnie młody człowiek z działu reklamy z zaproszeniem z Niezrównanej Szkoły Twórczego Pisarstwa, abym wygłosił referat.

Zdaje mi się, że w szkole tej co tydzień produkował się na rzecz studentów jakiś sławny autor; ja miałem wygłosić referat na temat „Westerny stare i nowe”. Oczywiście odmówiłem. Nie cierpię tak zwanych „przyszłych pisarzy”. Jednakże ów młodzieniec - najwyraźniej usiłujący wykazać się w swoim dziale - prosił, żebym to zrobił jako „ogromną uprzejmość dla niego”. Oznajmił, że szczerze wierzy, iż byłoby to naprawdę pożyteczne dla filmu, który ma być wyświetlony, gdybym w Studio City wygłosił zwyczajny, bezpośredni, szczery referat o tym, jak się pisze westerny.

- Jestem szczerym człowiekiem - powiedział - i szczerze ufam, że byłoby to pożyteczne i dla pana, i dla filmu, i dla mnie, gdyby zechciał pan podzielić się z tymi młodymi ludźmi swoim doświadczeniem, w jaki sposób, pisząc doskonałe westerny, można najszybciej zdobyć sławę i pieniądze.

- No dobrze, pojedę. Ale nie mam auta, więc musi mnie pan tam podwieźć.

Skwapliwie wyraził zgodę.

Wieczorem tego dnia, gdy skończyłem pisać scenariusz, ów młody człowiek zjawił się po mnie w hotelu. Przejechawszy góry Santa Monica znaleźliśmy się w dolinie San Fernando, która ubiega się o palmę pierwszeństwa wśród najniższych położonych dolin w rejonie Los Angeles. Szkoła mieściła się na jakiejś bocznej ulicy od Ventura Boulevard, w murowanym budynku. Dyrektor czy też przewodniczący, nie wiem, kto zacy, potrząsnął mi rękę, po czym wyznał, że najbardziej podobała mu się moja książka „Destry znowu galopuje” - której autorem, jak wszystkim wiadomo, był biedny Max Brand, poległy we Włoszech jako korespondent wojenny - a następnie wręczył mi folder, w którym wymienione były wszystkie przedmioty wykładane w tej szkole. Powiedziałbym, że program był aż nadto wypełniony i obejmował między innymi kurs pisania opowiadań dla początkujących i dla zaawansowanych; poza tym można było się uczyć, jak pisać artykuły, powieść literacką, powieść popularno-literacką i tylko popularną, a także kryminały i westerny. Uczono nawet, jak pisać poezję. Niezrównana Szkoła najwyraźniej nie uwzględniała nawet takiego nonsensu jak to, że sztuka pisarska jest wyłącznie udziałem samouków.

O godzinie ósmej wprowadzono mnie do dużego audytorium, gdzie siedziało już co najmniej dwustu poważnych studentów w wieku lat osiemnastu, trzydziestu trzech, czterdziestu dziewięciu i siedemdziesięciu trzech czekając z podniesionym ołówkiem, że może niebacznie zdradzę sekret, jak zdobywa się sukcesy w pisarstwie. Niebacznie, bo wszyscy przyszli pisarze są przekonani, że kryje się za tym jakaś sztuczka; że pisarze zawodowi trzymają ją w sekrecie bojąc się współzawodnictwa albo też po prostu przez zwykły upór. A kiedy uda im się jakoś podpatrzeć tę sztuczkę, wtedy i oni potrafią płodzić powieści jedna za drugą i forsy będą mieli w bród.

Nie jestem dobrym mówcą, ponieważ żaden dobry mówca nie zdradził mi sekretu, jak jednym prostym wykładem można by oczarować słuchaczy. Mam brzydki zwyczaj stania z rękami w kieszeniach i patrzenia w sufit. Kiedy patrzę na audytorium, ogarnia mnie panika. W tym przypadku wystarczyło mi jedno spojrzenie. Słuchacze rekrutowali się głównie z młodzieńców, żyjących najwyraźniej w niezgodzie z fryzjerem, łysych starych emerytów (byłych pracowników towarzystw usługowych) i starszych pań, które wyglądały jak wypisz-wymaluj „Córy Rewolucji“ z obrazu Grant Wooda.

Powiedziałem im, że w westernie musi być niezliczona ilość krów, parę wiernych koni, a także strome wzgórza, płaskowyże o urwistych stokach, parowy i szalasy, jeden krzepki bohater, jeden szwarc-charakter i... dła większego napięcia... dwie dziewczyny. Jedna w sam raz dla bohatera, druga natomiast nie. On jednak waha się, którą wybrać. Ku zdenerwowaniu czytelnika, już prawie dokonuje niewłaściwego wyboru - w jakiś głupi sposób dał się odciągnąć od sympatycznego dziewczęcia - gdy wreszcie to niewłaściwe dziewczę nieświadomie samo się demaskuje i nasz bohater, nagle olśniony, postanawia poślubić właściwe dziewczę. A cały ten bigos powinna jeszcze krasić potężna strzelanina; dopuszczalna jest też, oczywiście w granicach rozsądku, walka na pięści - ktoś może nawet rozbić butelkę o głowę naszego bohatera, ale strzelanina to w westernie najlepszy sposób załatwiania porachunków. Koszenie facetów sześciostrzałowym Coltem jest niezawodne.

Skończyłem, posypały się oklaski, a potem pytania; czy początkujący pisarz ma szanse wydrukować swój utwór w „Saturday Evening Post“ albo czy „Esquire“ przyjęłoby długi poemat o hodowli bydła; a potem wszyscy wstali i szurając nogami skierowali się w stronę wyjścia. Zszedłem z podium i przyjmowałem właśnie podziękowanie od dyrektora szkoły za tak budującą przemowę, gdy nagle, usłyszałem swoje imię:

- Halo, Peter!

Przede mną stała Solveig Skovgaard Flag Royce. Jakby mnie kto ściał z nóg sześciostrzałowym Coltem.

- Och, to pan zna panią Royce? - zdziwił się dyrektor.

- O tak, kiedyś znałem ją bardzo dobrze. - Co było niewątpliwie prawdą, przynajmniej w biblijnym znaczeniu słowa „znałem“.

- Pani Royce to nasza najlepiej zapowiadająca się studentka. Zaczęła uczęszczać do nas rok temu, po śmierci męża, i wszyscy pokładamy w niej ogromne nadzieje. Teraz właśnie pisze powieść, która ma duże szanse.

- To świetnie - odparłem.

- Masz auto? - spytała Solveig.

- Właściwie nie. Przywiózł mnie tu ten młody człowiek.

- Gdzie chcesz, żeby cię zawieźć? - zaofiarowała się

Solveig, co wyraźnie przypadło do gustu owemu młodzieńcowi, bo mieszkał chyba gdzieś w pobliżu, w jednym z tych domków jak pudełka, z różami od frontu a paleniskiem do robienia steków na powietrzu od tyłu i anteną telewizyjną sterzącą w niebo.

Solveig miała okulary o niezwykłym kształcie i grubej bursztynowej oprawie; wyglądała w nich uczenie i w stylu południowo-kalifornijskim, co tworzyło razem dziwaczną mieszanicę. Zdjęła je jednak i włożyła do wysadzanego brylancikami futerału, a następnie schowała do skórzanej i z pewnością kosztownej torebki.

- Jedziemy? - spytała.

Mimo czterdziestu lat nadal pozostała tą samą Solveig. Wyglądała najwyżej na trzydzieści. W doskonale dopasowanej jerseyowej sukni figura jej była taka sama, jak dawno, dawno temu, kiedy to wysiadła z pociągu na stacji w Lamy. Chyba nawet deko jej nie przybyło. W południowej Kalifornii są wspaniałe salony piękności, toteż włosy Solveig nadal były jasnozłociste i nawet jeśli czas poczynił jakieś szkody w jej urodzie, kosmetyki Max Factora wszystko naprawiły. Była śliczna. Francuzi, którzy są ekspertami w tej dziedzinie, powiadające kobieta staje się naprawdę interesująca dopiero po czterdziestce. Solveig więc zaczynała rozkwitać. Włosy nosiła zaczesane do góry w jakiś niezwykły a fikuśny sposób i, niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zdobił ich turkusowy grzebyk z 1935 roku. I bransoletkę włożyła na rękę.

Miała zagraniczny kabriolet z kierownicą po prawej stronie, który musiał kosztować mnóstwo pieniędzy.

- Gdzie mieszkasz, Peter?

- W „Beverly Hills Hotel“.

- Chcesz pewno trochę zwilżyć gardło po tym referacie - powiedziała i pomknęła naprzód. Jechała z szybkością spadkobierczyni szybów naftowych albo kierowcy taksówki.

- Nie wiedziałem, że Vern nie żyje - odezwałem się.

- Umarł rok temu w grudniu.

- Na serce?

- Nie, serce miał zdrowe. Rak gruczołu krokowego.

- Czyżby zaraził się od Cleo? - spytałem.

- O nie! To nie jest choroba zaraźliwa. To z przeforsowania.

Roześmieliśmy się oboje.

- Masz teraz mnóstwo szybów naftowych.
- Nawet nie mogę się doliczyć. Jestem bogata, nieprzyzwoicie bogata. I wiesz, całkiem to jest przyjemne.
- Świetnie, bo serce mi się kraje, ilekroć słyszę o bogatych a nieszczęśliwych kobietach.
- Wcale nie powiedziałam, że jestem szczęśliwa.
- Bogata, piękna a nieszczęśliwa - wymienilem po kolei.
- Byłbyś świetnym agentem reklamowym, Peter.
- A ty świetną ładacznica.
- Może i tak - odparła i oboje parsknęliśmy śmiechem.

Pojechaliśmy do restauracji Dave Chasena w Beverly Hills, gdzie mile wita się każdego, kto jest kimś; a my teraz oboje byliśmy Kimś; oboje odnieśliśmy sukcesy, każde na swoim polu. Usiedliśmy w przytulnej łoży w kącie sali i zamówiliśmy coś do picia. U Chasena nigdy nie występuje kabaret, ale i tak można się tam świetnie ubawić patrząc, jak zwija się obsługa, a rozmaite osoby ze świata filmowego wymachują do siebie i do dziennikarzy, zwłaszcza do dziennikarzy.

- Bardzo ci jestem wdzięczna za twoją dyskrecję w szkole - powiedziała Solveig. - Mam na myśli „Dziewczę z pirackiej wyspy“. Znają mnie tylko jako Solveig Royce. Tak chciałam. Gdyby wiedzieli, że jestem pisarką, mogliby mi okazywać specjalne względy, a ja chcę bezstronnej krytyki. Postanowiłam zostać pisarką. Może mi nie uwierzysz, ale naprawdę nad tym pracuję.

- I po co, u licha, chcesz być pisarką? Na pewno się tym nie wzbogacisz.

- Coś mnie po prostu pcha do pisania. Nie daje spokoju.

- Ale przecież zasmakowałaś już tych rozkoszy. Mało który pisarz na świecie może się poszczycić takim sukcesem, jaki zdobyło „Dziewczę z pirackiej wyspy“.

- To tylko autobiografia, Peter. I do tego współautorstwo. A ja chcę napisać coś wyłącznie sama. I to powieść. Gilbert raz wypowiedział mi, że nie potrafię pisać. I wtedy sama napisałam powieść. Bardzo to było niedobre. Aż się czerwienię na samą myśl o tym. Teraz chciałabym stworzyć coś naprawdę dobrego.

- Szkoda Gila.

- Szkoda? Ach tak... myślisz o tym, że zginął biedak. Tak, rzeczywiście, bardzo szkoda.

Przypomniało mi się teraz, jak Gil mówił kiedyś o Solveig, że coś ją stale draży, i zacząłem się nad tym zastanawiać. Zdobyła sławę. Pieniądze. I dalej nie ma spokoju. Jak na pisarza, to zupełnie niezwykle zjawisko. Więcej niż niezwykle. Pisarz, który zdobywa sukces -

obojętnie, czy zawdzięcza to małżeństwu, czy maszynie do pisania - najczęściej traci zapał twórczy. Emerson powiedział, że „człowiek jest na tyle leniwy, na ile mu starcza śmiałości“.

- Czego ty właściwie chcesz od życia, kobieto? - spytałem.

- Powiedziałaś mi już. Chcę napisać dobrą książkę. Niekoniecznie bestsellera, ale po prostu dobrą książkę.

- Nie o to mi chodzi. Powiedz, co cię stale gdzieś pcha? Co cię gryzie? Czego ty właściwie szukasz?

Jej brązowe oczy patrzyły znad szklanki martini tak samo wymownie i niewinnie jak dawniej.

- Myślę, że jakiejś stabilności - odrzekła.

- Na Boga, kobieto...

- Tak, wiem. Jestem bogata. Mam jednak na myśli stabilność uczuciową.

Kobiety czasami strasznie komplikują sobie życie.

- Taką stabilność mogło mi dać tylko odpowiednie małżeństwo. Gdybym za ciebie wyszła, Peter. Wiesz dobrze, że cię kochałam. Chociaż, czy ja wiem? A może też nie? Ciagle za czymś gonię... szukam jakiegoś muru, który by mnie chronił od... od wszystkiego. I czuję, że muszę go zbudować własnymi rękami.

Przypomniałem sobie, co mi Gil kiedyś mówił, że problemy uczuciowe Solveig muszą się wywodzić z jej dzieciństwa, z wysp tropikalnych.

- Solveig, ja też cię kochałem. I nadal cię lubię. Bóg jeden wie dlaczego. I chciałbym, żeby ci dobrze było w życiu. Ludzie uważają, że większość problemów w wieku dojrzałym wywodzi się z dzieciństwa. Czy nie jest tak i z tobą? Czy w dzieciństwie, gdy mieszkałaś na wyspach, nie zdarzyło się coś, co drażni cię aż dotąd?

Siedziała ze spuszczonej oczami obracając w palcach szklankę. Po chwili uniosła ją i wysączywszy do dna odezwała się:

- Tak.

- Czy nie byłoby lepiej, gdybyś mi się zwierzyła?

- Nie wiem. Może i tak. Mam do ciebie zaufanie, Peter. Zresztą, nawet gdybym się zawiodła, nie potrafiłbyś niczego dowieść. Pamiętasz Louisa Webstera? Ja... - pochyliła się nad stołem i zniżyła głos do szeptu: - Ja go zabiłam.

Wytworna restauracja, w której bez przerwy słyszy się tylko: „Halo, Hedda“, „Halo, Louella“, nie jest odpowiednim miejscem do słuchania tego rodzaju zwierzeń; przedzieraliśmy się więc teraz przez ustawicznie zatłoczone jezdnie; właściwie to Solveig się przedzierała, ja nigdy w Los Angeles nie prowadzę auta. Umarłbym chyba ze strachu. Sunęliśmy prosto przed siebie. Minąwszy Beverly Hills jechaliśmy ulicami wijącymi się w kanionie. Na stromych zboczach powycinano płaskie tarasy, pobudowano wille w stylu

szwajcarskich szaletów oraz ultranowoczesne domy, a następnie sprzedano ludziom, którzy zarabiają czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, a wydają sześćdziesiąt; a gdy nastają zimowe deszcze, ponad dachami willi obsuwa się zbcze i kalifornijskie błoto wciska się do salonów przez drzwi od tarasu; doprawdy, wspaniałe miejsce do zamieszkania. Nie ma to jak Los Angeles!

Wspięliśmy się wysoko, mknąc teraz wzdłuż pasma górskiego. Poprzez gęsty smog z trudem przebijały się światła, którymi jarzyło się miasto. Następnie zjechaliśmy w dół, poprzez Sunset Boulevard do Brentwood; Solveig cały czas opowiadała o Louisie Websterze i rekinie.

Wszyscy na pewno pamiętają, że któregoś październikowego ranka w roku 1930 Louis Webster i Solveig wypłynęli na morze „Diabelskim Młynem“. Disa została w domu, bo źle się czuła, już chyba wtedy miała lekki atak wyrostka. Wzięli ze sobą lunch i łowili ryby, ponieważ Webster uwielbiał ten rodzaj sportu, a poza tym chciał zmylić agentów prohibicji, którzy mieli na niego oko. I Solveig, i Webster byli tylko w kostiumach kąpielowych, a nie potrzebują chyba zaznaczać, że na widok siedemnastoletniej Solveig w kostiumie każdy mężczyzna dostałby bicia serca, nie mówiąc już o innych emocjach.

Znając Solveig, jestem przekonany, że już wtedy doskonale zdawała sobie sprawę, jakie wrażenie robi na każdym mężczyźnie jej piękne ciało; ojczym zapewne poklepywał ją czule jeszcze w dzieciństwie, czemu się wcale nie dziwię. Ale instynkt kobiecy musiał podszeptać Solveig, że pana Webstera owładnęły grzeszne myśli - jak powiedziałyby pani Kenwick. Człowiek zawsze upaja się swoim poczuciem siły; tak samo i dorastające dziewczęta chcą wypróbować swoje siły; łagodnym określeniem na to jest słowo „flirt“. Zazwyczaj wcale nie zamierzają doprowadzić płci odmiennej do niebezpiecznego stanu podniecenia. Chcą tylko prosto przeprowadzić eksperyment, przekonać się, jak wysoko skoczy pies po kawałek mięsa. To prawdziwie naukowe podejście. Taka sama intelektualna ciekawość skłania wojskowych do szukania atolu na Pacyfiku. Tam pokonują wybuchu bomby atomowej - bynajmniej nie po to, by zrobić komukolwiek krzywdę, lecz tylko niewinnie się zabawić i przekonać, jaką siłą mogą dysponować, gdyby zaszła realna potrzeba.

Tak więc Solveig i jej ojczym cały ranek pływali i łowili ryby, a w południe zarzucili kotwice jakieś dwie mile na północ od Wyspy Św. Krzyża, żeby napić się rumu i zjeść lunch. Louis Webster wypił sobie jeszcze na deser. Tropikalne słońce świeciło wspaniale, a Solveig, prawie naga, wyglądała jak olśniewająca jasnowłosa czarodziejka.

Nagle zauważyła, że ojczym z papierosem w ustach obserwuje ją w jakiś szczególny sposób; że jest zdrowym, silnym mężczyzną, że są sami, a od brzegu dzielą ich dwie mile.

Zdarza się czasem, że jakieś dziewczę zostaje zgwałcone. Ilekroć czytam coś na ten temat, zawsze przypomina mi się czasopismo „Pocisk kapitana Billa“, które można było nabyć w moich latach szkolnych w Litchfield w stanie Iowa. Było to pismo humorystyczne, ale zawierało też wiele mądrych myśli. Pamiętam na przykład takie powiedzonko: „Skromność lepiej chroni dziewczę niż żelazny pas cnoty“.

Najprawdopodobniej jednak na Wyspie Św. Krzyża nie sprzedawano „Pocisku kapitana Billa“, a Solveig niewiele obchodziło pojęcie skromności. Ale wtedy, w to upalne południe, zorientowała się, że sama doprowadziła do tego, że ojczym tak się rozpałił. Cała siła, jaką obdarzyła ją Matka Natura, nagle ją opuściła; miała do czynienia nie z petardą, lecz z bombą atomową. Nie chciała dopuścić do eksplozji, mogłaby to się przecież okazać wyjątkowo niszczycielska bomba i pozostawić kłopotliwy pył radioaktywny.

- Kochaneczko - odezwał się ojczym - jesteś ponętą bestyjką - co najwyraźniej było uprzejmym wprowadzeniem do gry.

- Czyżby?

- Tak, kochaneczko, bardzo jesteś ponętna i zbudowana jak dziwka z Memphis.

- Ale nie jestem dziwką z Memphis ani żadną inną dziwką - odparowała Solveig.

Louis Webster ryknął śmiechem i chwycił pasierbicę za ręce. - Kochaneczko, pocałuj mnie!

Zgodziła się, bo nie miała innego wyjścia; był przecież strasznie silny. Po paru pocałunkach zaczął posuwać się dalej; wpadła w przerażenie. Błyskawicznie zdobyła się jednak na fortel.

- Nie tutaj - wyszeptwała. - Pójdę na dziób.

- Ależ dobrze, kochaneczko, jak wolisz.

Uwolnił ją z uścisku. Zamiast pójść na dziób, wskoczyła do wody.

Wściekłość ogarnęła Louisa Webstera, że dał się tak wystrychnąć na dudka. Pocałunki i uściski podnieciły go, alkohol też zrobił swoje. Nie namyślając się wskoczył za nią do wody. Solveig doskonale pływała, i do tego szybko. Odciągnęła go jak najdalej od zagłówek, po czym zawróciła i wdrapała się na pokład.

- Kochaneczko - krzyczał - ty mała czarownico, oszukałaś mnie. Ja cię...

I powiedział, co robi, jak się dostanie na łódź.

Solveig złapała wielki żelazny klucz do przykręcania śrub i w momencie gdy chwycił się drabinki, łupnęła go po palcach. Zaklął i cofnął rękę. Kiedy próbował chwycić, się drugą, zrobiła to samo. Waliła bez przerwy, aż do krwi; Ogarnęła go szaleńcza furia, kłął na czym świat stoi, a palce obficie broczyły krwią. Oboje nie ustępowali; coraz ciężiej dyszał już z wysiłku, a rurn zdążył mu wyparować z głowy.

- Przestań, kochaneczko, pozwól mi się dostać na pokład. Przecież ja żartowałem. Nawet cię nie tknę.

Nie pozwoliła mu się jednak dostać na pokład. Ilekroć chwycił za drabinkę, waliła go ciężkim kluczem. Wył i sapał, i parskał jak rekin, rozpryskiwał wodę i znowu chwycił za drabinkę, po czym znowu wył, bo Solveig tłukła go po rękach.

- Dziwne - mówiła do mnie na Sunset Boulevard - ale naprawdę chciałam go ukarać. Przez cały czas pamiętałam, że przez niego straciłam palec, i waliłam z całych sił. Chwilami nawet zastanawiałam się, czy to nie Eryk nagle się we mnie odezwał. Wiesz, to ten mój pradziad, potwornie okrutny. A więc, jak mówiłam, bez przerwy tłukłam go po rękach. Woda zabarwiła się na czerwono i widocznie zapach krwi zwabił rekina. Ojczym pierwszy go zobaczył. Ja nie widziałam, bo nie spuszczałam oka z drabinki, i grzmociłam, ilekroć za nią chwycił. Nagle wydał z siebie straszliwy ryk: „O Boże, kochaneczko, rekin“. W ciągu trzech sekund mogłam go ocalić. Zdążyłby jeszcze wdrapać się na pokład. Trzy sekundy to bardzo krótko, prawda?



Zwłaszcza dla wzburzonej siedemnastoletniej dziewczyny. Szybko podjęłam decyzję, może niesłuszną, ale kto wie, co by się stało, gdyby dostał się na pokład, wypoczął i pokrzepił się rumem? Nie pozwoliłam mu jednak na to. Jeszcze raz spróbował chwycić się za drabinę, a ja jeszcze raz posłużyłam się kluczem. I wtedy dopadł go rekin. Był olbrzymi. Z bliska zobaczyłam jego zęby w rozwartej paszczy i straciłam ojcyma z oczu.

Nie zemdlałam, Peter, choć niewiele brakowało; usiadłam i zaczęłam płakać. Dopiero porządny łyk rumu postawił mnie na nogi. Potem zdecydowałam, co powiem we Frederiksted. Klucz wyrzuciłam za burtę, a dalej już wszystko potoczyło się tak samo, jak w „Dziewczęciu z pirackiej wyspy“. Nikt nawet przez chwilę nie wątpił w moje słowa. Odbył się pogrzeb, a w dwa tygodnie złapał ktoś rekina i znalazł w jego żołądku pierścień ojcyma, co tylko potwierdziło moją opowieść. Byłam wolna od podejrzeń. I nigdy, aż do tej chwili, nikomu nie powiedziałam prawdy. Ale nie mam spokoju. Stale o tym myślę. Budzę się rano w pysznym humorze, a tu nagle wszystko mi staje przed oczami i ciemna chmura zasłania słońce. To chyba po prostu wyrzuty sumienia. Nie wiem właściwie, dlaczego ci to wszystko opowiedziałam. Niemniej ulżyło mi trochę. Ale gdybyś komuś powtórzył, pamiętaj, że ja się wyprę. Tego nie da się udowodnić. Było to już tak dawno i bez świadków. Nikt nie może mnie podejrzewać. Przyznasz, Peter, że nie może.

- Przyznaję. Nie może.

Jechaliśmy teraz od Sunset Boulevard ulicą skapaną w kwiatach. Nagle Solveig skręciła i zatrzymała się przed budynkiem wyglądającym jak ogromny nocny lokal.

- Co to jest? - spytałem.

- To mój dom, Peter. Nie wstąpisz? Napijemy się czegoś.

Salon, prawie tak duży jak boisko koszykówki, wyłożony był wspaniałym białym dywanem.

- Chodźmy lepiej do pokoju gry - powiedziała Solveig i poszła naprzód.

Pokój ten wyposażony był w mały barek, obok którego stał ćwierćdolarowy automat. Zawsze dają się nabrać na coś takiego. Wysypałem na rękę garść drobników i zacząłem pociągać za rączkę.

- Nie radzę ci grać - ostrzegła Solveig. - Po prostu się nie opłaca. W tym domu mieszkali Vern i Cleo. To właśnie Cleo wstawiła ten automat z myślą o gościach, którzy bywali u niej na przyjęciach. Wiedziała, że wszyscy będą grać, choćby dla zabawy, i w ten sposób wróci jej się to, co wypiją. To najzwyczajniejsze skapstwo, a my jakoś nie pomyśleliśmy, żeby przestawić go gdzie indziej.

Przegrywałem cały czas, póki nie zbrakło mi ćwierćdolarówek.

- Miła osobka była z tej Cleo - powiedziałem. - Ufam, że jakieś dobre czyny pogrzebano z jej popiołami. Szkoda tylko, że nie dożyła chwili, aby ugościć tutaj samego McCarthy'ego. Ale skoro mowa o McCarthy'm, to może byśmy się tak czegoś napili?

Solveig stanęła za barem, a ja tymczasem zlustrowałem cały pokój. Szczególną uwagę przyciągały fotografie wiszące na ścianach z sosnowych sękatych desek.

- Kto, u licha, są ci Oklahomczycy? - spytałem.

- To nie Oklahomczycy, Peter. To rodzina Cleo. Vern był sentymentalny, na samo wspomnienie o niej łzy skapywały mu z oczu. Chciał, żeby wszystko zostało, jak za jej życia.

- I nie byłaś zazdrosna?

- Zazdrosna? Och, Peter, skądże! - Roześmiała się szczerze.

Kilka z tych zdjęć musiało być dziełem wędrownego fotografa, jeszcze w tych czasach, gdy o źródłach naftowych w Teksasie wiedział tylko sam Pan Bóg. Znacie pewno takie zdjęcia: ponury drewniak, gołe podwórze bez trawy, płaski monotony krajobraz, a na froncie cała rodzina ze starym, wysokim ojcem na czele w najlepszym kombinezonie. Dzisiaj zdjęcia takie robią fotografowie obdarzeni zmysłem społecznym, ukazując dzierżawców cierpiących na brak podstawowych witamin. Najbardziej mi podpadła podobizna ojca: chude, zapadłe policzki, oczy wąskie jak szparki, z których wзираły skąpstwo i chciwość - i Cleo, gdy miała lat około trzynastu. Już wtedy widać było, że jest córką swego ojca.

Niektóre fotografie zostały pewno wykonane zaraz po wytryśnięciu pierwszego źródła ropy naftowej; ojciec miał na sobie nowy garnitur i krawat w kwiatki, tylko oczy pozostały te same.

- Wspaniale, prawda? - powiedziała Solveig niosąc szklanki.

- O tak, wspaniale. Ale i przerażające. Zwłaszcza jak się pomyśli, że takim właśnie ludziom przypadła w udziale forsa i że wspomagają kampanię wyborczą takich polityków jak McCarthy.

- Ach, dajmy spokój tym przeklętym Royce'om i ich powinowatym - rzuciła nagle Solveig.

- Racja - powiedziałem. - Dajmy im spokój. Roześmiała się.

- Peter, chyba najbardziej pociągało mnie w tobie to, że nie mogłam cię traktować per noga. Nigdy nie udało mi się ciebie nabrać. Zawsze zdążyłeś mnie przejrzeć.

- Nie tylko dlatego - wtrąciłem. - Byłem przecież zawsze cyniczny i przejmujący.

Znowu się roześmiała.

- A jeśli chodzi o... biednego Gila... On po prostu nigdy nie dostrzegał tego, co najważniejsze. Naprawdę. Co ci powiedział o mnie, jak wrócił do Santa Fe?

- Najbardziej chyba był pod wrażeniem twoich, jak mówił, obłądnych zakupów. O wiele bardziej obłądnych, niż to się zdarza większości kobiet. Opowiadał, na przykład, że potrafiłaś za jednym razem nabyć dwanaście tuzinów jedwabnych pończoch i sto sukien.

Uśmiechnęła się. - Tak, istotnie. Ale to już minęło. Teraz kupuję rozsądnie. Nie muszę wmawiać w siebie, że jestem bogata. Mam konta w pięciu bankach i mnóstwo akcji. No i

oczywiście szyby naftowe. Peter, wiesz co? Przyszła mi teraz wspinała myśl do głowy. A jakbyśmy się tak pobrali? Zawsze było nam dobrze ze sobą. Przy moich kapitałach mógłbyś przestać pisać o tej ciągłej strzelaninie, a pomyśleć o jakiejś poważnej książce. I pomógłbyś mi w pisaniu mojej. Razem moglibyśmy zdobyć wysoką pozycję w świecie literackim.

Wysączyłem szklankę do dna i odezwałem się możliwie jak najłagodniej: - Solveig, kochanie, to wspinała myśl. Zawsze nam było ze sobą dobrze, to prawda. Czyżbyś jednak, skarbie, nie słyszała, że jestem żonaty?

- Jesteś... co?

- Żonaty. Wiesz, płaci się za indult, ustala termin z duchownym, potem się mówi „biore sobie“... Nie tylko, że jestem żonaty, ale już wkrótce zostanę ojcem.

- Co ty mówisz, Peter? Nic nie słyszałam. Wcale nie wiedziałam. Kiedyś się ożenił?

- Latem.

- Z kim?

Opowiedziałem wszystko i już w trakcie opowiadania dostrzegłem w niej wyraźną zmianę. Aż do tej pory, przez cały wieczór, byliśmy po prostu zażyłymi kompanami. Panowała między nami ta przyjemna atmosfera, w jakiej zwykle spotykają się mężczyzna i kobieta, których kiedyś łączyło uczucie i było im dobrze ze sobą, ale potem stracili się z oczu i teraz usiłują patrzeć na wszystko możliwie obiektywnie. Są nadal dobrymi przyjaciółmi. Ale na wieść, że się ożeniłem, Solveig stała się - jak to określić? - no cóż, po prostu bardziej kobieca. Tak jakby miała w sobie jakiś guziczek, który tylko trzeba było nacisnąć, a już wytryskała kobiecość.

- Ależ to cudownie, Peter - powiedziała z czarują-

Czyżby, idąc w stronę baru, bardziej kołysała się w biodrach?

I dlaczego pomyślałem nagle o Cleo Royce i o tym, co dawno, dawno temu powiedziała mi owego popołudnia w szpitalu? Dla kobiet takich, jak Solveig, widok mężczyzny należącego do innej kobiety stanowi wyzwanie. Nie spoczną, póki go nie zdobędą, tylko po to, żeby wykazać swoje możliwości.

Niech licha weźmie Cleo Royce! Stara wiedźma!

Solveig wróciła z napełnioną szklanką i usiedliśmy razem na kanapce obitej cielecą skórą; obok stał stolik do kawy z ogromną żelazną popielniczką w kształcie stempla do cechowania bydła, na której widniały litery „RR“.

- To inicjał Royce'ów - wyjaśniła Solveig. - Podwójne R znaczy Rancho Royce'ów.

- To masz także i rancho?

- Oczywiście. Już nawet nie pamiętam, ile tysięcy akrów w Teksasie i Nowym Meksyku. To jakieś podatkowe sztuczki. Dochody z nafty idą na rozbudowę ranchów i powiększanie stad bydła. I dlatego tych dochodów nie trzeba liczyć przy podatkach. Nie bardzo się znam na tym,

ale mam eksperta od spraw podatkowych i zarządcę z całym sztabem ludzi. Cleo to wszystko zorganizowała, a Vern pilnie tego przestrzegał. On też nie miał głowy do interesów, raczej do hulanki.

- Mam nadzieję, że sprawdzasz wszystkie rachunki? - spytałem.

- Naturalnie, mam radcę prawnego. To bystry facet. Dobrze pilnuje moich interesów. Nie jestem taka głupia, Peter. Byłam tylko zawsze zwariowana na punkcie... twoim. Ale opowiedz mi jeszcze o swojej żonie. Poczekaj,

No i zacząłem mówić o Eloise, i chyba trochę za dużo wypilem. W pewnej chwili Solveig przerwała mi:

- Wszystko to bardzo pięknie. Tylko jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że ty masz żonę matematyczkę. Czy ona cię kocha?

- Mówi, że tak. Do licha, oczywiście, że kocha. Dlaczego pytasz?

- Och, nie wiem. Tylko dziwię się, że nie przyjechała z tobą do Hollywood. Nie chcę, bynajmniej, jej krytykować. Właściwie, to bardzo się chwali, Peter. No... że będzie miała dziecko, to bardzo szlachetnie z jej strony, że tak się poświęca. Na pewno jest dużo lepszą żoną dla ciebie, niż ja bym była. Ja jestem egoistką, chciałabym być zawsze przy tobie. Nawet gdybym miała mieć dziecko, też pewnie wlokłabym się wszędzie za tobą.

Podeszła do automatu muzycznego.

- To także pomysł Cleo? - spytałem.

- Tak, Peter. Tylko ona o wszystkim myślała. Nadal trzymaliśmy go tutaj, bo był wygodny dla gości.

Wrzuciła monety do środka i rozległ się dźwięk trąbki w „Gwiaździstej nocy“.

- Tańczysz jeszcze, Peter?

Była uśmiechniętą czarodziejką spowitą mgłą ślicznych jasnych włosów.

Zaczelśmy tańczyć, a wiadomo, co zwykle było potem. Tym razem jednak sprawy potoczyły się inaczej. Ilekroć przypominam sobie ów wieczór, wcale nie jestem z siebie dumny. O nie! Poślubiając Eloise Crawford powiedziałem sobie: tylko ona jedna. Stała się dla mnie tym, czym niegdyś była Solveig; postanowiłem, że nie będę się zabawiał na boku. Na początku owego wieczoru nawet mi to na myśl nie przyszło: byłem no prostu uprzejmy dla starego przyjaciela, słuchałem wszystkich nowinek. Ale nagle spostrzegłem się, że jest druga w nocy, a ja tańczę z kobietą, którą kiedyś kochałem. Wszystkie lata rozłąki zamazały się w pamięci; znowu była dla mnie świeżym dziewczęciem z gorących tropików. Zacząłem ją całować i po chwili już nie tańczyliśmy, ale zmierzali w stronę buduaru przy dźwiękach muzyki płynącej z automatu.

Buduar był pachnący i cały wybity jedwabiami; nie wiadomo kiedy zdjęliśmy z siebie ubrania; znajdowaliśmy się w starym romantycznym Brentwood na końcu hollywoodzkiego traktu, komornego nie trzeba było płacić, bo Solveig, spadkobierczyni nafty, była właścicielką

tego piekielnego domu, i, jak mi się wydaje, nikt w Brentwood nie wścibiał nosa w życie nocne swoich bliźnich.

- Och, Peter... - wyszeptła.

Ale potem stało się coś zupełnie innego. Albo właśnie nic się nie stało. Jakaś część mego umysłu czy mojej duszy, czy jeszcze czegoś innego, musiała sobie przypomnieć przysięgę, jaką złożyłem poślubiając Eloise. Ona jedna, nikt więcej. I ten jasny przebłysk świadomości pośród oparów bourbonu powiedział: nie dzisiaj, Peter.

Powiadają ludzie, że choćby człowiek nie wiem jak wysoko podskakiwał i tak nie urośnie. Tak samo, żeby człowiek nie wiem jak był podniecony, nic z tego nie będzie, jeśli sprzeciwi się przebłyskowi świadomości.

- Co z tobą, Peter? - spytała Solveig.

- Nie wiem.

- Nigdy się tak nie zachowywałaś. Często zdarzało się to Vernowi, ale tobie nigdy.

„Vern - pomyślałem. - I Gil. Ilu jeszcze?“ I to już mnie całkiem wykończyło.

- Peter - szeptała - co się stało?

- Nic. po prostu nie mogę - odparłem.

Czyżbym więc tej nocy wierny był Eloise Crawford McCabe? Nie wiem. Formalnie, na pewno. Ale który z tych dwóch był prawdziwym Pete McCabe? Czy ten zalany Lothario, który pragnął innej kobiety? Czy ten, który przypominał sobie o przysięgach małżeńskich? Nie wiem. Możliwe, że tak właśnie zaczyna się prawdziwa mądrość: kiedy mężczyzna przyznaje, że sam siebie nie zna.

Solveig odwiozła mnie do hotelu. Rad byłem, że nic między nami nie zaszło, a jednocześnie czułem się jakiś zawiedziony, zmieszany i poniżony, jak tylko może czuć się w takiej sytuacji mężczyzna.

Solveig jednak była pełna zrozumienia.

- Nie jesteś wyjątkiem, Peter. Często się to zdarza mężczyznom.

- Tak - odezwałem się - właśnie dlatego prostytutka wśród mężczyzn nie popłaca.

- Pracowałaś dziś dużo w studio. Potem miałaś ten referat. Nie przejmuj się. Nawet Gilowi się to zdarzało. Jutro będzie lepiej. Pójdziemy na obiad, a potem wszystko się dobrze ułoży.

- Z pewnością.

Auto wjechało przed „Beverly Hills Hotel“, na półkolisty podjazd, wysadzany palmami i ozdobiony mnóstwem kwiatów.

- O której jutro wieczór się spotkamy? - spytała. - A raczej to chyba już dziś wieczór.

- O ósmej ?

- Wcześniej, Peter, napijemy się jeszcze przed obiadem.

- Dobrze, o siódmej.

- Świetnie, Peter. I nie przejmuj się. Wszystko rozumiem. Jestem bardzo wyrozumiałą kobietą.

- Wiem, że jesteś.

- A więc o siódmej. Dobranoc, Peter!

- Dobranoc, Solveig!

Stałem przed hotelem patrząc, jak odjeżdża.

## Rozdział 12

Rano skontaktowałem się z biurem podróży, postanowiłem bowiem wyjechać. Nie chciałem jeszcze wracać do Santa Fe, ani też pozostawać dłużej w Beverly Hills, w Złotej Kalifornii, gdzie przyjeżdżają mieszkańcy Iowy, żeby dopełnić ostatnich chwil swego życia. Postanowiłem zwinąć manatki i wynieść się w diabły, i więcej nie oglądać na oczy Solveig. Nie jechałem jednak w nieznaną. Wiedziałem, dokąd zmierzam. Na Wyspy Dziewicze.

Postanowienie to powziąłem w łóżku. Muszę wreszcie zobaczyć te wyspy. Spojrzeć na ten kawałek morza, gdzie rekin dopadł Louisa Webstera. Tak jakbym gdzieś w głębi swojej świadomości uważał, że zapomnę o Solveig dopiero wtedy, jak zobaczę miejsce zbrodni. A może były jeszcze inne zbrodnie, inne przewinienia? Chciałbym wiedzieć wszystko.

Zadzwoń do Eloise i powiedziałem, że kocham ją bardziej niż kiedykolwiek, co było niewątpliwie prawdą, i że wrócę dopiero za jakiś tydzień, ponieważ wytwórnia chce, abym napisał scenariusz z Wysp Karaibskich, i właśnie jadę tam zebrać materiał.

- Pete, okropnie już tęsknię za tobą. Wracaj prędko!

- Postaram się jak najprędzej.

Z lotniska wysłałem do Solveig depezę, że musiałem nagle wyjechać i nie będę mógł spotkać się z nią wieczorem. Nawet nie przekazałem jej ucałowań.

W Nowym Orleanie znowu porozumiałem się z biurem podróży, żeby zarezerwować sobie hotel na wyspach, i miałem szczęście, bo zdobyłem miejsce na frachtowcu, który następnego dnia odpływał w stronę San Juan. Tymczasem mogłem rozkoszować się wspaniałym nowoorleańskim jedzeniem i wędrować po starej francuskiej dzielnicy. Ze wszystkich restauracji dobiegały dźwięki jazzu, młodzi mężczyźni przy białych wózkach sprzedawali parówki, przygarbione staruszki wyciągały ręce z bukietami kwiatów; ale nie

miałem ich dla kogo kupić; posłać z Nowego Orleanu do Santa Fe to zwiędną w drodze. A jednak kupiłem w końcu i podarowałem ładnej młodej Murzynce, która grała w jakimś barze na pianinie i całkiem przyjemnie śpiewała.

Solveig, jeszcze jako młoda dziewczyna, zatrzymała się kilka dni w Nowym Orleanie jadąc do Santa Fe po przygodę, sławę i fortunę; moje wspomnienia o niej w Nowym Orleanie były zupełnie inne niż w El Paso i Juarez. Ta prześliczna blondyna została pozbawiona wszystkich siedmiu zasłon. Pochodnia już nie płonęła; a jeśli pod żebrami dokuczał mi ból, to z powodu Eloise w Santa Fe. Ale musiałem jechać na te wyspy.

Było wilgotne popołudnie. Taksówka powiozła mnie z hotelu poprzez Canal Street, jedną z najświetniejszych ulic świata, i cały labirynt małych uliczek, na których pełno było magazynów i starych budynków z żelaznymi kratami. Następnie przez tory kolejowe w stronę ogromnych magazynów, nad samą rzeką, gdzie na mój frachtowiec ładowano mąkę z Minnesoty, pokarm dla drobiu i całe skrzynie jaj (zdawałoby się, że mogliby mieć swoje jajka w Puerto Rico, ale pewno ich kury są za leniwe), aparaty radiowe i telewizyjne oraz lodówki w ogromnych tekturowych pudłach z napisem „Nie odwracać”. Statek opóźniał się, z frachtowcami zawsze tak bywa; przez całą noc ładowano towary, a na końcu jeszcze dołożono mnóstwo słupów do trakcji elektrycznej w Puerto Rico. Odpłynęliśmy dopiero o dziewiątej rano.

Stałem na pokładzie wpatrzony w nowoorleański horyzont i myślałem o Lafcadio Hearnie, Williamie Faulknerze i Sherwoodzie Andersonie, który stale usiłował przed czymś uciekać; a może i ja chciałem teraz uciec od Solveig, podobnie jak wtedy w El Paso? Chyba jednak nie. Tym razem było inaczej, tak jak inaczej było w buduarze w Brentwood. Ale gdy statek znalazł się na środku Missisipi, znowu stanęła mi przed oczami Solveig z roku 1935, jak płynęła frachtowcem „Karaibska Gwiazda”, tylko że w przeciwnym kierunku, i wtedy zrozumiałem, że wspomnienie Solveig z owych dni, a właściwie wspomnienie takiej Solveig, jaką wydawała mi się w owych dniach, zabiorę już chyba ze sobą do grobu.

I tak płynęliśmy sobie wolno w dół rzeki, aż do Zatoki Meksykańskiej, która na mapie świata nie przedstawia się specjalnie imponująco, a w rzeczywistości to ogromny przestwór wód, kiedy się już minie ostatnią boję podzwaniającą ponuro, podobnie jak w filmach o morzu, spowitym mgłą i tajemnicą; teraz jednak nie było mgły. Ja dążyłem ku Antylom i przysgodzie. Przygoda zresztą, jak się okazało, polegała tylko na zdarciu jeszcze jednej zasłony z tego wcielenia uludy, jakim była Solveig. Podobno może być tylko siedem zasłon, ale Solveig jest pod każdym względem niezwykła.

Dobrze, że wybrałem się w tę podróż frachtowcem a nie samolotem. Jeśli się jedzie gdzieś po raz pierwszy, to samolot zbyt szybko dolatuje do celu i człowiek nawet nie wyobraża sobie, jaki kawał świata umknął tam w dół. Natomiast płynąc rozkołysanym statkiem można przynajmniej coś zobaczyć. Już na widok pierwszej z tych wysp - pełnych złota, krwi i przygód - można, mieć wyobrażenie, co czuli starzy podróżnicy wpływający z zimnego północnego Atlantyku na tropikalne wody, kiedy ich oczom ukazywała się na horyzoncie pierwsza wyspa, zielona i pierwotna w swym pięknie, całkiem jak z bajki. Woda tutaj jest nieprawdopodobnie niebieska, a czasem odbija się w niej morska zieleń, taka właśnie, jaką opiewa czarowna poezja „Burzy”. Obok statku przepływały co chwila ławice delfinów, a delfiny dla mnie to najwspanialsze ryby oceaniczne; nie o jedzeniu ich myślę, tylko że potrafią być strasznie zabawne; pluskają, nurkują, płyną na boku i spoglądają wesołym okiem, a nawet... przysiągłbym, że się uśmiechają.

Antyle. Wyspy Karaibskie. Indie Zachodnie. Od pierwszego wejrzenia wpadłem w zachwyty. A Solveig powiedziała, że nienawidzi tych wysp, że nigdy tam nie wróci. Ciekawe, dlaczego. Wkrótce miałem się dowiedzieć.

Może istnieją porty piękniejsze niż San Juan, ale ja ich nie widziałem. Cały ranek płynęliśmy wzdłuż brzegów Puerto Rico, przed nami roztaczał się widok na białe piaski, palmy i zielone wzgórza. W oddali zarysowywały się kontury miast z białego marmuru, niby dziwna jakaś złuda; potem zażądaliśmy pilota i ten powiózł nas wzdłuż fortu, który pamięta jeszcze okręty Drake'a. Było wczesne popołudnie, w spokojnej wodzie kąpało się tropikalne słońce. Za portowymi składami miasto, zabudowane w stylu hiszpańskim, ńczy tropikalną urodą. Jednakże, w momencie gdy dotkniesz nogą lądu, pryska cały czar. Tyle wychudzonych dzieciaków, głodnych psów, tyle brudu! Ale mam mówić tylko o pierwszych wrażeniach. Kierowcy taksówek w San Juan to samobójcy; mówiłem temu, który wiozł mnie na lotnisko, że nie ma się co tak spieszyć; ale wiadomo, jakie są skutki, gdy połączy się łaćską krew z benzyną; facet trzyma nogę na akceleratorze, rękę na klaksonie, a pasażer nagle zaczyna się zastanawiać, czy nie zapomniał zapłacić ostatniej raty ubezpieczeniowej od wypadków.

Porterikańscy przejęli po Hiszpanach ich skłonność do monumentalnego budownictwa. Przykładem tego jest chociażby lotnisko ultranowoczesne: a więc rampy, nikiel i tropikalna roślinność; lądują tam samoloty z Nowego Jorku, Ciudad Trujillo, Rio i Buenos Aires. Widziałem na kadłubach samolotów emblematy najrozmaitszych linii zagranicznych, o jakich w życiu nie słyzałem, bo San Juan to brama wjazdowa na Antyle. Poleciałem na Wyspę Św. Krzyża samolotem karaibskich linii lotniczych „Caribair“. I piloci, i stewardessy byli przeważnie pochodzenia hiszpańskiego, ale z różnymi domieszkami, nawet murzyńskimi, co zresztą jest bardzo częste w tej części świata.

Muszę tutaj zaznaczyć, że jeżeli ktoś żywi jakieś uprzedzenia w stosunku do Murzynów, niechaj zabiera się stąd i kieruje do najbliższego wyjścia. Na Wyspach Dziewiczych, a właściwie na wszystkich Wyspach Karaibskich nie ma miejsca dla takich ludzi. Spotyka się tu Murzynów o najrozmaitszych odcieniach skóry, od czarnej jak smoła do jasnolila; pracują w biurach i sklepach; jeżeli więc ma ktoś do tych spraw taki stosunek, jak mieszkańcy Arkansas, Alabamy czy Georgii, niech lepiej się wynosi, ponieważ zamierzam mówić prawdę, a prawda, jak to mawiał jeden z naszych znamienitych prezydentów, Harry Truman, zawsze w oczy kole. Ja zaś nie chciałbym nikogo kłuć w oczy.

Teraz więc, skoro wszyscy intelektualnie upośledzeni odeszli, opowiem, jak było, gdy wysiadłem z samolotu na Wyspie Św. Krzyża. Taksówką, w której szoferem był, oczywiście, Murzyn, pojechałem do Christiansted, miasta tłocznego i pełnego turystów, których zresztą zawsze można poznać po ubiorze. Na wybrzeżu załadowano mój bagaż na galarę i popłynąłem na wysepkę znajdującą się w porcie, gdzie w „Hotel-on-the-Cay“ zarezerwowano dla mnie pokój. Wykąpałem się, napiłem ponczu, zjadłem obiad i zdążyłem jeszcze przed spaniem zobaczyć nisko na horyzoncie Krzyż Południa. Rano wróciłem do Christiansted i taksówką objechałem całą wyspę, a zwłaszcza miejsca, które wiązały się z dzieciństwem Solveig. Wszystko zgadzało się z tym, co opowiadała mi owego popołudnia w Nowym Meksyku, dawno, dawno temu. Zobaczyłem zielone pola trzciny cukrowej, na północno-zachodzie góry porośnię dzunglą, a i odwieczny czerwony fort wyglądał tak samo, jak owego ranka, gdy zepsuł się stary samochód, a młody człowiek, który nazywał się Louis Webster, zapytał: „Jakiś kłopot?“ Wynająłem nawet żaglówkę; dwóch młodych Murzynów powiozł mnie na północ od wyspy, tam gdzie rekin dopadł Webstera. Potem znowu wsiałem do



taksówki i poprosiłem szofera, żeby zawiózł mnie do posiadłości „Zadośćuczynienie“ i do „Fortuny Eryka“. Niestety, nigdy o nich nie słyszał, ani też nikt z jego przyjaciół; jeździliśmy więc po całej wyspie w ślad za wspomnieniami dziewczęcia, które straciło kawałek palca, ale nic nie mogliśmy znaleźć. Dziwne to może, ale już tak jest, że mijają pokolenia, każde ma jakieś swoje pasje, każde ma życie czymś wypełnione, a jednak niewiele w końcu po nich zostaje: rozlatujące się fundamenty albo odrestaurowane domy; stare, nigdy nie czytane książki; listy butwiejące gdzieś na poddaszu; i to najczęściej wszystko. Ubawiło mnie jedno spostrzeżenie, choć nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że lubię wróble, mniszek i że czasem bawią mnie dość dziwne rzeczy. Otóż góry na Wyspie Św. Krzyża przypominały mi góry w południowej Kalifornii, oglądane z doliny San Fernando. Tylko że w południowej Kalifornii widok gór przesłania gęsty smog i tablice reklamowe.

Po kilku dniach poleciałem na Wyspę Św. Tomasza, a tam karnawał był w całej pełni, jak zawsze u nich po Wielkim Poście. Na lotnisku przywitała mnie gromadka pięknych dziewcząt; która częstowała ponczem na prawo i lewo, w budynku odbywały się tańce przy dźwiękach blaszanych bębnow, jakie spotyka się tylko na tych wyspach. Wiedziałem, że takowe istnieją, ale nigdy ich nie słyszałem. Wyobrażałem sobie, że musi to być muzyka pierwotna w swoim brzmieniu i kakofoniczna, a nie spodziewałem się usłyszeć muzyki aż tak łagodnej i harmonicznej, tak doskonałego połączenia afrykańskiego rytmu i nowoczesnej melodii. Czekając na bagaż spostrzegłem nagle, że kołyszę się w rytm tych dźwięków. Szofer, który wiózł mnie do hotelu, słusznie powiedział: „Muzyka ta przenika na wskroś i człowiek czuje się tak, że mógłby przeskoczyć księżyc“.

Dostałem w hotelu pokój, nic nadzwyczajnego - nawet bez łazienki - ale rad byłem, że mam jakiś kąpiel, bądź co bądź tłumy ścigały na karnawał. Nie miałem nic przeciwko karnawałowi jako takiemu, dopóki rozdawano poncz i rozlegały się bębny. Tłumy z orkiestrą na czele przez kilka dni i nocy maszerowały ulicami Charlotte Amalie.

Spontaniczna wesołość i szaleństwo panowały tutaj podobnie jak na lotnisku. Ta muzyka porywała wszystkich i mnie też. Nim się spostrzegłem, już ciągnąłem za tłumem. Na przedzie, przed orkiestrą, tańczyła dzieciarnia, pojedynczo, we dwoje, klaszcząc i wirując dokoła; za orkiestrą postępowali Murzyni obu płci i wszystkich odcieni skóry, Amerykanie ze Stanów w komicznych kapeluszach i marynarkach, włóczędzy i portorykańczycy, a wszyscy „podskakując“ w tańcu. Jednakże określenie to było mylące, bardzo rzadko bowiem widzi się podskoki. Prawie nie odrywają nóg od ziemi, jedynie biodra i brzuch biorą udział w tym tańcu. To przede wszystkim „sex-taniec“, ale i na pewno doskonale ćwiczenie na trawienność. Wlokłem się za orkiestrą do upadłego, a pokrzepiwszy się ponczem, „podskakiwałem“ dalej; wreszcie, prawie już upadając na nos, wróciłem do łóżka, ale nadal dobiegały mnie dźwięki bębnow, raz bliżej, raz dalej, rozbrzmiewając ulicznym marszem, jak nazywają tu te karnawałowe melodie. Czasami taniec karnawałowy zwą też wagabundą.

Karnawał skończył się w sobotę o północy. Siedziałem w hotelu, wsłuchując się w ostatnie dźwięki tej czarującej muzyki, i nagle zacząłem rozmyślać o Murzynach. O tym, jak łapano ich w Afryce, a potem skutych łańcuchami i ciasno stłoczonych przewożono statkami na Antyle. Myślałem o długotrwałym i ciężkim niewolnictwie; o tym, jak zdobywszy wreszcie wolność musieli borykać się z losem, bez żadnych środków do życia i jak daleko doszli po niemal stu latach walki o prawo do nauki, godności osobistej, po latach walki z wieloma przeszkodami i uprzedzeniami rasowymi. Wspaniały, doprawdy, jest duch w tych ludziach, wspaniały i nieujarzmiony. I nic nie zdoła stłumić ich poczucia rytmu i muzykalności. Blaszane bębny zrodził głód muzyki w biedzie tak straszliwej, że prawdziwe instrumenty były czymś równie nieosiągalnym jak Cadillaci. Jak poradzili sobie Murzyni? Zaczęli grzebać w

stosach żelastwa i odpadków i wybierać puste, blaszane beczki po oliwie. Sklepując je młotkiem dostrajali wedle potrzeby, a na wierzchu znakowali sobie nuty. Jedne bębny ścinali więcej, inne mniej uzyskując w ten sposób rozmałą skalę dźwięków, podobnie jak przy kosztownych instrumentach kupowanych w sklepie. Należałoby się spodziewać, że rezultatem tych zabiegów będzie bezładna kakoфонia dźwięków dobywana przez trupę najzwyczajniejszych obdartusów, a tymczasem zrodził się nowy wyraz muzycznej interpretacji. Zaczęło się to w latach czterdziestych naszego stulecia.

Potem z kolei przenieśliem się myślami do Stanów Zjednoczonych: nawet w najbardziej oświeconych częściach mojego kraju ignorowano i tłumiono przeogromne możliwości Murzynów; śpiewający hymny baptyści i metodyści na południu Stanów z całą zaciętością bronili im dostępu do źródeł Pierii, aby nie skazić wód. Ciekaw jestem, czym to oni zasłużyli się cywilizacji w owych latach, gdy Murzyni tworzyli orkiestry z blaszanych bębnow...

W niedzielę rano po skończonym karnawale zwróciłem się do kelnera przy śniadaniu: - No cóż, skończyło się?

- Tak, skończyło się, do następnego roku.

- Ale chyba nadal będą grały orkiestry, prawda? W barach i na dansingach.

- O tak - westchnął, wyraźnie zasmucony. - Ale nie na ulicach. Aż do przyszłego roku.

W poniedziałek spotkałem się z Hannibalem Bakerem. Pamiętacie to nazwisko? Wtedy, gdy Solveig przysłała swoje wiersze na konkurs do „Niebiańskich Kamieni“, podała adres zwrotny na nazwisko Hannibala Bakera.

A teraz powiem, jak do tego doszło. W niedzielę wałęsałem się po ulicach Charlotte Amalie, które wyglądały podobnie jak Ulica Główna w Litchfield w stanie Iowa następnego dnia po Święcie Niepodległości 4 Lipca. Pełno porzrzucanych papierów, pogniecionych papierowych kubków, pustych butelek. I nikt już me tańczył. Poszedłem na nabrzeże, gdzie przycumowane były szkunery kursujące między wyspami. Solveig przecież jakiś czas mieszkała w tej przystani w żaglówce. Te myśli naprowadziły mnie na konkurs „Niebiańskich Kamieni“ i na Hannibala Bakera.

Charlotte Amalie leży na zboczach górskich, ulice przebiegają na różnych poziomach, równoległe do nabrzeża. Wróciłem na Dronningens Gade, pryncypalną ulicę miasta, i w drugstorze przerzuciłem książkę telefoniczną. Znalazłem to nazwisko. Nakręciłem numer. Cisza. Spytałem właściciela drugstoru, który był oczywiście Murzynem, czy nie zna przypadkiem Hannibala Bakera. Znał bardzo dobrze. Ma świetną posadę, jest urzędnikiem w jednym z biur Stanów Zjednoczonych. Powiedziałem, że nikt nie odpowiada na telefon. Pewno jest na plaży - odparł właściciel drugstoru.

Taksówką objechałem całą wyspę, wspiałem się nawet w pobliże „Zamku Sinobrodego“. Może i chronili się tam kiedyś piraci, teraz jednak był to wykwintny hotel, własność Stanów Zjednoczonych, do którego wiodły strome drogi pośród najrozmaitszych odmian tropikalnej roślinności.

- Zna pan? - spytał kierowca zatrzymując auto. - To laur. Zerwę panu jedną gałązkę.

I zerwał. A kiedy zgmiotłem w palcach liść, miałem wrażenie, jakby fryzjer skropił mi głowę wonnym płynem laurowym. Przez moment ogarnęła mnie tęsknota; przypomniałem sobie wszystkich fryzjerów, u których byłem w swoim życiu, tam na kontynencie USA, gdzie słyszy się szczęk nożyczek, a radio podaje szczegółowe sprawozdania z letnich rozgrywek baseballowych, będących przygotowaniem do październikowych mistrzostw świata.

Wjechaliśmy na wzgórze, które nazywa się Krzesło Drake'a, skąd mogłem podziwiać widok na Zatokę Magena, na wyspę Św. Jana i Cieśninę Pillsbury. Tam właśnie duński statek rządowy zatrzymał Eryka, ale ten zdążył utopić dwustu Murzynów świeżo złapanych w Afryce.

Tak więc cały czas myślałem o Solveig, ale już obiektywnie; byłem żonaty i kochałem swoją żonę.

Spytałem kierowcę, czy dobrze się bawił podczas karnawału.

Roześmiał się, a w śmiechu tym wyczułem i radość, i smutek; smutek, bo skończyły się już tańce.

- Tak to już jest, proszę pana - powiedział. - Mieszka człowiek na wyspie i nic się nie dzieje. Okropnie szare życie. Karnawał to najważniejsze wydarzenie w roku. Człowiek najpierw czeka, a potem jak już jest po wszystkim, to żyje wspomnieniami. Z tego składa się życie na wyspie.

Monotonia życia na wyspie. To samo Solveig mówiła przed laty.

- I podskakiwał pan? - spytałem.

- A jakże. W dzień i w nocy. Cały czas, prócz tych godzin tylko, kiedy wypadła mi praca. W niektóre noce nawet wcale się nie kładłem do łóżka.

Wieczorem znowu zadzwoniłem do Hannibala Bakera.

W słuchawce rozległ się dziewczęcy głos. Kiedy poprosiłem pana Bakera, dziewczynka powiedziała: „Chwileczkę, proszę zaczekać“. A potem dobiegły mnie słowa: „Tatusiu, do ciebie“.

- Halo?

- Czy to pan Baker? Tu mówi Pete McCabe. Przyjechałem właśnie ze Stanów...

- Czy Pete McCabe, pisarz?

- Można i tak powiedzieć.

- Bardzo mi miło! Czytałem pańskie książki. Był pan tu podczas karnawału?

Powiedziałem, że tak i że jestem zachwycony, a telefonuję, bo mamy wspólną znajomą, Solveig Skovgaard.

- Mówiła mi, że jest pan jej starym przyjacielem z czasów szkolnych - wyjaśniłem. - Bardzo chciałbym się z panem zobaczyć.

Wyczułem, że przez chwilę się zawahał, po czym odpowiedział uprzejmym głosem:

- Z największą przyjemnością. Czy nie mógłby pan przyjść do mnie do biura po południu, tak około czwartej? Napilibyśmy się czegoś - dodał, ale w tym momencie stał się jakiś nieśmiały  
- o ile nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

- Bardzo chętnie - odrzekłem. - Jak się tam do pana dostać?

Wyjaśnił mi dokładnie i następnego dnia po południu wybrałem się do jego biura.

Jak wiemy, życie zawsze naśladuje sztukę, a więc i to biuro wyglądało całkiem jak w książkach Kiplinga albo Maughama. Najpierw był duży pokój z czterema wiatrakami, które trochę orzeźwiały powietrze, około trzydziestu biurek, a przy nich urzędnicy-Murzyni, mężczyźni w koszulach z krótkimi rękawami i pociągające dziewczeta w przewiewnych sukienkach przerculali stosy urzędowych papierów stemplując każdy pieczęcią. Było to przecież biuro Stanów Zjednoczonych, a wiadomo, jak urzędnicy lubią pławić się w papierach; raporty w trzech egzemplarzach i inne temu podobne dokumenty odkłada się na pięćdziesiąt lat, a potem wyrzuca do kosza, żeby zrobić miejsce dla następnych.

Zbliżyła się do mnie przystojna, młoda Murzynka i spytała, czym może mi służyć.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Bakerem.

- Jest pan umówiony?

Powiedziałem, że tak, i podałem nazwisko. Wymijając po drodze wszystkie biurka zniknęła za drzwiami. Wróciwszy po chwili wprowadziła mnie do gabinetu, w którym słychać było szum urządzenia klimatyzacyjnego.

- Pan McCabe? - Hannibal Baker wstał na przywitanie. - Bardzo mi miło.

Wyglądał inteligentnie, mógł mieć około czterdziestu pięciu lat, choć, muszę przyznać, nie bardzo potrafię określać wiek Murzynów. Był średniego wzrostu, w białym płóciennym ubraniu i nieskazitelnie białej koszuli. Nosił okulary w rogowej oprawie i małe, krótko przycięte wąsiki, a skóra jego miała odcień ciemnobrązowy. Zauważyłem, że lewe ucho ma zdeformowane, niby eks-bokser. Hannibal Baker nie wyglądał jednak na to, aby mógł być kiedykolwiek bokserem. Miał doskonałe maniery, a głos człowieka wykształconego.

Przez chwilę wymienialiśmy zdawkowe słowa, po czym Baker zapytał:

- Z jakiej części Stanów pan przyjechał?

- Z Santa Fe, Nowy Meksyk.

- To pańskie rodzinne strony?

- Nie, pochodzę z Iowy.

- Tak też myślałem, że nie pochodzi pan z Południa - powiedział - ale nie chciałem ryzykować. Teraz jednak, skoro już spotkaliśmy się, nie ma pan nic przeciwko temu, abyśmy się czegoś napili?

- Z największą przyjemnością.

- Wobec tego chodźmy do „Grand Hotelu“.

Po miłym chłodzie, jaki panował w biurze, ulica wydała mi się nieznośnie gorąca; pojechaliśmy autem Bakera, które zatrzymało się przed białym budynkiem, stojącym poprzecznie do gmachu pocztowego. Cały parter zajmowały sklepy. Szerokie schody wiodły do olbrzymiego hallu, a stamtąd na przestronny taras, skąd rozciągał się widok na Park Wyzwolenia. Zamówiliśmy poncz, po czym Hannibal zapytał:

- Czytał pan „Zwycięstwo“ Conrada?

- Nawet kilka razy. To moja ulubiona książka, tak samo jego „Młodość“.

- Pamięta pan Jonesa?

- Doskonale.

Baker uśmiechnął się. - Zawsze miałem słabość do Jonesa. A może pamięta pan, jak w przedmowie autorskiej do „Zwycięstwa“, w wydaniu z 1920 roku, Conrad wspomina, gdzie spotkał prototyp Jonesa? Na Wyspie Św. Tomasza w 1875 roku. Przyjaciel zaprowadził go do hotelu i tam zastał Jonesa drzemiącego na trzech krzesłach, wśród głośnego brzęczenia much. Lubię myśleć, że to był właśnie ten hotel - stoi tu przynajmniej od stulecia - i że spotkanie to, tak znamienne dla historii angielskiej powieści, miało miejsce właśnie na tym tarasie.

- To naprawdę Conradowa sceneria - odparłem.

Tymczasem podano poncz i wypiliśmy na cześć wielkiego pisarza. Wszystkich miłośników Conrada łączą jednak mocne więzy...

- A teraz niech mi pan powie, co słyhać u Solveig? Gdzież ona się podziewa?

Zacząłem mu opowiadać. Słuchał z jakimś ironicznym uśmiechem, takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

- Od czasu, jak stąd wyjechała, nie odezwała się do mnie ani razu. Ale czytałem jej książki, o ile to były jej książki.

- Była to spółka, tak chyba można to nazwać. Opowiadała swojemu pierwszemu mężowi, a on pisał.

- Piękny styl, zwłaszcza w „Dziewczęciu z pirackiej wyspy“. Ale sporo tam przesady. A jak się panu podobała ta scena z ośmiornicą?

- Sam ją wymyśliłem któregoś wieczoru, tak tylko dla hecy. Solveig jednak się to spodobało, no i zamieściła w swojej książce.

Obaj roześmialiśmy się jednocześnie.

- Kochał się pan w niej kiedyś, Mr McCabe, prawda?

- Niech pan mówi do mnie Pete. Tak, kochałem.

- Ja także - zwierzył się Hannibal. - Mam nadzieję, że nie jest pan tym bardzo zdumiony?

- Bynajmniej. Znam jeszcze dwóch, którzy też się w niej kochali.

- Nie to miałem na myśli. Tylko... czyżby pan nie zauważył, że jestem Murzynem?

Znowu się roześmialiśmy.

- Raczej zauważyłem. A czy pan zauważył, że ja jestem biały? Co prawda, nie pojmuję, dlaczego nazywają nas białą rasą. Powinna się nazywać różowa.

- Jak się cieszę, że nie pochodzi pan z Południa, Mr McCabe... Pete.

- Ja także.

- Myślę, że chciałby pan posłuchać o Solveig, o tym z jej życia tu na wyspach, czego nie opisała w „Dziewczyciu z pirackiej wyspy“.

- Bardzo chętnie.

- Dobrze, ale wpierw zamówmy sobie jeszcze ponczu.

## Rozdział 13

Pamiętają wszyscy zapewne Nielsa Nordentofta, duńskiego kupca z Wyspy Św. Krzyża; jak pojechał do Kopenhagi mając lat pięćdziesiąt i wrócił z żoną, której na imię było Disa. A więc Niels Nordentoft był ojcem Hannibala Bakera.

Hannibal Baker urodził się w roku 1910 jako syn Nielsa i Murzynki, Zefiry Baker. Była praczką, przychodziła do Nielsa po brudną bieliznę, którą potem zanosila na głowie do swojego domu. A więc Solveig powiedziała wtedy prawdę, że Hannibal jest półkrwi Duńczykiem.

Zefira usłyszała kiedyś o Hannibalu, który przekroczył Alpy, co uznała za szczególnie wyczyn, toteż gdy urodziła syna, nazwała go Hannibalem. Miała nadzieję, że i on dokona kiedyś wielkich wyczynów. I rzeczywiście dokonał.

Wychowywał się we Frederiksted, w ciasnym domku z okiennicami, ale bez szyb i siatki. Miał wielu braci przyrodnych i siostr, i wielu niby ojczymów, bo Niels Nordentoft był pierwszym kochankiem Zefiry, ale nie ostatnim. Poczował się jednak do ojcostwa i dawał Zefirze pieniądze na Hannibala. A zanim popełnił samobójstwo, po tym, co ujrzał w sypialni

„Zadośćuczynienia“, zostawił testament, w którym zapisał dziesięć tysięcy dolarów Hannibalowi. Pieniężmi tymi mieli administrować dwaj plantatorzy i wielebny Olav Iversen, ten sam pastor, który prowadził szkołę luterzańską. Nordentoft napisał do nich listy i oświadczył im, że Hannibal jest jego synem, i życzy sobie, aby zapewnili mu wykształcenie. Z tej trójki jeden pastor ustosunkował się do tej prośby poważnie.

Hannibal był chłopcem bystrym, bardzo lubił książki. Nie mógł uczyć się razem z innymi dziećmi w szkole ze względu na kolor swojej skóry, ale pastor udzielał mu lekcji prywatnie. Hannibal robił ogromne postępy. Nauczył się greki, łaciny, duńskiego i pasjonował się angielskimi klasykami. Kiedy Solveig przyszła do szkoły jako pięcioletnia dziewczynka, Hannibal miał już osiem lat. Poznali się, bo bardzo często Hannibal miał lekcje w jednym pokoju, a jasnowłosi mali luteranie w drugim. Znajomość ich zaczęła się niewinnie; Solveig lubiła Murzynów, przez nich przecież była wyniańczona, a poza tym bawiła się z murzyńskimi dziećmi w „Fortunie Eryka“. Zresztą od razu jakoś zauważyła, że Hannibal jest niezwykłym dzieckiem. Czasem po szkole bawiła się z nim i rozmawiała czekając na Disę i Louisa Webstera, którzy przyjeżdżali po nią samochodem. Któregoś wrześnieowego popołudnia roku 1923 Hannibal kupił w najbliższym drugstorze dwie butelki Coca-Coli, bo Solveig była dla niego taka miła. Siedzieli sobie na balkonie plebanii popijając Cokę, gdy przyjechał Webster.

- Kochaneczko - zawołał - skąd masz tę Cokę?

- Hannibal mi kupił.

Zdaje się, że w tych stronach, skąd pochodził Louis Webster, obowiązywał dość skomplikowany kodeks, wedle którego ściśle przestrzegano podziału na dzieci białe i czarne. Nikt urodzony poza południem Stanów Zjednoczonych nie zdołałby nawet zrozumieć wszystkich niuansów tego kodeksu; kupując Coca-Colę dla Solveig Hannibal przekroczył dopuszczalne granice. Louis Webster aż poczerwieniał z gniewu, podniósł pięść i wymierzył cios w ucho Hannibala. Chłopiec upadł na podłogę. Pękł mu bębenek i nie słyszy na to ucho, a poza tym ma ślad na całe życie. No cóż, nie powinien był kupować Coki.

Pastora przeraziło takie okrucieństwo, ale Louis Webster oświadczył donośnym i wściekłym głosem, że Murzynom trzeba przypominać, gdzie ich miejsce. Mówiło się nawet o tym, żeby wytoczyć proces Websterowi, ale matka Hannibala nie chciała robić sobie kłopotu i wszystko z czasem ucichło; tylko zostało zniekształcone ucho i pęknięty bębenek.

Kiedy miał lat czternaście, wysłano go do Stanów, do bardzo dobrej szkoły dla chłopców w Massachusetts, o starych tradycjach liberalnych, sięgających jeszcze czasów abolicjonizmu. Był nadzwyczaj zdolny, a mając lat osiemnaście został przyjęty na Uniwersytet Harvarda. I tutaj panowały liberalne tradycje: trzeba było tylko mieć głowę na karku i chcieć się nią posługiwać, a kolor skóry nie odgrywał roli. Po pierwszym roku studiów dostał stypendium; po trzecim roku otrzymał członkostwo Phi Beta Kappa (a to jest stowarzyszenie kulturalne, do którego wybierani są najlepsi studenci ze wszystkich uniwersytetów); na zakończenie studiów, w lipcu 1932 roku, dostał dyplom z *summa cum laude*. Żył oszczędnie, a pastor Iversen dobrze zainwestował pieniądze, które chłopcu zostawił ojciec; toteż kiedy Hannibal skończył studia, miał jeszcze kilka tysięcy dolarów ze spadku.

Wróciwszy na Wyspy Dziewicze zdał egzamin z zakresu administracji państwowej i otrzymał posadę w Charlotte Amalie. W czasie studiów - a nawet jeszcze w szkole - pisał wiersze i drukował je w „Harvard Advocate“ i „Poetry“. Teraz, podobnie jak Hawthorne, Edwin

Arlington Robinson i Anthony Trollope, pracował w biurze, a w wolnych chwilach czasem tworzył. Drukował w „Writer’s Digest“ i „The Writer“, a także w pomniejszych czasopiśmie, i to nie tylko wiersze, ale i opowiadania. Niektórych wierszy nie wysyłał, dotyczyły bowiem pewnych mieszkańców Wysp Dziewiczych i obawiał się, żeby ich nie obrazić.

Wynajął mieszkanie w Charlotte Amalie i kiedyś wybrał się do sklepu pod nazwą „Miasto Kopenhaga“, żeby kupić zasłony do okien. Ku swemu zdumieniu spotkał tam Solveig, która pracowała jako ekspedientka. Przywitała go tak samo serdecznie, jak w dawnych czasach; wydawała się bardzo przejęta tym, że skończył Harvard, że pisze wiersze i ma tak świetną posadę.

- A ja żyję jak rozbitek - powiedziała. - Nie mam demu. Cały mój majątek to żaglówka.

I opowiedziała, jak rekin pożarł Webstera, a potem matka umarła zostawiając ją bez grosza.

Z natury uczynna, natychmiast ofiarowała się, że po pracy pójdzie do niego, wymierzy okna i doradzi kolor na zasłony. No i przyszła, i pili poncz, i byli po prostu starymi przyjaciółmi. Problem rasy w ogóle nie wchodził w rachubę, znali się przecież od dziecka, a poza tym na wyspach jest zupełnie inny stosunek do Murzynów niż w Stanach. Oczywiście, w szkole i na uniwersytecie było rozsądne nastawienie; zawsze dzielił pokój z jakimś białym kolegą, u wielu spędzał święta w domu. Toteż kiedy Solveig wychodziła, było zupełnie oczywiste, że odprowadzi ją na wybrzeże, gdzie miała przycumowaną żaglówkę.

- Bardzo było przyjemnie, Hannibal. A może tak któregoś dnia popłyniemy sobie gdzieś moją żaglówką?

- Bardzo chętnie.

- Może w niedzielę?

- Doskonale.

W niedzielę popłynęli wczesnym rankiem w stronę Wyspy Św. Jana, która wydawała się najbardziej odległa i ledwie parę osób mieszkało tam pośród gór zarosłych dżunglą. Opowiedział jej o swojej pracy, o reszcie spadku, o tym, że chce zostać wielkim poetą, a ona była tym wszystkim najwyraźniej zafascynowana.

- Uwielbiam książki, ale sama nie napisałam jeszcze ani jednego słowa. To musi być cudowne uczucie, kiedy się coś pisze.

- Zwłaszcza, gdy wydawcy chcą drukować - odparł.

Wzięli ze sobą kostiumy kąpielowe. Zatrzymali się w jakiejś małej zatoczce, w której najpierw się wykąпали, a potem zjedli lunch na plaży. Nie spotkali nikogo. Całkiem jakby byli sami na bezludnej wyspie.

- Hannibal, wiesz co? – odezwała się Solveig. - Założę się, że potrafię cię pocałować nie dotykając twoich ust.

- Fizyczna niemożliwość.



- A jednak możliwe. Założę się o ćwierć dolara. Przyjął zakład i pocałowała go. Po, chwili śmiejąc się powiedziała:

- Przegrałam.

Pocałunek go podniecił, podniecony był już zresztą widokiem jej jasnego ciała w kostiumie. Teraz z kolei on ją pocałował. Zerwała się roześmiana i wołając, że na pewno jej nie złapie, uciekła daleko w dżunglę. Pomknął za nią i dogonił.

Od tej pory przychodziła do niego prawie codziennie po pracy, a w niedzielę wypływali w morze. W kilka miesięcy potem, w listopadzie 1932, powiedziała, że spodziewa się dziecka.

A więc zaczęły się kłopoty: Solveig nie mogła urodzić dziecka Hannibala tutaj, gdzie wszyscy ich znali, mimo że na Wyspie Św. Tomasza bardziej liberalnie traktowano mezalians rasowy niż gdziekolwiek indziej, I co było robić? Odwieczny problem niezaślubionych kochanków.

Postanowili, że Solveig zrezygnuje z pracy i pojedzie do Puerto Rico. Zostawiła więc żaglówkę na opiece kochanka, a sama popłynęła z San Juan do Ponce, gdzie nie musiała się obawiać, że spotka znajomych; wynajęła tam małe mieszkanie i żyła sobie w spokoju; córka, Annika Baker - bo Solveig w Ponce występowała jako pani Baker - urodziła się 1 lipca 1933 roku. W sierpniu Hannibal przyjechał do Ponce, zabrał dziecko i oddał pod opiekę murzyńskiej rodzinie w Charlotte Amalie, pokrywając koszty utrzymania. Nikt się specjalnie nie dziwił; na wyspie pełno było dzieci niewiadomego pochodzenia. Potem Solveig wróciła i znowu zamieszkała w żaglówce, tylko że teraz już na utrzymaniu Hannibala, który całkiem nieźle wtedy zarabiał, biorąc pod uwagę - kryzys, gospodarczy i niską stopę życiową na wyspach.

Wtedy to Solveig postanowiła spróbować szczęścia w pisaniu. Niewątpliwie ogarniała ją rozpacz, że jest kochanką Murzyna, że znalazła się w pułapce, z której nie ma wyjścia. Nawet gdyby teraz spotkała jakiegoś bogatego białego chłopca, to i tak nie mogłaby wyjść za niego. Przecież na pewno dowiedziałby się o jej przeszłości. Jedyne wyjście widziała w ucieczce do Stanów, gdzie nikt jej nie znał; ale jak się tam dostać i z czego żyć? Nadzieja mogła być tylko w pisaniu. A więc zabrała się do dzieła.

Pisała przez okrągły rok, czytając jednocześnie wszystkie czasopisma literackie, a także „Konwencje i przemiany w poezji“, którą to książkę ofiarował Hannibalowi na zakończenie studiów autor, John Livingston Lowes. Napisane wiersze wysyłała do rozmaitych wydawców, ale odsyłali jej z powrotem. Wedle opinii Hannibala nie nadawały się do wydania: były zbyt banalne. Szalała z rozpacz na myśl, że lata będą mijały, a ona wciąż żyjąc na żaglówce będzie się nocami przekradała do kochanka. A jeżeli będzie miała drugie dziecko, a potem jeszcze i jeszcze? Co się z nią stanie?

W „Writer’s Digest“ ogłoszono konkurs „Niebiańskich Kamieni“. Oto możliwość ucieczki. Ale tak mało wierszy dotychczas napisała i nikt jej jeszcze nie wydrukował żadnego! Solveig jednak, choć młoda, była odważna. To cóż, że nie ma talentu. Ale przecież nie może przepuścić takiej okazji. Najzwyczajniej w świecie przerzuciła wiersze Hannibala i wybrała te, w których mówił o Wyspach Dziewiczych i o ich mieszkańcach, i jeszcze kilka ostatnio napisanych; przepisała wszystko na maszynie i wysłała do „Niebiańskich Kamieni“ pod swoim nazwiskiem. W marcu 1935 roku otrzymała depeszę od pani Kenwick, że zwyciężyła

w konkursie, a w parę dni potem list z czekiem na pokrycie kosztów podróży. A więc dostaje się jednak pieniądze za poezję; tak właśnie, jak sobie wyobrażała, otworzyła się przed nią możliwość ucieczki.

O mało nie doszło do awantury, kiedy powiedziała Hannibalowi, co zrobiła. Był zły, o tak, był po prostu zdruzgotany. Nie chciał rozstawać się z Solveig; kochał ją. Ona jednak już postanowiła. Przekonał się teraz na własnej skórze, jak przed nim wielu innych Murzynów, że białej rasie ufać nie można. Sprzedała żaglówkę i przez kilka dni mieszkała w „Grand Hotelu“. Na początku kwietnia 1935 odpłynęła do Nowego Orleanu na pokładzie frachtowca „Karaibska Gwiazda“.

- Nie napisała do mnie ani razu – powiedział Hannibal, gdyśmy siedzieli na tarasie „Grand Hotelu“ - nawet pocztówki. Ale miałem wiadomości. Jeden czarny chłopak z Wyspy Św. Tomasza był stewardem na tym frachtowcu. Opowiadał, że kapitan, już po pięćdziesiątce, zupełnie oszalał na punkcie Solveig. Załoga przez cały czas pokpiwała sobie z ich romansu. I chodziły też słuchy, że w Nowym Orleanie kapitan spędził z nią w hotelu kilka nocy, a potem nakupił jej strojów. Solveig zawsze umiała postępować z mężczyznami.

Nadchodził zmierzch - a w tropikach momentalnie robi się ciemno; czas było opuszczać taras „Grand Hotelu“. Hannibal spytał, czy nie zechciałbym pójść do jego domu, poznać żonę i dzieci.

- Córka Solveig też powinna być teraz w domu. Jak się ożeniłem, wzięliśmy ją do siebie. Pewno chciałby ją pan zobaczyć?

- Bardzo. - Gdy wychodziliśmy już z hotelu, spytałem: - Co pan teraz pisze?

- Nie piszę już od lat. W biurze stale awansowałem, ale po pracy nie miałem już czasu na poezję. Jak się teraz zastanawiam, to chyba ani jednej linijki nie napisałem po tym, gdy Solveig przywłaszczyła sobie moje wiersze. Straciłem do tego serce. A może nie sądzono mi było zostać poetą? Poezja liryczna jest przede wszystkim wyrazem młodości. Nastrój, jaki skłania człowieka do pisania wierszy, nie da się pogodzić z płaceniem rachunków domowych. Jeżeli poeta ożeni się nieszczęśliwie, za dużo czasu pochłaniają mu sprzeczki z żoną. Jeżeli ożeni się szczęśliwie - a do tych ja należę - nie ma potrzeby spisywać swoich przeżyć i wynurzeń. Często myślę, że do pisania liryków skłania człowieka to samo natchnienie, które spragnionemu miłości kocurowi każe miauczeć na płocie. Pisał pan kiedykolwiek wiersze, panie McCabe?

- Niech pan do mnie mówi Pete. Tak, pisałem, kiedy byłem jeszcze młodym kocurem.

- Gdyby teraz żył Keats - mówił dalej Hannibal - pewno wzięłby się energicznie do interesu i został, na przykład, dobrze prosperującym aptekarzem. Byron najprawdopodobniej zarzuciłby poezję, a wybrał tę drugą formę ekspresji, która mu tak bardzo odpowiadała, i narodziłoby się jeszcze więcej byronowskich bękartów. A gdyby żył Shelley... nie, nie sposób sobie wyobrazić starego Shelleya. Natomiast Coleridge żył długo. Został krytykiem literackim. Czytał pan może „Drogę do Xanadu“ Lowesa?

- Strasznie to lubię.

- A wie pan, że Solveig nie mogła przez to przebrnąć? Natomiast przed swym wyjazdem do Stanów studiowała zapamiętała „Konwencje i przemiany w poezji“, jakby to był podręcznik. Myślę, że zapamiętała sobie wiele zwrotów z tej literackiej dyskusji i na pewno posługiwała się nimi potem w rozmowie z wydawcą „Niebiańskich Kamieni“.

- Czy czasem nie Lowes cytował Wordswortha - spytałem - że poezja to wzruszenie, przywoływane w spokoju?

- O tak, Lowes zawsze posługiwał się tym cytatem. Dlaczego pan o to pyta?

- Bo właśnie przypomniałem sobie, że Solveig posłużyła się nim zaraz pierwszego dnia. Nie wiem, czy upłyło piętnaście minut od jej przyjazdu.

- Miała głowę na karku - wtrącił Hannibal. - Co więcej, potrafiła doskonale oceniać poezję. Odróżniała wiersz dobry od złego. Przywłaszczając sobie moje wiersze, wybrała same najlepsze. Miała wszelkie dane ku temu, aby być pisarzem, nie potrafiła tylko pisać.

Jechaliśmy ulicami Charlotte Amalie, aż wreszcie zatrzymaliśmy się przed urzędniczą kolonią składającą się z kilku nowoczesnych jednopiętrowych domów, ładnie położonych, z ogródkami zabaw dla dzieci. Hannibal wprowadził mnie do mieszkania znajdującego się na parterze, a urządzonego bardzo gustownie. Na ścianach wisiały akwarele, stało dużo półek z książkami. Miał ładną, trzydziestokilkuletnią żonę o dość jasnej cerze i troje dzieci: dwóch chłopców, szesnasto- i dwunastoletniego, oraz dziewięcioletnią dziewczynkę.

- Gdzie Annika? - spytał Hannibal.

- Pudruje nos - powiedziała żona. - Za chwilę się zjawi.

Kiedy Annika weszła do pokoju, aż mnie zatknęło ze zdumienia, wyglądała całkiem jak jej córka, to znaczy, niewątpliwie nią była; tylko że jej proste, długie do ramion włosy były kruczoczarne, a cera smagła, jakby ktoś przyrumienił dwudziestoletnią jasnowłosą Solveig i zrobił z niej ponętą brunetkę. Była to uderzająco piękna dziewczyna, o ujmującym sposobie bycia.

- Och, jak się cieszę, że pana poznałam - powiedziała wyciągając rękę na powitanie. - Jest pan pierwszym pisarzem, jakiego spotykam w życiu.

Usta też miała podobne do Solveig, tylko trochę pełniejsze; zęby równe i lśniące białością. - Chodzi pani do szkoły? - spytałem.

- Nie, skończyłam trzy lata temu. Pracuję w biurze jako maszynistka. Ale to mi nie odpowiada. Chciałabym wyjechać z wysp do Stanów.

- Mogłoby się tam pani wcale nie spodobać.

- A ja myślę, że tak. Zwłaszcza w Hollywood. Chciałabym zostać aktorką. Występowałam w kilku sztukach w naszym amatorskim teatrze. Ale najbardziej chciałabym zostać pisarką.

Wyszedłem stamtąd. Prędko. Jak tylko grzeczność na to pozwalała. „Ale to przedziutko“ - jak powiedziałaby Vern.

## Rozdział 14

Kilka miesięcy temu nad samym ranem śniło mi się, że Solveig wróciła do Santa Fe taka sama, jak w 1935 roku. Obudziłem się najwyraźniej wzburzony; wyszedłem na taras, żeby zapalić papierosa. Ale moje wzburzenie nie trwało długo. Nie chciałbym bynajmniej powracać do 1935 roku i spotkać ponownie dwudziestoletniej Solveig na stacji w Lamy.

Była godzina czwarta rano, za późno na proszek nasenny, a za wcześnie na bourbon. Było zimno jak zwykle przed świtem na pustkowiu. Gdzieś w dali, na tle ciemnego masywu Jemez, w rzadkim powietrzu migotały światła Los Alamos; tam niegdyś pracowała Eloise. Gwiazdy iskrzyły się na czarnym niebie. Przeworza - jak wyraziła się kiedyś Eloise - były nieprzeniknącą ciemnością. A Eloise, która jest fizykiem i lepiej niż ja pojmuję istotę rzeczy, powiedziała też kiedyś, że sens życia, jak ona zdołała odkryć, polega na jego ciągłości: poczynać następne życie, aby to z kolei mogło znowu poczynać następne. Bo życie - gorące i rozumne drgnienie w drętwej materii - jest dobrem samo w sobie.

Zgasilem papierosa i spojrzałem na dom. Jest mój, wszystko tu jest moje; i podatki zapłacone. A wewnątrz śpi moja żona i troje moich dzieci.

Wróciłem do łóżka. Eloise oddychała spokojnie. Pochyliłem się nad nią i pocałowałem.

- Pete - szepnęła oddając mi pocałunek.

I chociaż czwarta rano to może za późno na proszek nasenny, a za wcześnie na bourbon, ale to jeszcze mimo wszystko nie taka zła godzina. W sam raz pora, aby zatroszczyć się o ciągłość życia.

Thomas Duncan

współczesny pisarz amerykański, urodził się w Casey, w stanie Iowa.

W roku 1929 ukończył z odznaczeniem Uniwersytet Drakea. Jest autorem kilku ambitnych powieści rozrywkowych, z których najbardziej znane to: „Gus the Great“, „Big River“, „Big Man“ i „Panna na nieboskłonie“ („Virgo Descending“). Wydał też kilka tomików poezji, cieszących się dużą poczytnością.

Mieszka stale w Santa Fe, w Nowym Meksyku. Tam też toczy się akcja „Panny na nieboskłonie“ - historia tajemniczej Solvelg, pięknej dziewczyny z Wysp Karaibskich.